★ Michał Szołochow ★ Alarm dla stacji Łódź—Widzew
★ Pustostany ★ „Dziady" — święto teatralnej Łodzi
★ Goły Fredro ★ Droga miecza

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 15 (1359) ROK XXVII 14 KWIETNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

Dysko—teka—w re—mizie

RYSZARD BINKOWSKI

We wrześniu była piękna pogoda. Po prostu słoneczna klęska urodzaju, w kryzysie. Gdzie się człowiek nie ruszył, czuł się niby milioner na Riwierze w pełni sezonu. Tym bardziej, że niektórzy zarabiają teraz grube tysiące, co nie mieszczą się w normalnym portfelu.

Wacław T. był bezdzietnym kawalerem. Wywodził się z kieleckiej gminy, ale osiadł w metropolii Bełchatów i figurował za górnika mechanika. To znaczy był ślusarzem, który nosił za górnikiem „ta kista" (czyt. skrzynka) i dokręcał, jak się coś obluzowało na przodku odkrywki. Ponadto miał bogatą przeszłość, ambicję, kartę hotelową i chęć zaimponowania plebsowi. Aby ją zaspokoić, wybrał się w odwiedziny do ubogiej ciotki pod Łodzią.

Zajechał z szykiem nuworysza specjalnym pociągiem drugiej klasy z pociętymi kanapami i spluwaczkami na szybach. Wszedł do nędznego chłoporobotniczego obejścia, w którym pod szklarnią wędził się sfatygowany na bezdrożach polonez, i rozejrzał się wokół czujnym okiem fiskusa. Potrząsnął groźnie niebieską torbą z napisem „Trzos Kopernika" i ruszył szparko ku werandzie pod szkłem, w której mogłaby się roztasować wielodzietna rodzina z bałuckiej rudery.

Kuzyn chwycił za widły. Ciotka zbladła, runęła na kolana i krzyczy:

— Jezus, Maria! Bij, zabij, komornik!

Kuzyn zaszarżował, ale wiatr mu skręcił widły krajowej produkcji, więc chybił.

Natenczas Wacław uniósł rękę gestem pojednania i rzekł głosem ludowego trybuna:

— Ożeż wy w mordę bite badyle! To wy tak robicie sojusz?

— *Jezus, Maria, polityczny* — zawyła *ciotka.*

— *Wasz, ciotko, wasz! A wy chcecie powitalnie bratniej krwi utoczyć!*

— Tyś dla mnie brat — warknął kuzyn — jak nie przymierzając byk kanarkowi.

— Przyjrzyj się, ciotko Kazimiero! Jam ci twój bratanek rodzony! — oświadczył dumnie Wacław.

Ciotka wstała ze łzą wzruszenia w oku.

— Ani chybi, nasz Wacuś — szepnęła. — Matko, jak on się zmienił...

Kuzyn z uśmiechem zażenowania odłożył zbójecką broń do ćwiczeń gnój—ziemia.

— Kim ty, Wacuś, jesteś, że tak wyglądasz? — pyta ciotka.

— Odkrywkowym na stanowisku. Za sztygara robię, ciotuniu.

— O, jaką to ma torbę z literkami — warknął zgryźliwie kuzyn.

— Rzemiosło w Bełchatowie szyje takie na akord.

— A na co komu „Trzos Kopernika"?

— Żeby tę inflację gdzieś wepchnąć! Ja też złożyłem trochę tych portrecików. Można by tym wytapetować deskę do prasowania.

— Albo album rodzinny bezdzietnego rencisty — mruknął kuzyn zajrzawszy do środka.

Rozanielona ciotka Kazimiera, zobaczywszy wizytówki bratanka, poczuła więzy krwi i urządziła huczne przyjęcie na jego cześć.

A on zaczął profanować pamięć astronoma, rzucając tymi widokówkami w te i wewte, przeważnie przez bufet.

Sobotnią noc przetańczył w remizie strażackiej, zapijając likier strażacki i przebierając w dziewkach jak w ulegałkach. Tubylcy zaczęli po cichu zgrzytać zębami. Bo ten bełchatowski sztygar, nie tylko ćwiczył trojaka. Zabierał się twardo do fedrunku, co rusz wykazując, iż górnictwo pierwsze się otrząsnęło z kryzysu.

7

Foto: Grzegorz Gałasiński

Szpitalny wieczór

JOLANTA WROŃSKA

Myślałam, że w pociągu przysnę, choćby na chwilę, zapomnę. Nic z tego. Ból rozrasta się jak jakaś kipiąca, obrzydliwa maź, w którą się zapadam. Nie ma o co się oprzeć, na czym zatrzymać w spadaniu. Pulsujący młot wali co kilka sekund i nie można uciec. Stukot kół, stukot kół, stukot, stu...

Dworzec wyczekany godzinami bólu. Nareszcie chłodny powiew. Jeszcze przetrwać tłum walący do wyjścia. Jeszcze kilka minut w dygoczącym tramwaju i jeszcze tylko parę kroków.

Znajome twarze i dobry, bezpieczny spokój. Pies wylizuje twarz.

Schylić się nie można, czarno w oczach i tak duszno...

Nic to, zaraz przejdzie. Kąpiel, kolacja i powolne, ciepłe pogaduchy do głębokiej nocy. Złe trochę ucichło, jakby spłoszone spokojnym tykaniem zegara w ciszy.

Tuż przed samym progiem moszczenia się na sen... rano będzie już dobrze, tyle kątów trzeba oblecieć... przyszedł ból. Okrutny, zimny, jak pot kroplący się na karku. Czterysta osiemdziesiąty szósty baran, czterysta osiemdziesiąty siódm... W jakiejś bezdennej otchłani słyszę zduszony krzyk... To chyba ja wrzeszczę?!?... Rozpaczliwie wypływam z mazi, muszę wiedzieć, czy to ja? O, matko! Pobudzę cały dom. Wystraszony pies ujada jak oszalały, w drzwiach kłębią się piżamy i nocne koszule. I światło. Jak strasznie boli światło... Przecież nic mi, do diabła, nie jest...

6

Testa—ment—

KRZYSZTOF KRUBSKI

Do zebrania przygotowywali się bardzo starannie, bo wiedzieli, że może być ostatnie. Zresztą zdecydowali się na nie tylko na prośbę prezesa, na jego usilne namowy. „Nigdy z nami tak nie rozmawiał, nigdy mu tak nie zależało" — opowiadają. Powodem tego nagłego ożywienia było ich pismo z początku stycznia.

„Rada Osiedla „Obywatelska" na swym kolejnym posiedzeniu w dniu 29 XII 83 r., dokonała podsumowania swej działalności za rok 1983. W świetle przeprowadzonej analizy działalności ustalono, że szereg poczynań i inicjatyw Rady Osiedla zmierzających do uporządkowania spraw inwestycyjnych, eksploatacyjnych i gospodarczych osiedla zostało zbagatelizowanych przez odpowiedzialnych członków zarządu spółdzielni, a co za tym idzie naraziło członków Rady Osiedla na poderwanie autorytetu oraz utratę zaufania wśród mieszkańców osiedla.

Biorąc pod uwagę istniejący system działania i powiązań między Radą Osiedla a Radą Nadzorczą spółdzielni i zarządem Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej oraz zainteresowanie się tych instytucji sprawami mieszkańców osiedla członkowie Rady Osiedla nie widzą możliwości kontynuowania swej społecznej działalności, która w świetle osiągniętych efektów jest marnowaniem czasu.

Wobec powyższego postanowiono, że w dniu 26 I 1984 roku odbędzie się ostatnie zebranie Rady Osiedla „Obywatelska", na którym członkowie Rady złożą swą rezygnację z podjętych społecznie powinności".

To właśnie na zebraniu 26 stycznia prezes Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej zaapelował o to, by jeszcze raz spróbować, by się spiąć i na roboczo porozmawiać o kwestiach spornych. Przygotowali więc na spotkanie w lutym obszerny dokument. Dyskutowali długo jak ma on wyglądać, spierali się, omawiali każde sformułowanie, spotykali się wielokrotnie. Bardzo im zależało, by słowa wiernie oddały co pomyślały głowy. Chcieli w tym dokumencie zawrzeć wszystko to, czego nauczyli się przez ostatnią kadencję i przez wszystkie poprzednie lata społecznej działalności. Chcieli napisać co trzeba zmienić, by działalność rady osiedla miała sens, chcieli wyraźnie powiedzieć jakie każda ze stron, czyli oni i zarząd, ma prawa i obowiązki. Uważali, by nie przekroczyć swoich kompetencji, by pisać tylko o tym, do czego mają prawo. Czuli przez skórę, że tworzą swój wspólny testament. A doświadczeń mieli sporo.

• • •

Pismo Rady Osiedla do Działu Eksploatacji Zasobów Mieszkaniowych ŁSM z 26 VIII 83 r.

„Na zebraniu Rady Osiedla przedstawiono „Projekt planu potrzeb remontowych na 1984 rok". Rada Osiedla po pierwsze, nie może przyjąć tego zestawienia jako projektu planu, gdyż nie można jednoznacznie sprawdzić, czy rzeczywiście takie potrzeby występują. A po drugie, skąd wzięto kwoty przy danej grupie prac, skoro nie wiadomo co ma być wykonane w danej posesji? I za ile?

W celu dokładniejszego zbadania tej sprawy zażądaliśmy wykazu potrzeb zgłoszonych do Działu GZM przez naszą administrację. Niestety, dwugodzinne rozgryzanie tematu z udziałem przedstawiciela administracji nie dało rezultatu, gdyż oba zestawienia nie są spójne. Tytuły zapotrzebowań nie odpowiadają tytułom w dostarczonym „planie". Prosimy o dostarczenie planu, który mógłby być konfrontowany ze zgłoszonymi potrzebami oraz w ustalonym raz porządku (...).

6

Przegląd prasy

Głównym punktem porządku dziennego na pierwszym posiedzeniu Sejmu w trakcie obecnej sesji wiosennej była polityka mieszkaniowa, a ściślej: pierwsze czytanie tzw. rządowego przedłożenia w tej sprawie. Nie mam tu zbyt wiele miejsca na zrelacjonowanie treści owego dokumentu i poselskiej dyskusji — zresztą nie jest to możliwe w przeglądzie prasy. Nie mam też takiego zamiaru; chcę podzielić się jedną tylko refleksją o nieco szerszym, niż sprawa budowania mieszkań, zasięgu — taka mianowicie, że w naszej, ciągle jeszcze kryzysowej, rzeczywistości

PROBLEM MIESZKANIOWY UTOŻSAMIA SIĘ Z TZW. PROBLEMEM MŁODZIEŻOWYM

— Co więcej — polityka mieszkaniowa staje się najistotniejszym probierzem, weryfikatorem wszelkich ogłaszanych urzędowo i półoficjalnie prognoz czy perspektyw dla młodego pokolenia Polaków.

Nie może być zresztą inaczej, skoro — jak powiedział przed posiedzeniem Sejmu, w wywiadzie dla PAP, poseł Zbigniew Zieliński, przewodniczący komisji budownictwa w naszym parlamencie („Rzeczpospolita" nr 83 — 06. 04. 84) — *„Budujemy nadal mniej, niż w skali roku wynosi liczba nowo zawieranych małżeństw. Jesteśmy młodym społeczeństwem i nasisk na mieszkania wywierany jest głównie przez młode pokolenie."*

Tak, nie ma co ukrywać, przez czterdzieści lat Polski Ludowej mieliśmy okres wyżów i niżów demograficznych, ale wyżu mieszkaniowego, gdy budowaliśmy więcej niż zakładaliśmy rodzin, nie było. Fakt ten jest czymś w rodzaju „ciemnej plamy" w naszym życiu społecznym, o rozległych konsekwencjach, także, jak się okazuje, politycznych...

Oto bowiem własne mieszkanie stało się najwyższą barierą na drodze usamodzielniania się młodych Polaków. Samodzielność ekonomiczna rodzin — tych młodych, nowo zakładanych — w sposób niejako naturalny współistnieje z odpowiedzialnością. Z kolei ta indywidualna odpowiedzialność za własny los jest warunkiem niezbędnym dla powstania w świadomości młodych ludzi poczucia odpowiedzialności społecznej. Mechnizm łączenia perspektyw indywidualnych w harmonijny sposób z perspektywami zbiorowymi jest najskuteczniejszym narzędziem pobudzania aktywności ekonomicznej i politycznej obywateli. Zaś niesamodzielni to prawie tak jak ubezwłasnowolnieni...

Tymczasem poseł Zieliński konstatuje — nie bez zaniepokojenia, że:

„Wiele z tych uwarunkowań (mowa o materialnych przesłankach poprawy sytuacji — przyp. TS) *powinno być pokonywanych przez państwo. Ale trudno zgodzić się z często jeszcze funkcjonującym stereotypem, że to tylko państwo ma dbać i starać się o zapewnienie właściwych warunków mieszkaniowych swoim obywatelom. Tego problemu nie można bowiem rozwiązać bez szerokiego udziału społeczeństwa. (...) W naszych opiniach wyrażaliśmy pogląd, iż wszystkie inicjatywy mieszkaniowe, a zwłaszcza te z nich, w których sami zainteresowani [illegible] własną pracą i środki [illegible] np. tworzenie małych spółdzielni — zasługują na poparcie i pomoc."*

Z drugiej zaś strony szef ZSMP Jerzy Jaskiernia powiedział na Krajowej Konferencji Delegatów PZPR (cytuję za „Życiem Gospodarczym" nr 14 — 01.04.84), że: *„Gordyjski węzeł mieszkaniowy narasta. Powstało ponad 1200 małych spółdzielni, ale tylko niewiele ponad 200 podejmuje działalność — bo bariery, bo utrudnienia, bo złośliwość, bo praktycznie nie docenia się ludzi młodych, którzy nie mają siły przebicia, którzy są słabsi w protekcyjnych naciskach, którzy nie mają niczego więcej niż młodość, niż zapał".*

Tymczasem rzeczywiście można odnieść wrażenie — i nie jestem w tym odosobniony — że tzw. zielone światło wprawdzie się pali, ale na innym skrzyżowaniu. A może zgoła w lesie, do którego wycieczkę młodym proponował inny delegat na tejże konferencji — by sobie unaocznili odwieczny porządek rzeczy w przyrodzie Takie ptaki na przykład najpierw budują gniazda, potem dopiero znoszą jaja...

Nie wiem, czy podglądanie matki natury cokolwiek zmieniłoby w zapatrywaniach młodych ludzi. Może lepiej rozważyć sens dalszego ciągu wypowiedzi Jaskierni: *„Rozwiązanie tego problemu* (chodzi o bezwzględne poparcie dla aktywności młodzieży w kwestii mieszkaniowej — przyp. TS) *będzie jednym z argumentów partii, będzie pewnym probierzem, na ile udało nam się wreszcie sprawy pchnąć do przodu, na ile znów wystąpiliśmy ze słuszną koncepcją wspierania pozytywistycznych inicjatyw młodzieży, (...)"*

Inny aspekt tzw. problemu młodzieżowego to praca. Ciekawy, chociaż kontrowersyjny tekst na ten temat znalazł się w „Przeglądzie Technicznym" (nr 15 — 08.04.84) — Agnieszka Wróblewska pisze, że młodzi inżynierowie coraz częściej dają w gazetach ogłoszenia o takiej stereotypowej treści:

PODEJMĘ DOBRZE PŁATNĄ PRACĘ

najchętniej w sektorze prywatnym... Z analizy dokonanej przez Wróblewską wynika, że ogłoszenia te, to najczęściej akty desperacji młodych ludzi, znudzonych pracą i stosunkami w przemyśle, w ogóle w gospodarce uspołecznionej. Z 2,5 tysiąca ubiegłorocznych absolwentów Politechniki Warszawskiej podobno pięciuset szuka pracy innej niż oferowana. A oferty dla bardziej przedsiębiorczych jednostek nie są zachęcające — inżynier jest dziś śmiesznie tani, zaś interesującej roboty po prostu nie ma, jest za to przewalanie papierków w biurach.

Pani Wróblewska mimo to chwali nowy system zatrudniania absolwentów, polegający na zwykłym pośrednictwie, zamiast obowiązkowych działań pełnomocników do spraw zatrudniania. Teraz jest luz i wolna wola — chcesz z dyplomem w kieszeni sadzić pietruszkę, proszę bardzo, chcesz ogłupiać się wypisywaniem kwitków w jakimś kantorku — też ci wolno. Wcale nie musisz, drogi inżynierze, pracować w swoim zawodzie... *„To nie jest żaden paradoks, że życie tym jest znośniejsze im mniej zorganizowane odgórnie. Ład społeczny jest tym większy im mniej gorliwie narzuca się porządek."*

Ta odkrywcza teza red. Wróblewskiej jest niewątpliwie słuszna — z jednym wszelako zastrzeżeniem: studia są w PRL bezpłatne (chociaż sporo kosztują — ale płaci za to państwo). Nie widzę powodu, aby za społeczne pieniądze kształcić przyszłych butikowców... Więc może przymknąć nieco drzwi politechniki, do czasu gdy inżynier na rynku pracy mocno zdrożeje i będzie naprawdę potrzebny gospodarce.

W tym samym numerze „Przeglądu Technicznego" ciekawostka dla ambitnych — mianowicie

APEL O ZORGANIZOWANIE DRUGIEJ „PEWUKI"

czyli Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu w 1989 roku czyli sześćdziesiąt lat po pierwszej. Ta w 1929 roku odbyła się w ostatniej chwili przed światowym kryzysem i miała udokumentować pierwsze dziesięciolecie rozwoju gospodarczego Polski niepodległej. Czy to się udało? Z ówczesnych wspomnień, relacji i dokumentów wynika, że tak. Wystarczy zresztą przeczytać odpowiedni fragment wspomnień Stanisława Wachowiaka, m.in. dyrektora zarządu poznańskiej PWK, który zorganizował wszystko w dwa lata, korzystając z dyktatorskich niemal pełnomocnictw i powszechnego poparcia... Ale dzieło podobno było imponujące.

A dziś? Prezes Towarzystwa Przyjaciół Tradycji Bazaru Poznańskiego w apelu powiada: *„Pragniemy, aby II PWK stworzyła polskim inżynierom i technikom szansę zaprezentowania własnej wiedzy i umiejętności. Wiemy, że potraficie udowodnić, że w naszym kraju nie brakuje umysłów i rąk zdolnych, twórczych i zapalczywych. Wiemy, że nie brakuje wam błyskotliwych i śmiałych projektów. Nie jest też waszą winą, że pomysły te jakże często nie ujrzały światła dziennego ginąc w labiryntach biurokracji. Wierzymy jednak, że nadszedł czas rozsądku, że ludzka pomysłowość, przedsiębiorczość i gospodarność nie będzie już tępiona, lecz wspierana i należycie wynagradzana, a z dezaprobatą spotka się opieszałość, brak kompetencji i wyobraźni."*

A więc to tak? Wystawa jako zadośćuczynienie dla inżynierów i wstyd dla decydentów? Kto to zafunduje? Chińczycy wymyślili dawno znacznie tańszy sposób na podobną psychodramę — mianowicie papierowe „czapki hańby". Proste to i też może być zabawne... Proponuję, aby w ten sposób nie dyskontować starego pomysłu poznaniaków — Cyryla Ratajskiego i Wachowiaka; im chodziło o osiągnięcia, nie o żal za utraconymi możliwościami. Tym nie ma co się chwalić na wystawie — chyba, że zorganizują ją sadyści dla masochistów.

Do innych pomysłów niesamowitych, choć zapewne znacznie bardziej sensownych i potrzebnych niż wystawa krajowa, należy idea Uniwersytetu Otwartego. Opowiada o niej — w wywiadzie dla „Tygodnika Kulturalnego" (nr 15 — 08.04.84) kierownik biura organizacyjnego Uniwersytetu Robert Gutowski.

Uniwersytet Otwarty, który na początek powstanie przy Uniwersytecie Jagiellońskim (inauguracja w 1985 roku) dla około pięciuset słuchaczy, ma być czymś w rodzaju

SZKOŁY WYŻSZEJ NA POZIOMIE OGÓLNYM

(dla porządku przypominam, że nie dorobiliśmy się jeszcze — nieprędko to nastąpi — powszechnej szkoły średniej). Czyli będzie to uczelnia dla dyletantów; do tej pory kształcono u nas dyletantów specjalistów, niejako przy okazji edukacji uniwersyteckiej czy politechnicznej albo innej — teraz „produkować" będziemy ogólnych dyletantów dyplomowanych... Wystarczy spojrzeć w program:

„Pierwszy rok studiów poświęcony będzie humanistyce: dziejom Polski i świata, a więc historia, znajdują się także w nim zajęcia z dziedziny kultury, sztuki, teorii literatury. Drugi rok to blok nauk biologiczno - medyczno - rolniczych wraz z matematyką, fizyką, chemią, elementami nauk technicznych. Trzeci rok to nauki społeczne — socjologiczne, nauki polityczne i ekonomiczne, a także elementy techniki w ujęciu tych trzech dziedzin wiedzy, czyli znaczenie techniki dla społeczeństwa i gospodarki. (...) Czwarty rok ma być poświęcony studiowaniu filozofii oraz wgłębianiu się w metodologię wybranej dyscypliny i wreszcie ostatni, piąty rok, to pisanie pracy dyplomowej" — powiada Robert Gutowski.

Zgadzam się na wszystko — wszelako pod jednym warunkiem: że absolwenci tej uczelni, obdarzeni eleganckim pokwitowaniem, nie będą chcieli tylko na jego podstawie uzyskiwać pracę i przywileje — na przykład w dziennikarstwie, gdzie skądinąd taki zespół umiejętności (co nieco o wszystkim) byłby przydatny niezmiernie. Ewentualnym kandydatom do pracy oświadczam, że takie papiery są zbędne — wystarczy talent i charakter. A Uniwersytet Otwarty potraktujemy jako hobby, zapewne pożyteczne — byleby tylko dyplomanci nie chodzili sfrustrowani.

Na koniec przeglądu prasy, przy okazji niejako, muszę załatwić

PEWNĄ SPRAWĘ PRYWATNĄ

Otóż w „Tu i Teraz" (nr 14 — 04.04.84) na ostatniej stronie jakiś ordynus, podpisujący się numerkiem 211, wyżył się na niżej podpisanym przy pomocy chamskiego zaiste fałszerstwa mej wypowiedzi sprzed ponad miesiąca. W tej sprawie skierowałem list z wyjaśnieniem do redaktora naczelnego „Tu i Teraz" Kazimierza Koźniewskiego. Mam nadzieję, że list ten będzie wydrukowany — jeżeli nie, zapoznam z jego treścią czytelników „Odgłosów".

TOMASZ SAS

Minął tydzień

PARTYJNO-PAŃSTWOWA DELEGACJA Z BUŁGARII

pod przewodnictwem sekretarza generalnego KC BPK, przewodniczącego Rady Państwa Todora Żiwkowa, przez cztery dni przebywała z przyjacielską wizytą w Polsce na zaproszenie najwyższych władz państwowych PRL. W trakcie wizyty odbyły się rozmowy Todora Żiwkowa z gen. Wojciechem Jaruzelskim, polsko-bułgarskie rozmowy plenarne i obrady trzech zespołów roboczych — gospodarczego, partyjno-politycznego i d.s. polityki międzynarodowej. Delegacja bułgarska odwiedziła Siedlce, gdzie miejscowej Wyższej Szkole Rolniczo-Pedagogicznej nadano imię Georgi Dymitrowa; odbyło się też spotkanie z załogą Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego „PZL Okęcie". Na zakończenie wizyty podpisano deklarację przyjaźni i współpracy oraz wieloletni program współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej obu krajów.

ZAKAZ NADMIERNEGO PODWYŻSZANIA CEN UMOWNYCH

został ogłoszony przez rząd i dotyczy gospodarki uspołecznionej, w której nie wolno podnosić cen ponad wielkości usprawiedliwione przez podwyżkę cen zaopatrzeniowych. Z zakazu tego wyłączone są ceny dóbr tzw. luksusowych (m. in przyczep campingowych, broni myśliwskiej, kryształów, bursztynu, futer, porcelany, dywanów z wełny itp.) oraz ceny innych artykułów trwałego użytku, których produkuje się dużo, ale przechwytywane są przez spekulantów — chodzi o dojście do cen równowagi, co ma spekulantów zniechęcić. W grupie tej znalazły się m. in. telewizory kolorowe, sprzęt radiomagnetofonowy stereo hi-fi, lodówki ponad dwustulitrowe, małe pralki automatyczne i maszyny do szycia. Przyznajemy, że nieumiarkowane podnoszenie cen jest dość osobliwą metodą walki ze spekulacją — zanim spekulanci skapitulują, zwykłych obywateli, którzy chcieliby sobie nieco poprawić standard życia ponad siermiężność oferowaną przez speców od ustalania norm luksusu, zbytku i dostatku (w sferach ministerialnych jest ich nadmiar), zwykłych obywateli trafi szlag...

W PROCESIE O MLEKO NA RAZIE PRZERWA

ale tygodnik „Veto" nie ustaje w zbieraniu dokumentacji przeciw mleczarzom. W najnowszym numerze (nr 15 — 8.4.84) ciekawostka psychiatryczna — przypadek rozdwojenia jaźni: oto mleczarze z Tarnowskich Gór nadesłali ostry protest przeciw szkalowaniu wszystkich mleczarzy — oni w Tarnowskich Górach pracują uczciwie w wolne soboty, niedziele i święta nawet. W ślad za tym protestem nadszedł do redakcji list z KG MO, że WUSW w Katowicach wszczął dochodzenie w sprawie zorganizowanej kradzieży wyrobów mleczarskich znacznej wartości w... OSM w Tarnowskich Górach.

Nie ukrywam (na długo przed wyrokiem), że moim zdaniem w interesie społecznym leży, aby mleczarze ten proces przegrali i to z hukiem.

HANDLOWA NOWOŚĆ OSTATNICH DNI

to wiosenne wyprzedaże, organizowane przez różne firmy i na różne wyroby (przede wszystkim odzież i obuwie) — za to z jedną cechą charakterystyczną: nadspodziewanie wysokie, bo sięgające czterdziestu procent, są bonifikaty i przeceny. Zjawisko dotąd w naszym mało elastycznym handlu niespotykane. Czyżby pierwszy widomy znak owocowania reformy?

ARTUR RUBINSTEIN

genialny mistrz fortepianu XX wieku, został szczególnie uczczony w swym rodzinnym mieście. Filharmonii Łódzkiej nadano imię wielkiego wirtuoza, w Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto salon muzyczny, gdzie eksponowane są bezcenne pamiątki ofiarowane przez wdowę po artyście — Anielę z Młynarskich Rubinsteinową, a na domu przy Piotrkowskiej 78 odsłonięto tablicę upamiętniającą łódzki okres życia Artura Rubinsteina.

DWA RAZY MAFIOSO

może zostać uważny czytelnik „Expressu Ilustrowanego" (nr 71 — 6, 7, 8, IV.84). Raz na tzw. rozkładówce (str. 8—9), gdy w rubryce „A to ciekawe!" wmawiają mu, że „i ty możesz zostać mafioso..." Zaś po raz drugi na str. 16, pod tytułem „Zabawa w mafię". Treść obu informacji identyczna, aczkolwiek są drobne różnice w tzw. adiustacji. Czy na czytanie „Expressu" w całości skazani są dopiero czytelnicy?

VICESEKATOR

— Żyjecie w bardzo bogatym kraju o wysoko rozwiniętej demokracji parlamentarnej. Dlaczego więc jesteście komunistami?

— Masz rację mówiąc, że Republika Federalna Niemiec jest jednym z najbogatszych krajów świata. Problem jednak w tym, jak rozdzielane są bogactwa. Żyją u nas ludzie niewyobrażalnie zamożni. Jest ich jednak niewielu. Zdecydowana większość musi bardzo ciężko pracować. Zaostrzający się kryzys kapitalizmu powoduje, że liczba biednych stale się zwiększa. Nie myślę tutaj o ludziach, którzy mało zarabiają, ale którzy są naprawdę biedni. Oficjalnie podano do wiadomości, że liczba bezrobotnych wynosi około 2,5 mln osób. Wśród nich 30 proc. nie otrzymuje żadnych zasiłków.

— Co to znaczy, w warunkach Republiki Federalnej, że ktoś jest naprawdę biedny? Czy nie ma co jeść, czy tylko nie stać go na samochód?

— Ja sam znam kilkanaście rodzin, które zastanawiają się jakie artykuły spożywcze mogą kupić, a na co ich już nie stać. Nędzę można połączyć z wieloma zjawiskami. Jest u nas około 2,5 mln analfabetów. Około 300 tys. osób nie ma dachu nad głową. Większość z nich mieszka pod namiotami w różnego rodzaju obozach, a 100 tys. żyje po prostu na ulicy czy na ławkach w parkach. Jeżeli ktoś traci pracę, to często nie stać go na płacenie wysokich czynszów i stąd taka sytuacja. Jest coraz więcej ludzi żyjących z żebraniny. Wielu z nich odżywia się odpadkami. Nie jest to oczywiście zjawisko masowe.

— Nie wiem czy ktoś mi uwierzy jeśli to napiszę, bowiem RFN w oczach Polaka wygląda zupełnie inaczej.

— Większej części klasy robotniczej powodzi się nadal dobrze, z tym, że zjawiska, które zasygnalizowaliśmy zdarzają się coraz częściej.

Innymi oznakami ubożenia społeczeństwa są na przykład samobójstwa wśród młodzieży. Nie istnieją na ten temat żadne dane oficjalne. Dąży się do zatuszowania problemu, niemniej samobójstwa są faktem. Przed miesiącem o dwóch wypadkach było bardzo głośno. 15-letni chłopiec i 15-letnia dziewczynka wyskoczyli z okna wieżowca. W listach pożegnalnych napisali, że popełniają samobójstwo, ponieważ nie widzą sensu dalszego życia bez pracy. Kilkadziesiąt razy podejmowali próbę znalezienia dla siebie miejsca uczniowskiego w jakimś zakładzie. Bez rezultatu.

Jesteśmy komunistami gdyż wiemy, że to o czym w tej chwili mówimy, nie dzieje się przypadkiem. Aby zlikwidować zło trzeba sięgnąć do jego istoty. Naszym celem ostatecznym jest więc zniszczenie systemu kapitalistycznego.

— Dlaczego w takim razie wasza partia — DKP nie cieszy się dużym poparciem nawet wśród klasy robotniczej? Świadczą o tym wyniki wyborów. Wręcz przeciwnie. Nastroje społeczeństwa RFN przesunęły się w prawo, czego dowodem jest utrzymanie przy władzy CDU/CSU.

— Nie jest to słuszna teza. Bezrobocie można uznać za środek dyscyplinujący społeczeństwo. Ci, którzy jeszcze mają pracę, z podkreśleniem słowa jeszcze, boją się ją tracić, ponieważ bardzo dobrze wiedzą, że na ulicy czekają tysiące na jedno wolne miejsce. Dlatego też robotnik będzie się bardzo długo zastanawiał przed przystąpieniem do strajku, przed zaangażowaniem się w działalność DKP.

— Jak wobec tego oceniacie pozycję DKP?

— Nie jest to jeszcze pozycja mocarza. Trzeba wziąć pod uwagę, że do roku 1968 nasza partia działała nielegalnie. Jesteśmy więc organizacją stosunkowo młodą. W innych krajach Zachodu, np. we Francji komuniści jako pierwsi chwycili za broń przeciwko hitlerowcom, czym zasłużyli sobie na duże uznanie społeczne. W Niemczech w okresie faszyzmu prawie wszyscy komuniści zostali wymordowani, a walka z hitlerowcami uważana była i jest nadal przez wielu historyków, za pewnego rodzaju zdradę intere-

Inni Niemcy

sów narodowych. To jeszcze mocno tkwi w świadomości części społeczeństwa. Dlatego oficjalna propaganda łatwo przypina nam łatkę agentów Moskwy lub Berlina. Są to stereotypy, z którymi bardzo ciężko jest walczyć, zwłaszcza, że mamy utrudniony dostęp do środków masowego przekazu. Niemniej nasz wpływ polityczny jest znacznie większy niżby wskazywały na to wyniki wyborów do Bundestagu. Szczególnie w zakładach pracy, gdzie komuniści znajdują się we władzach organizacji związkowych i samorządowych. O tym, że nasze wpływy są duże niech świadczą liczby podawane przez prasę burżuazyjną. Twierdzi się w niej,

Mówcie o nas albo dobrze, albo wcale

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

De mortuis aut bene aut nihil", czyli o zmarłych należy mówić albo dobrze, albo wcale. Do takiego wniosku doszli już starożytni Grecy, a później zgodzili się z nimi Rzymianie. Zasada ta przetrwała zresztą do dziś, chociaż coraz bardziej nabieram przekonania, że bardziej ją odnoszą do siebie żywi.

Nie należy mówić źle o zmarłych, gdyż oni nie mogą się już bronić. Natomiast o żywych należy mówić źle tylko wtedy, jeśli na to zasłużyli popełnionymi przez siebie błędami, nieumiejętnością, lenistwem, nieudolnością, brakiem kompetencji czy wiedzy. To znaczy — należy ich krytykować. Ale

KTO DZIŚ LUBI KRYTYKĘ!

Nikt. Ani indywidualnie, ani grupowo. Przeciw krytyce protestują lekarze, budowlani, kolejarze, górnicy. Lekarze mówią na przykład, że owszem służba zdrowia nie pracuje tak, jak tego należałoby oczekiwać, ale przede wszystkim dlatego, że nie ma ludzi, sprzętu, lekarstw, aparatury. Budowlani godzą się z tym, że kiedyś istotnie budowali więcej, ale to, że teraz budują mniej, to przecież nie jest ich wina. Brakuje ludzi, sprzętu, maszyn, materiałów, części zamiennych. Kolejarze znów mówią, że owszem, koleje jeżdżą źle, pociągi się spóźniają, w wagonach jest brudno, ale przecież brakuje ludzi, sprzętu, tabor jest zniszczony, tory nadwerężone.

— A kto okrada pociągi towarowe?

— Też się zdarza, ale przecież brakuje ludzi do pilnowania, upadł prestiż zawodu kolejarza, do pracy na PKP przyjmuje się różny element, takie już czasy...

Mógłbym tę listę pretensji ciągnąć w nieskończoność, bowiem każda grupa zawodowa uważa, że jej jest najtrudniej i każda ma przecież jakiś dorobek, więc zgłasza powszechne pragnienie, aby o nich pisać tylko dobrze, albo nie pisać wcale. Nauczyciele powiadają: nie krytykujcie nas, bo to nam podrywa autorytet. Podobnie mówią lekarze.

Stanisław Grodziński z sieradzkiego zabierając głos w dyskusji w zespole VI Krajowej Konferencji Delegatów, który to zespół zajmował się sprawami kultury, zaapelował do prasy, radia i telewizji, aby zaprzestano znęcania się nad pracownikami administracji. Jego zdaniem prasa pastwi się nad administracją, a to też przecież ludzie. Jeśli postępują źle, to należy zwrócić im na to uwagę w sposób kameralny, a nie wyciągać tego wszystkiego zła na światło dzienne.

Stanisław Podemski z „Polityki", zabierając głos w dyskusji „TU I TERAZ" na temat przyszłości reportażu po wprowadzeniu w życie „Prawa prasowego", powiedział między innymi o pracy niektórych rzeczników prasowych różnych instytucji:

„Są to ludzie, którzy są nastawieni na dwie sprawy. Po pierwsze — odpierać ewentualne słowa krytyki, po drugie ostrożnie wybadać, co też ten dziennikarz naprawdę zamierza, co paskudnego ma w zanadrzu. To są w najgorszym znaczeniu tego słowa urzędnicy. I tylko urzędnicy. Spotkałem kiedyś rzecznika poważnej instytucji, który w ogóle gazet nie czytał! Ja wierzę, że rządowi zależy na krytyce prasowej. Ale czy na krytyce zależy wojewodzie X, albo wiceministrowi Y? Wątpię".

— Czy nie lepiej było przed napisaniem i wydrukowaniem przyjść do nas, wyjaśnilibyśmy wszystko, porozmawiali i nie byłoby całej tej sprawy... — takie wypowiedzi słyszy się dość często. Wszyscy chcą bowiem, aby pisać i mówić o nich tylko dobrze. No, a już pokazywać w telewizji wyłącznie dorobek. Żadnych braków, niedomagań, niedociągnięć, żadnego bałaganu, marnotrawstwa! Tylko i wyłącznie osiągnięcia! Gdyby rzeczywiście było tak dobrze, jak tego wszyscy chcą, to skąd by wziął się kryzys? A kryzys jest przecież faktem!!!

Nikt nie lubi krytyki. W teorii wszyscy uznają jej niezbędność.

— Tak — mówią — krytyka jest potrzebna, dzięki krytyce można przezwyciężać błędy, chronić się przed nimi, usuwać wszelkie zło.

W praktyce wszakże wolą, jeśli krytyka dotyczy innych, a nie ich. Im — na ogół — krytyka nie jest potrzebna. A już samokrytyka w żadnym wypadku.

Wszyscy też wiedzą, jaka powinna być krytyka. A więc — powinna ona być — rzeczowa, wyważona, konstruktywna, życzliwa. Krytykujący powinien nie tylko wytykać błędy i niedociągnięcia, ale też przedstawić propozycje, jak te błędy usunąć, jak pracować lepiej, wydajniej. Wszyscy domagają się, aby krytykować konkretnie, ale najbardziej kochają — jeśli już muszą — krytykę ogólnikową, nie adresowaną do nikogo. Wtedy wszyscy najczęściej powiadają:

— Ale im przyłożyli!

I nikt takiej krytyki nie bierze do siebie. Nie jest to nic nowego pod słońcem, bowiem

JUŻ STAROŻYTNI MIELI KŁOPOTY Z KRYTYKĄ

Oto na przykład Konfucjusz powiadał:

— *„Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by potrafił dojrzeć swoje błędy i sam przed sobą oskarżyć się o nie".*

Okazuje się, że starożytni Chińczycy nie kochali też samokrytyki.

Ten sam Konfucjusz:

— *„Czyż można słusznej nie wysłuchać rady? Ważniejsze jest jednak to, by jej wysłuchawszy zmienić, co złe".*

Albo:

— *„Prawdziwym błędem jest błąd popełnić i nie naprawić go".*

Ale i wówczas domagano się, aby krytyka była konstruktywna. Oto inny chiński mędrzec — Mo Ti postulował:

— *„Krytykować, lecz radą nie służyć, to tak jak powódź powodzią powstrzymywać lub ogień gasić ogniem".*

Nie lubiano w starożytności krytyki. Oto co na ten temat mówił Sy-ma C'ien:

— *„Słowa prawdy są niemile dla ucha, ale dla postępowania korzystne, jak lekarstwo, co choć w ustach gorzkie, chorobę leczy".*

Natomiast Lao Tsy mówił:

— *„Prawdziwe słowa nie są piękne, a słowa piękne nie są prawdziwe".*

Czas wracać z tej wycieczki do starożytności. Przytaczając kilka starych maksym — a można przecież znaleźć ich znacznie więcej — chciałem tylko pokazać, że problem to nienowy, choć w naszych warunkach nabiera on zupełnie innego — żeby nie powiedzieć nowego — znaczenia.

Rozwój społeczny odbywa się

W SPRZECZNOŚCIACH I POPRZEZ SPRZECZNOŚCI

Zapominanie o tym, nie dostrzeganie tego faktu, brak umiejętności widzenia sprzeczności i bezkonfliktowego ich rozwiązywania grozi poważnymi konsekwencjami, które w naszych warunkach przybrały formę ostrego kryzysu, obejmującego wszystkie dziedziny życia. Partia na IX Nadzwyczajnym Zjeździe przyjęła program wychodzenia z kryzysu. Dokonuje się to powoli i r ó w n i e ż w sprzecznościach. Dlatego między innymi na zakończenie obrad Krajowej Konferencji Delegatów Wojciech Jaruzelski powiedział:

„Krytyka jest najlepszą metodą obrony przed niebezpieczeństwem nawrotu schorzeń, przed zapomnieniem leninowskich norm. Tego obawia się wielu ludzi. Wątpliwości najlepiej rozpraszać faktami".

Podstawową sprzecznością, która doprowadziła do kryzysu, była sprzeczność pomiędzy tempem rozwoju i poziomem sił wytwórczych, a zmianami w sposobach zarządzania gospodarką, życiem społecznym, możliwością działania różnych niezbędnych mechanizmów gospodarczych i społecznych, stopniem rozwoju demokracji socjalistycznej. IX Zjazd PZPR nakreślił konkretny program niezbędnych przemian i reform, realizacja których powinna doprowadzić do przezwyciężenia tej sprzeczności. Również w przyszłości należy pamiętać, że i w socjalizmie taka sprzeczność występuje i podejmować takie sposoby działania, które zapobiegałyby zaostrzaniu się tej sprzeczności, prowadziłyby do łagodnego, bezkonfliktowego jej rozwiązywania. Sprzeczność ta rodzi bowiem cały szereg innych, pochodnych.

Dla prawidłowego rozwoju społecznego niezbędne jest, aby rozwój demokracji socjalistycznej nie był hamowany przez nawrót starych nawyków: biurokracji, arogancji, dygnitarstwa, znieczulicy, indolencji. A takie niebezpieczeństwo zawsze występuje. W „Deklaracji wyborczej PRON" stwierdza się między innymi:

„Wiele postulatów ruchu, przyjętych na I Kongresie, czeka jeszcze na spełnienie. Nie sprzyja postępom na tej drodze skomplikowana sytuacja międzynarodowa, trudności gospodarcze, działalność przeciwników socjalizmu, a także nie wykarczowane jeszcze do końca stare nawyki w sprawowaniu władzy, biurokratyzm, arogancja, dygnitarstwo".

A jak te nawyki wykarczować, jeśli się ich przed tym nie ujawni? A czy ludzie, którym wygodnie jest z arogancją władzy, którzy utknęli w biurokratyzmie i stali się dygnitarzami zrezygnują tak szybko z tego, co im jest wygodne i korzystne, nie będą się bronili? Otóż będą! Jest to naturalne. Naturalne jest również to — niestety — że tego rodzaju zjawiska mają nieprzezwyciężoną siłę odrastania i odradzania się. Trzeba z nimi ciągle walczyć. Rozpoczynająca się kampania wyborcza do rad narodowych może być dla przezwyciężania takich zjawisk doskonałą okazją. Pod warunkiem, że dyskusja stworzy warunki dla krytyki.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie nawołuję do krytyki w ogóle, do krytyki dla krytyki. Nie o to chodzi. Uważam, że musi być czas i miejsce dla rzetelnej oceny tego, co osiągnęliśmy w minionym czterdziestoleciu, do pokazania dorobku naszego, jak też musi być czas i miejsce na krytyczne ukazanie tego, co t e r a z przeszkadza nam w przezwyciężaniu trudności i kryzysu.

W listopadzie 1920 roku Włodzimierz Lenin pisał:

„Biurokratyzm aparatu radzieckiego nie mógł nie przeniknąć do aparatu partyjnego, ponieważ aparaty te ściśle się ze sobą splatają. Walkę z tym złem można i należy stawiać obecnie na porządku dnia; nie należy jednak stawiać na płaszczyźnie krytyki dla krytyki, lecz na płaszczyźnie rzeczowego wskazywania metod walki z biurokratyzmem, a jeszcze lepiej — na płaszczyźnie rzeczywistej walki w tych instytucjach, w których krytykujący towarzysze pracują...

Kiedy słyszycie (...) krytykę pozbawioną treści, krytykę dla krytyki, bądźcie ostrożni, zważcie, czy aby coś nie zadrasnęło miłości własnej krytykującego towarzysza, może go coś osobiście uraziło lub rozdrażniło, i to właśnie pcha go do opozycji nieuzasadnionej, do opozycji dla opozycji...".

Przypominam, że był to rok 1920, kiedy Rosja Radziecka była w trudnej sytuacji, a mimo to — raczej właśnie dlatego — Włodzimierz Lenin nawoływał do krytyki. Bo krytyka — to sposób przezwyciężania słabości.

Kiedy w listopadzie 1917 roku jeden z komisarzy ludowych powiedział publicznie, że przeprasza za to, iż pozwolił sobie na ostrą krytykę, Włodzimierz Lenin oświadczył wówczas:

„Nie może tu być mowy o tym, czy można, czy też nie można pozwolić sobie na ostrą krytykę, krytyka ta stanowi obowiązek rewolucjonisty, a komisarze ludowi nie uważają się za nieomylnych...".

Innym razem, gdy na zebraniu zarzucono Leninowi, iż pozwolił sobie na ostrą polemikę, powiedział:

„Bywają jednak chwile, które zobowiązują do postawienia sprawy jasno i nazwania rzeczy po imieniu, pod groźbą wyrządzenia zarówno partii, jak i rewolucji niepowetowanej szkody".

A więc nie milczenie — aby się nikomu nie narazić — ale mówienie prawdy jest obowiązkiem rewolucjonisty. U nas często milczenie przyjmowano jako lepsze wyjście, zapewne w myśl oportunistycznej zasady, że *„mowa jest srebrem, a milczenie złotem"*. Nie ujawniając zła, nie wskazując na przejawy starego, na panoszenie się tego wszystkiego, co nam przeszkadza, nie posuniemy się do przodu, nie przezwyciężymy kryzysu do końca. A nieprzezwyciężony do końca kryzys może być zarodkiem nowego.

Niektórzy zastanawiają się,

CZY BĘDZIE LEPIEJ

po wejściu w życie od lipca 1984 roku „Prawa prasowego"? Istotnie „Prawo prasowe" określa warunki dla uprawiania krytyki prasowej. Pod terminem „krytyka prasowa" kryje się również krytyka w radiu i telewizji oraz kronice filmowej. Mówią o tym:

„Art. 5.1. Każdy obywatel, zgodnie z zasadą wolności słowa i prawem do krytyki, może udzielać informacji prasie.

2. Nikt nie może być narażony na uszczerbek lub zarzut z powodu udzielania informacji prasie, jeżeli działał w granicach prawem dozwolonych.

Art. 6.1. Prasa ma prawo do przedstawiania i krytyki wszelkich ujemnych zjawisk, w granicach określonych prawem i zasadami współżycia społecznego. Prasa korzystając z tego prawa dąży do prawdziwego przedstawiania omawianych zjawisk, kierując się interesem społeczeństwa i państwa socjalistycznego, jak również przestrzegania i ochrony praw i obowiązków obywatelskich. (...)

4. Nie wolno utrudniać prasie zbierania materiałów krytycznych ani w inny sposób tłumić krytyki".

To wszystko piękne, ale skorośmy przyjęli — a jest to przecież prawdziwe — że nikt nie lubi krytyki, to i na te postanowienia znajdzie się sposób. We wspomnianej dyskusji o reportażu w świetle „Prawa prasowego" publikowanej w „TU I TERAZ" cytowany już Stanisław Podemski powiedział:

„...ponieważ można się zasłonić wobec dziennikarza tajemnicą służbową — co obowiązuje na niższym szczeblu, bo tajemnica służbowa jest niższym gatunkiem tajemnicy państwowej, zaś to, co jest konkretnie tajemnicą służbową zgodnie z odpowiednią ustawą jest ustalane przez szefów resortu — to już dziś, powtarzam, szefowie resortów co jeno się ruszą, wpisują na listę tajemnic służbowych".

No, bo działa tu zasada, że o nas należy mówić albo dobrze, albo wcale.

Więc, czy będzie lepiej?

Sądzę, że prawo do krytyki przebija się i będzie się przebijało poprzez mur przeszkód, obojętności i przeciwieństw. Wynika to po prostu z dialektyki rozwoju. Stare, które powinno podlegać krytyce, nigdy nie ustąpi miejsca nowemu bez walki. Z tego trzeba zdawać sobie sprawę, jak również i z tego, że uprawianie krytyki grozi wypadkami przy pracy. Ryzyko zawodowe.

Ale sądzę, że nowe trudności — które dopiero poznamy po wejściu „Prawa prasowego" w życie — zmuszą krytykujących do szukania takich źródeł prawdy, które nie będą mogły być podważone. W przypadku dziennikarzy nie wystarczy już tylko wejść po informacje do dyrektora, sekretarza partii, do związków zawodowych, ale trzeba będzie zdobyć faktyczny materiał różnymi — legalnymi oczywiście — sposobami. Będzie to trudniejsze, ale korzystniejsze dla poziomu i wartości krytycznych publikacji. Jeśli ktoś sądzi, że dyrektorzy sami będą dostarczali materiału do krytyki pracy ich przedsiębiorstw, to był, jest i będzie w błędzie.

— *„Nie widziałem jeszcze nikogo* — mówił Konfucjusz — *kto by potrafił dojrzeć swoje błędy i sam przed sobą oskarżyć się o nie".*

Nie wątpię, że Konfucjusz był mądrym człowiekiem.

Zgadzam się też z Kazimierzem Koźniewskim, który we wspomnianej już dyskusji o reportażu mówi:

„Często ważniejsze są pozytywne społeczne skutki ostrego reportażu niż to, że dotknie o jakąś konkretną jednostkę i nawet to, że jej krzywdę zrobi..."

Ale przez chwilę nie mam wątpliwości, że z taką prawdą i takim podejściem do krytyki będą godzić się krytykowani. Zbyt długo przekonywaliśmy ludzi, że przede wszystkim trzeba pokazywać to, co zrobiliśmy, że pozytywny przykład działa silniej i trwalej. To prawda! Skutek przegięcia w tej dziedzinie objawił się nam jednak zasadą: — o nas należy mówić tylko dobrze, albo milczeć! A dla postępu niezbędne jest mówienie prawdy o tym, co postęp hamuje. A hamują go ludzie swoją wadliwą działalnością. Więc za to ich chwalić?

„Wolność prasy — pisał Karol Marks — *tak samo jak lekarz, nie obiecuje doskonałości ani poszczególnemu człowiekowi, ani narodowi".*

A zdaniem Karola Marksa:

„Wolność prasy polega przede wszystkim na tym, że prasa nie może być rzemiosłem".

No właśnie!

że agentów tajnej policji, zajmującej się sprawami politycznymi, jest więcej niż członków DKP.

— Zjednoczone państwo niemieckie było w historii raczej wyjątkiem niż regułą, niemniej dosyć wyraźnie słychać z RFN głosy mówiące o ewentualnym zjednoczeniu z NRD. Jakie jest wasze zdanie na ten temat?

— Po wojnie właśnie komuniści byli pierwszą siłą, która mówiła o zjednoczeniu Niemiec. W latach pięćdziesiątych ZSRR proponował utworzenie jednego państwa niemieckiego na pewnych warunkach, m. in. jego neutralności. Byliśmy za tym projektem. Alianci jednak doszli do wniosku, że lepiej mieć po swojej stronie połowę Niemiec w całości niż całe Niemcy w połowie. W obecnych warunkach politycznych jesteśmy za pokojowym współistnieniem i współpracą dwóch państw niemieckich.

Idee zjednoczenia nie cieszą się wśród większości młodych Niemców szczególnym poparciem, ponieważ są oni świadomi, że NRD to już inne państwo, o odmiennej polityce, a nawet kulturze. Możemy śmiało powiedzieć, że obecnie do zjednoczenia dążą te same siły, które doprowadziły do powstania dwóch państw niemieckich.

— Jacy są młodzi Niemcy w RFN?

— Myślę, że większość młodych Niemców sympatyzuje z ruchem pokojowym. Coraz więcej też wiemy o okropnościach faszyzmu. Buntujemy się przeciwko niesprawiedliwości, uciskowi, podwójnej moralności. Popieramy ruchy wyzwoleńcze w całym świecie. Zdaję sobie sprawę z tego, że wymieniam tylko hasła. Są to takie drobne kawałeczki, z których składa się światopogląd młodych Niemców.

— Czy wy braliście udział w manifestacjach pokojowych?

— Tak.

— Czy to jest niebezpieczne? Mam na myśli represje policyjne.

— Najczęściej stosowanymi represjami w stosunku do przeciwników politycznych są zwolnienia z pracy. Jednakże sam udział w demonstracjach nie wywołuje takich reakcji, dlatego, że manifestacje są masowe. Nie można zwolnić za jednym zamachem kilkudziesięciu tysięcy osób, chociaż znamy przypadki usunięcia tylko za zbieranie podpisów pod pokojowym apelem.

Same manifestacje mają najczęściej spokojny przebieg. Bywa jednak i inaczej. 21 listopada ubiegłego roku Bundestag zadecydował,, że amerykańskie rakiety będą stacjonowały na terenie Republiki Federalnej. Wielka manifestacja, którą po tym zorganizowaliśmy została rozpędzona przez policję przy pomocy psów, pałek i gazów łzawiących.

— Jaki sens miały wasze manifestacje skoro rakiety i tak zostały rozmieszczone?

— Rakiety mogą zostać wycofane z naszego państwa, jeżeli wszyscy świadomi obywatele zdecydowanie przeciwko nim się wypowiedzą. Najbardziej radykalną i skuteczną formą byłby strajk generalny. Dlatego też chodzi przede wszystkim o uaktywnienie klasy robotniczej. Organizując manfiestacje, zbierając podpisy, chcemy dać każdemu szansę wypowiedzenia się w sprawie pokoju.

— Nie byłbym Polakiem, gdybym na zakończenie nie zadał pytania jaki jest stosunek młodzieży niemieckiej do Polski? Co młodzież niemiecka wie o naszym kraju, o II wojnie światowej?

— O wiele za mało.

— Dlaczego?

— Istnieją bardzo duże braki w systemowym opracowaniu historii w podręcznikach szkolnych. Na przykład sprawa faszyzmu przedstawiana jest bardzo powierzchownie, a przy tym nieprawdziwie. Mówi się, że faszyzm został wywołany przez jednego człowieka, obłąkanego na dodatek, Adolfa Hitlera. Niektórzy nauczyciele propagują wręcz politykę neofaszystowską. Jest to możliwe dlatego, że sam nauczyciel w zależności od landu, od rządzącej partii, własnych poglądów, może wybierać podręcznik do nauki historii i samemu układać program lekcji. I trzeba stwierdzić otwarcie, że w niektórych szkołach Niemcy ukazywane są w granicach z 31.XII.1937 roku. Na szczęście tylko w niektórych.

Rozmawiał:
MAREK MAMOS

Zarząd Łódzki ZSMP przez tydzień gościł kilkunastoosobową grupę młodych, zachodnioniemieckich komunistów, zrzeszonych w SDAJ. Dwóch z nich poprosiliśmy o rozmowę. Chcieliśmy poznać o czym myślą, jakie mają ambicje, do czego dążą, jednym słowem jacy są młodzi komuniści mieszkający nad Renem.

SDAJ — Sozialistische Deutsche Arbeiterjugend — organizacja młodzieżowa działająca przy DKP — Deutsche Kommunistische Partei. Zrzesza kilkadziesiąt tysięcy młodych Niemców. Liczy ponad 1000 grup i organizacji podstawowych.

Hans Georg Eberhard — lat 27, sekretarz Biura Wykonawczego SDAJ.

Jan Köhler — lat 31 — prawnik zatrudniony w firmie ubezpieczeniowej, członek władz SDAJ w Hamburgu.

BAZYLI BIAŁOKOZOWICZ

Michał Szołochow

W dniu 21 lutego 1984 roku, w stanicy Wieszeńskiej w Obwodzie Rostowskim zmarł Michał Szołochow. Tam też odbył się pogrzeb. Jego śmierć stanowi ciężką stratę dla literatury radzieckiej. W nekrologu podpisanym przez pierwszego sekretarza KC KPZR, Konstantina Czernienkę, a także innych przywódców partii i rządu radzieckiego, reprezentantów radzieckiego świata literatury i sztuki czytamy:

„Wierny syn partii komunistycznej, zaciwy bojownik o rewolucyjną odnowę życia, Michał Szołochow rozwijał i wzbogacał wielkie doświadczenie sztuki realizmu socjalistycznego. W swych utworach ogarniał olbrzymie obszary życia narodu, tworzył barwne obrazy, przeniknięte poezją i prawdą. Książki Michała Szołochowa są potężną bronią ideową, niosą narodom świata prawdę o realnym socjalizmie".

Taki punkt widzenia jest w pełni zrozumiały. Szołochow jest bowiem genialnym współtwórcą przepojonej wielkimi ideami humanistycznymi literatury radzieckiej, zrodzonej w nowych warunkach historycznych, stworzonych przez Rewolucję Październikową i otwierających nową epokę w dziejach ludzkości. Przyjrzyjmy się więc

CURRICULUM VITAE

autora „Cichego Donu".

Michał Szołochow, syn Aleksandra, urodził się, według obowiązującego w Rosji do 1917 roku „starego stylu", tzn. kalendarza juliańskiego, dnia 11 maja 1905 roku, czyli według „nowego stylu", tzn. kalendarza gregoriańskiego, dnia 24 maja 1905 roku w chutorze Krużylin należącym do stanicy Wieszeńskiej w Obwodzie (obłasti) Wojska Dońskiego (obecnie — rejon Wieszeński w Obwodzie Rostowskim). Z etnograficznego punktu widzenia było to pogranicze rosyjsko-ukraińskie, a w sensie społecznym — pogranicze kozacko-chłopskie. Matka Szołochowa była Ukrainką i pochodziła ze środowiska chłopskiego. Ojciec — Rosjanin, wywodzący się z ówczesnej guberni Riazańskiej, na terenie stanicy Wieszeńskiej, dzierżawił ziemię u Kozaków, a także pracował jako oficjalista oraz imał się wielu innych zawodów.

Michał Szołochow od lat najmłodszych zżył się ze środowiskiem kozackim. Uczył się w miejscowej szkole cerkiewno-parafialnej (cerkowno-prichodskoj), ale z powodu choroby oczu, w 1914 roku wyjechał na leczenie do Moskwy, gdzie też rozpoczął naukę w gimnazjum Szelaputina. Następnie uczęszczał do gimnazjum Boguczarowskiego, a także przez kilka miesięcy w 1918 roku uczył się w gimnazjum w stanicy Wieszeńskiej.

Młody Michał Szołochow bardzo się interesował ówczesnymi wydarzeniami wojennymi, rewolucyjnymi i politycznymi. A był to przecież okres przełomowy zarówno w dziejach Rosji, jak i świata. Gimnazjalista zamieniał się cały w słuch przy różnego rodzaju relacjach i wspomnieniach żołnierzy powracających z frontu lub z niewoli niemieckiej. Z zapartym tchem chłonął wiadomości o wydarzeniach rewolucyjnych w Piotrogrodzie, o działalności bolszewików i o głoszonym przez nich programie budowy społeczeństwa komunistycznego. Wnet wojna domowa dotarła nad Don. Nie było więc mowy o kontynuowaniu nauki w gimnazjum. Michał Szołochow bierze aktywny udział w wojnie domowej, zdecydowanie opowiadając się po stronie czerwonych. Z autopsji więc poznaje mechanizm walk bratobójczych nad Donem, będąc koronnym świadkiem wstrząsających sumieniem ludzkim najrozmaitszych tragedii. Tam się uczy prawdy życia, poznaje jej gorzki smak. W ostrych starciach wojny domowej, w której brat szedł na brata, a ojciec na syna, przyszły pisarz poznaje drogi i bezdroża swego narodu, złożoną, a więc jakże niejednoznaczną prawdę trudnego procesu nobilitacji mas ludowych, wkraczających na arenę dziejową już jako podmiot historii i przez to samo stokrotnie wzmacniających dynamikę rozwojową swego kraju.

MŁODOŚĆ LITERACKA

W końcu 1922 roku Michał Szołochow przyjeżdża do Moskwy. Interesuje go bardzo literatura. Zajmuje się więc intensywnie w chwilach wolnych od pracy samokształceniem w tym zakresie. Warunki materialne miał bardzo trudne. Zmienia też wiele zawodów. Pracuje jako tragarz, zwykły robotnik, rachmistrz. Jednocześnie wykazuje coraz większe zainteresowanie współczesnym życiem literackim. A było ono na początku lat dwudziestych bardzo różnorodne. Istniało mnóstwo ugrupowań literackich o najrozmaitszych tendencjach i wciąż powstawały nowe, ogłaszane różnorodne programy, manifesty i deklaracje literackie, w których to uwypuklano rolę tradycji klasycznych, to znowu w imię nowatorstwa „rewolucyjnego" przekreślano je całkowicie. Estetyzm i formalizm przeplatały się w nich z powierzchowną demagogią i deklaratywnością, patos rewolucyjny z tanim pseudoromantyzmem, żarliwość rewolucyjna z gołosłownym frazesem, konkret rewolucyjny z szablonem i schematem, zaangażowanie w sprawy rewolucji z awanturnictwem anarchistycznym. Poszukiwano namiętnie odpowiedzi na pytania dotyczące istoty i sensu literatury rewolucyjnej. Powstawały w tym zakresie różnorodne teorie, rodziły się też abstrakcyjne spekulacje o rozmaitym natężeniu i zabarwieniu ideowo-politycznym.

Michała Szołochowa przede wszystkim interesowała prawda życiowa i przyciągał autentyzm rewolucyjny. Zbliżył się przeto do komsomolskiej grupy literackiej *Mołodaja Gwardija*, zaczął uczęszczać na jej zebrania, uważnie przysłuchiwał się dysputom na tematy literatury pięknej i w 1923 roku wstąpił w jej szeregi. Należeli do tej grupy literackiej m. in. Aleksander Biezymieński, Jurij Lebiediński, Waleria Gierasimowa, Michał Gołodny, Artiom Wiesioły, Michał Swietłow, Aleksander Żarow, Lidia Siejfullina, Marek Kołosow i wielu innych. Ściśle z nią współpracowali Aleksander Fadiejew, Dymitr Furmanow i Borys Gorbatow. Swoje utwory wyżej wymienieni pisarze publikowali na łamach takich gazet i czasopism, jak „Junoszeskaja Prawda", „Mołodoj Leniniec", „Mołodaja Gwardija", „Komsomolija" „Żurnał Kriestianskoj Mołodioży" oraz almanachów literackich „Mołodogwardiejcy", „Mołodost'" i innych. W ugrupowaniu tym stawiano przede wszystkim na literaturę ideową i zaangażowaną, stanowczo przeciwstawiano się „wszechkosmicznemu" abstrakcyjnemu poetyzowaniu rewolucji; propagowano konkret i postulowano konieczność wyrobienia takiej umiejętności w analizie artystycznej faktów, aby można było *„za każdoj miełoczju riewolucyju mirowuju najti!"*.

Michał Szołochow debiutował felietonem *Próba (Ispytanije)*, opublikowanym 19 września 1923 roku na łamach komsomolskiej gazety „Junoszeskaja Prawda". Tam też ogłosił kilka innych felietonów i szkiców na aktualne tematy.

DEBIUT PISARZA

Zapowiedzią wielkiego talentu stało się jednak opowiadanie *Znamię* (Rodinka), wydrukowane 12 i 14 grudnia 1924 roku w gazecie „Mołodoj Leniniec". Akcja utworu toczy się nad Donem. Czerwony szwadron dowodzony przez komsomolca Mikołaja Koszewoja stacza potyczkę z oddziałem białego atamana. *„Zawrócił ataman konia, a na niego, uskrzydlony, pędzi jeden i wymachuje szablą. Po lornetce, skaczącej na piersi, po burce poznał ataman, że to galopuje nie szeregowy czerwonoarmista, i ściągnął wodze"*. Następuje ostre starcie, w wyniku którego ginie czerwony dowódca. Ataman, ściągając buty z zabitego, ujrzawszy *„na nodze powyżej kostki, znamię wielkości gołębiego jajka"*, rozpoznał swego syna, którego nie widział przez siedem lat wojny.

Zwolna, jakby bojąc się zbudzić, obrócił do góry stygnącą głowę, ręce unurzał we krwi, wypełzającej z ust szeroką pagórkowatą falą, przyjrzał się i dopiero wtedy niezręcznie objął kościste ramiona i powiedział głucho:

— Synku!... Nikołuszka!...

Kochany... Krwi moja...

Czerniejąc, krzyknął:

— No, powiedz choć słowo! Jakże to, hę?

Upadł, zaglądając w gasnące oczy; podnosząc zalane krwią powieki, trząsł bezwolne, podatne ciało.... Ale mocno zagryzł Nikołka zsiniały koniuszek języka, jakby się bał wygadać z czymś niepomiernie większym i ważnym.

Do piersi przyciskając, ucałował ataman stygnące ręce syna i, zacisnąwszy zębami spotniałą stal mauzera, strzelił sobie w usta...

(Przekład Władysława Broniewskiego)

Znamię otwiera cały cykl opowiadań, publikowanych w następujących gazetach, czasopismach i almanachach: „Mołodoj Leniniec", „Smiena", „Ogoniok", „Prożektor", „Komsomolija", „Mołodost'", „Żurnał Kriestjanskoj Mołodioży", i innych. W 1926 roku zostały one włączone do dwóch zbiorków *Opowiadania znad Donu* (Donskije rasskazy) i *Lazurowy step* (Łazoriewaja stiep'), które ukazały się w wydawnictwie „Nowaja Moskwa". Przedmowę do *Opowiadań znad Donu* napisał wyśmienity znawca życia kozackiego nad Donem i stosunków społecznych tam panujących, Aleksander Sierafimowicz. Doświadczony pisarz przede wszystkim zwrócił uwagę na prawdę życia, obrazowość, jędrny język, zwięzłość i poczucie miary w najbardziej nawet napiętych sytuacjach oraz przepowiedział dalszy twórczy rozwój oryginalnego talentu Szołochowa.

W swoich wczesnych felietonach, szkicach, opowiadaniach i opowieściach Michał Szołochow, ukazując rozwarstwienie wsi kozackiej, w latach wojny domowej, kreślił autentyczne ludzkie charaktery w ostrych i tragicznych w swej wymowie starciach walk bratobójczych (np. *Komisarz żywnościowy* — Prodkomissar, *Dozorca basztanów* — Bachczewnik, *Nasienie szybałki* — Szybałkowo siemia, *Wir* — Kołowiert', *Człowiek familijny* — Siemiejnyj czełowiek) oraz przedstawiał zaostrzającą się nad Donem walkę klasową, ujawniając jej złożone i niejednoznaczne mechanizmy w oddziaływaniu na psychikę ludzką (*Pastuch* — Pastuch, *Serce Aloszki* — Aloszkino sierdce, *Droga-dróżka*, — Put'-dorożenka, *Śmiertelny wróg* — Smiertnyj wrag, *Znajda* — Nachalonok, *Lazurowy step* — Łazoriewaja stiep', *Parobcy* — Batraki i inne).

Opisując życie kozackie w całej jego złożoności i naturalności Szołochow obalał stereotyp „Kozaka na koniu z nahajką", wiernie służącego carowi, rozwiewał mit „rosyjskiej Wandei". Pisarz już w swoich wczesnych utworach przekonywająco ukazał, iż idee socjalistyczne zasiane przez bolszewików nad Donem stały się prężną siłą społeczną i ważnym czynnikiem historiotwórczym, decydującym o nowoczesnej dynamice rozwojowej również tego regionu kraju. Na podstawie utworów Szołochowa możemy sobie doskonale uświadomić trudny proces stawania się kozackich chutorów i stanic społecznością socjalistyczną oraz przekształcania się również na tym terenie państwa socjalistycznego w ogólnonarodowe państwo radzieckie.

Konstatując powyższe, należy mocno podkreślić, iż Szołochow w swojej twórczości literackiej wypowiadał się o sprawach, które znał doskonale, o problemach, które go stale nurtowały. Już na początku swej drogi twórczej bardzo wyraźnie zademonstrował nierozerwalny związek z ziemią rodzinną, z Donem i Kozakami. Interesował się dosłownie wszystkim, co się tam działo. Mieszkając w Moskwie, stale żył Donem, stamtąd czerpał najbardziej życiodajne soki, stale wyczuwał krzepiący związek z tamtymi ludźmi i z tamtejszą ziemią, przyrodą, krajobrazem, co też znalazło swój jaskrawy wyraz już w jego młodzieńczej twórczości, poświadczającej dobitnie tożsamość narodową rosyjskiego pisarza radzieckiego, uwarunkowaną jego nierozerwalnymi więzami z „ziemią-matką żywicielką". Dlatego też kategoria ziemi w nierozdzielnym związku z pracą i pełną prawdą o człowieku jako podstawowa zasada, jako archetyp zajmuje tak ważne miejsce w całej twórczości Szołochowa, uwrażliwionej na los człowieka w ojczyźnie i odpowiadającej na

NAJWAŻNIEJSZE SPRAWY SWOJEGO NARODU

W opowiadaniu *Obca krew* (Czużaja krow', 1926), przedstawiając tragedię Gawryły po stracie syna Piotra, Szołochow tak pisze o ludowo-ojczyźnianym stosunku owego starego Kozaka do „ziemi-żywicielki":

Przepadł syn — nie było komu robić. Waliły się stodoły, bydło łamało bazy, gniły krokwie kurnika, z którego burza zerwała dach. W stajni, w pustych stoiskach po swojemu gospodarowały myszy, pod okapem rdzewiała kosiarka.

Konie brali przed odejściem Kozacy, resztki wzięli czerwoni, a ostatniego, kosmatonogiego i uszastego, pozostawionego przez czerwonoarmistów na wymianę, za jedno obejrzenie kupili jesienią machnowcy. W zamian pozostawili dziadowi parę angielskich owijaczy.

— Niech już nosi nasze! — kpił machnowski kaemista. — Wzbogacaj się, dziadu, naszym dobrem!...

Waliło się w proch wszystko zapracowane w ciągu dziesiątków lat. Ręce opadały w robocie; ale wiosną — kiedy jałowy step kładł się pod nogami pokorny i osłabły — kusiła dziada ziemia, wzywała po nocach władczym niedosłyszalnym zewem. Nie mógł się oprzeć, zaprzęgał woły do pługa, krajał step stalą, obsiewał nienasycone łono czarnoziemu jędrną pszenicą.

(Przekład Władysława Broniewskiego)

W opowiadaniu *Lazurowy step* (1926) kaleka Anikiej najbardziej się martwi tym, że nie będzie mógł więcej uprawiać ziemi:

Anikiejowi obcięto nogi, chodzi teraz na rękach, tułów ciągnie po ziemi. Wesoły z wyglądu, z chłopakiem Siemiona co dzień mierzą się przy framudze drzwi. Chłopak go przerasta... Zimą, zdarzało się, wyjdzie na ulicę, ludzie pędzą bydło do rzeczki, do wodopoju, a on podniesie ręce i siedzi na drodze... Woły ze strachu na lód biegną, na ślizgawicy omal się nie rozdzierają, a on się śmieje... Raz tylko zauważyłem... Wiosną traktor naszej komuny orał ziemię za kozacką granicą, a on przyczepił się, pojechał tam. Ja owce pasłem niedaleko stamtąd. Patrzę, pełznie mój Anikiej po roli. Myślę, co on będzie robił? I widzę: rozejrzał się Anikiej dokoła, widzi, że ludzi nie ma w pobliżu, i przypadł twarzą do ziemi, skibę, wywróconą lemieszami, objął, do siebie przycisko, rękami głaszcze, całuje... Dwudziesty piąty rok ma, a ziemi za życia nie będzie orał... To go gnębi...

Mamy tu niewątpliwie do czynienia z ludową koncepcją filozoficzną ziemi, czyli z ludowym odczuciem świata polegającym na synowskim stosunku do „ziemi-matuszki". Otóż związek z ziemią i ludźmi, z własnym społeczeństwem i narodem pomaga znieść najokrutniejszą nawet tragedię.

Poczynając od zbiorków *Opowiadania znad Donu* i *Lazurowy step*, podstawowymi problemami twórczości Szołochowa konsekwentnie rozwijanymi w jego dalszych utworach staną się pytania o rozwój człowieka i jego wspólnoty rodzinnej, sąsiedzkiej, zespołowej, klasowej, kulturowej i narodowej, humanistyczne odkrywanie sensu ziemi i przyrody, przedstawianie istoty zderzenia się wartości tradycji i rewolucji, dialektyki sensu szczęścia człowieka z prawdą rewolucji, integracji wartości tradycyjnych z wartościami nowymi, tworzonymi w społeczeństwie socjalistycznym.

POWRÓT NAD DON

W Moskwie Szołochow mieszkał dwa lata (1922—1924) i to w tym okresie niejednokrotnie się „urywał" nad ukochany swój Don, gdzie też w styczniu 1924 wstąpił w związek małżeński z Marią Gromosławską, córką Piotra, i pod koniec tegoż roku przeniósł się nad Don: początkowo zamieszkiwał w stanicy Kargińskiej, ale już w styczniu 1926 r. osiadł na stałe w stanicy Wieszeńskiej.

Na decyzję powrotu nad Don złożyło się wiele czynników, ale niewątpliwie najważniejszymi były dążenie do prawdziwego i dogłębnego poznania autentycznego życia swoich bohaterów oraz wewnętrzna, duchowa potrzeba utrzymywania stałych — na co dzień — kontaktów z tym środowiskiem, które dostarcza mu tworzywa literackiego, i z którego się wywodzą jego bohaterowie. Już na podstawie pierwszych utworów można było dojść do wniosku, iż mamy tu do czynienia z pisarzem, który jest bezpośrednio i osobiście zaangażowany w życie swego narodu, któremu absolutnie nie odpowiada beznamiętne, obojętne i bierne obserwowanie życia z daleka. Tę właśnie cechę u Szołochowa trafnie zaobserwował jego serdeczny przyjaciel, również pisarz, Witalij Zakrutkin:

Pisarze rozmaicie zapoznają się z życiem. Jedni po prostu obserwują świat, dokładnie wszystko notują, a potem sięgają do swoich notatek jako do głównego źródła wiedzy o świecie; inni zacieśniają sferę obserwacji do interesujących ich przedmiotów i zjawisk, jeszcze inni analizują przeżycia i czyny ludzi i nic więcej ich nie obchodzi. Ale są artyści w najwyższym, najpełniejszym tego słowa znaczeniu, ludzie-bojownicy, głosiciele prawdy, chciwi wiedzy o wszystkim, gorący uczestnicy wydarzeń. Nie trzeba im powtarzać niby zaklęcia hasła «angażujcie w życie», bowiem stale działają w kotlującym się wirze życia i czują się jak żołnierze na polu bitwy.

Taki jest Michał Szołochow.

Przez całe życie mieszka nad Donem, przejął od tutejszego życia mądrą wiedzę o ziemi, przyrodzie, wszystkim, co otacza rolnika. Od dzieciństwa wie wszystko, co wiedzieć powinien chłop-rolnik i ziemia zdradziła mu te wielkie i małe tajemnice, te ukryte aspekty wiecznego istnienia, które odsłaniają się tylko przed kimś bliskim, swoim.

Natomiast trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, iż ówczesne życie literackie w Moskwie stanowczo nie zadowalało Szołochowa. Jego stosunek był dosyć krytyczny do działalności poszczególnych ugrupowań literackich, a zwłaszcza do ich licznych programów, manifestów i deklaracji. Grupa literacka Mołodaja Gwardija, której członkiem był m. in. Szołochow, wraz z ugrupowaniami literackimi Oktiabr' i Raboczaja Wiesna, w marcu 1923 roku weszła w skład Moskiewskiej Asocjacji Pisarzy Proletariackich, ktora z kolei na mocy uchwały I Wszechzwiązkowej Konferencji Pisarzy Proletariackich w styczniu 1925 roku stała się częścią składową Rosyjskiej Asocjacji Pisarzy Proletariackich (RAPP). Nie do przyjęcia były dla Szołochowa sekciarskie postawy i manipulacje niektórych przywódców RAPP. Swoją zaś twórczością udowodnił on w sposób oczywisty, że wielki i prawdziwy talent nie mieści się w wąskich szablonach i schematycznych ramach takiego czy innego ugrupowania literackiego, że nie można go zamknąć w jednoznacznie oceniających sformułowaniach.

Już w pierwszych swoich utworach Szołochow, opisując realistycznie i prawdziwie wydarzenia okresu wojny domowej nad Donem, faktycznie zdecydowanie przeciwstawiał się pseudorewolucyjnemu frazesowi, górnolotno-powierzchownej romantyce i taniemu patosowi rozpowszechnionemu wśród wielu drugorzędnych pisarzy. Modne stylistyczne poszukiwania tego okresu (naturalizm grozy, dialektyzmy, proza rąbana, rytmiczna) nie miały większego znaczenia dla Szołochowa. W celu najbardziej pełnego przedstawienia prawdziwego oblicza swoich bohaterów starał się on głęboko wniknąć w tragizm i dramatyzm wydarzeń i sytuacji, w których się najbardziej sprawdzają ludzie i ich charaktery. Dla niego bowiem rzeczywistą szkołą i sprawdzianem talentu była prawda życia. W pracy swej nie kierował się programami, manifestami i deklaracjami takich czy innych ugrupowań literackich, lecz szczytną zasadą — nie sprzeniewierzać się prawdzie, ani historycznej, ani ludzkiej. Takie credo pisarskie Szołochowa było uwarunkowane jego bezgraniczną miłością do ziemi rodzinnej, do kraju ojczystego, patriotycznym uczuciem odpowiedzialności za jego losy oraz głęboką wiarą w niespożyte siły narodu rosyjskiego. Stąd właśnie wypływała jego niezależna postawa wobec takich czy innych zewnętrznych nakazów i nacisków, co też ze szczególną siłą się ujawniło podczas pisania i wydawania *Cichego Donu*.

POWSTAJE EPOPEJA

Do pracy nad tym najznakomitszym utworem w literaturze radzieckiej *Szołochow* przystąpił w 1925 roku. Powieść, którą początkowo zamierzał nazwać *Donszczyzną* (Donszczina), miała na celu ukazanie kozactwa w latach rewolucji i wojny domowej, ale już po napisaniu dość dużej części utworu wyraźnie odczuł, że czytelnik może nie zrozumieć dlaczego Kozacy w swej podstawowej masie walczyli z rewolucją i wzniecali powstania przeciwko władzy radzieckiej. Szołochowowi szczególnie więc zależało na tym, aby w sposób jak najbardziej prawdziwy przedstawić życie kozaczyzny i jej udział w wydarzeniach historycznych, aby w pełni przekonywająco, zgodnie z prawdą życia, ukazać, że Wielki Przełom w życiu Kozaków nie był ani łatwy, ani prosty, że rozpad starego patriarchalnego układu i zwycięstwo nowego, rewolucyjnego kierunku miały niejednokrotnie przebieg bardzo skomplikowany, dramatyczny i częstokroć tragiczny w swojej ludzkiej wymowie.

We wczesnych opowiadaniach i opowieściach rewolucję Szołochow przedstawiał głównie przez pryzmat odczuć, przekonań i działań jej zwolenników i bojowników. Dążąc jednak do artystycznego zgłębienia całej prawdy życia, pisarz postanowił w swym nowym utworze ukazać rewolucję zarówno od strony jej zwolenników, jak i przeciwników, zwracając większą uwagę na tych właśnie ostatnich. Tak zwana rosyjska Wandea poniosła klęskę, ale dla Szołochowa bardzo ważna była prawda ludzka, wymagająca postawienia spraw trudnych, często bolesnych. A to właśnie nie było już takie łatwe. Nie tylko chodziło tu, przy takim stawianiu spraw, o różnego rodzaju dogmatyczno-sekciarskie zarzuty obcości ideowo-politycznej, ale przede wszystkim twórcza intuicja podpowiadała Szołochowowi konieczność wszechstronnego zgłębienia społecznej, psychologicznej, etycznej i historycznej motywacji takiego stanu rzeczy. Aby to uczynić, należało sięgnąć do genezy owych zjawisk, wrócić do przedrewolucyjnego i przedwojennego okresu. Właśnie dlatego pisarz postanowił zmienić plan i charakter swego utworu, sięgnąć do okresu pierwszej wojny światowej i udziału w niej Kozaków. Ale i to było niewystarczające. Autor powstającego utworu nawiązał więc do okresu sprzed pierwszej wojny światowej, do roku 1912 i ukazał również pokojowe życie Kozaków, rozpoczynając swą powieść od ekspozycji rodu Mielechowych oraz obszernie i z wyjątkowym znawstwem opisując w jaskrawych i mieniących się barwach właściwości bytu tych naddońskich na wpół chłopów i na wpół żołnierzy, stanowiących w warunkach Rosji carskiej stan uprzywilejowany i przez to wyzyskiwanych przez rząd carski do obrony klasowych interesów ówczesnego ustroju.

c.d.n.

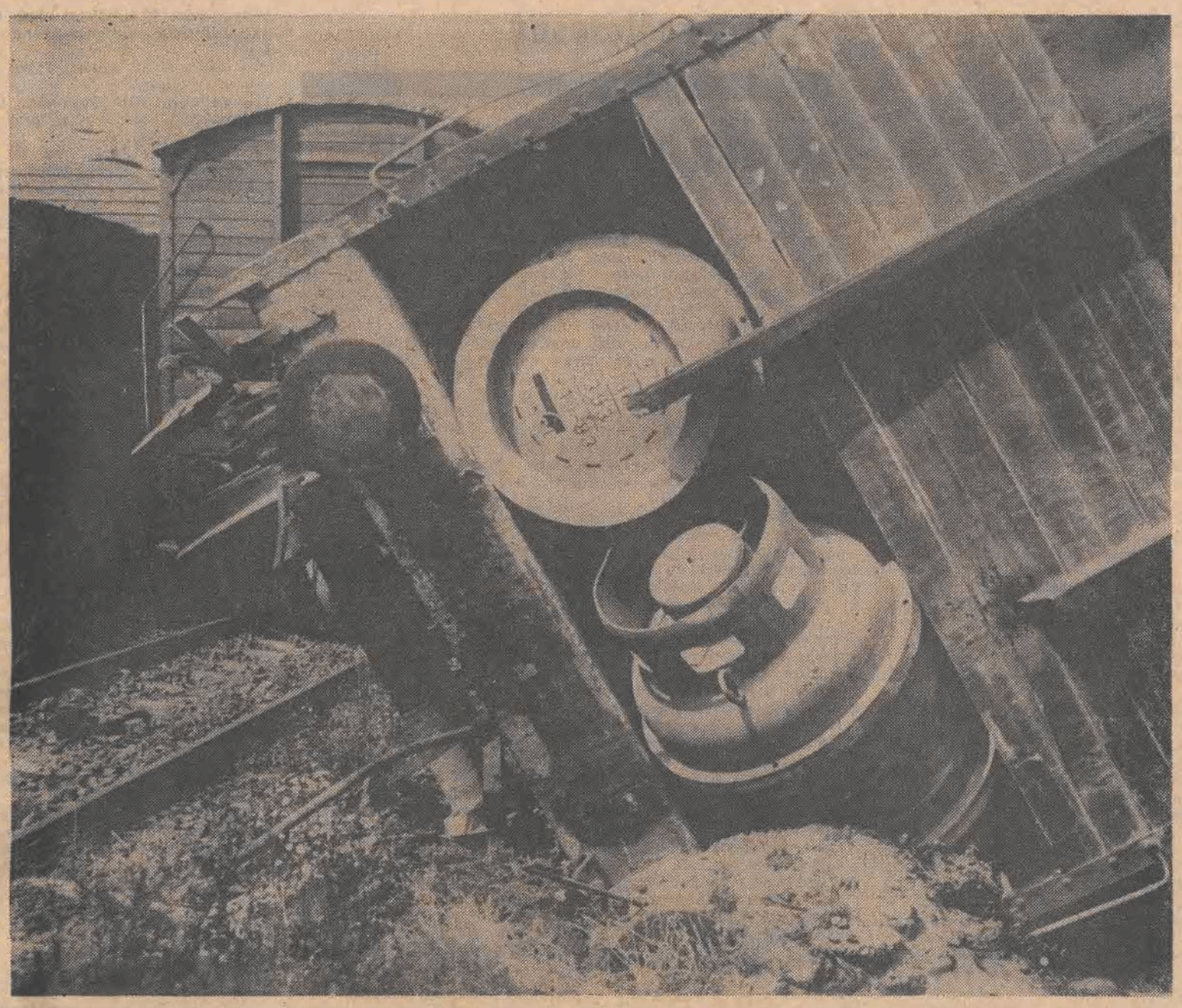

Foto: Piotr Bieniecki

Alarm dla stacji Łódź – Widzew

EUGENIUSZ IWANICKI

Nie sądziłem, by po moich doświadczeniach z kolejnictwem zdarzyło mi się kiedykolwiek jeszcze wrócić do tego tematu. Niestety, sprawa odżyła na nowo. Zatrważające sygnały o tym, co dzieje się na stacjach rozrządowych spowodowały, iż tym razem przemierzyłem długie kilometry rozkisłej, zaśmieconej i zanieczyszczonej ziemi zwanej stacją PKP Łódź-Widzew.

Łódzki Rejon Przewozów Kolejowych, mający na swym obszarze 11 większych i mniejszych stacji rozrządowych, posiada kluczowe znaczenie w krajowej sieci PKP. Znajduje się bowiem w centrum Polski i tędy biegną wszystkie ważniejsze szlaki przewozowe. To tędy rocznie „przechodzi" prawie 70.000 pociągów, dzień i noc trwa nieustający ruch, dzień i noc tysiące ludzi wykonują ciężką, odpowiedzialną pracę. Nie mówię tu o tych, którzy siedzą w budynkach, za biurkami, ale o tych wszystkich narażonych na wiatry, deszcze i zamiecie. O tych, którzy grzejąc się papierosem zgrabiałymi rękami chwytają oszroniony metal płozy, by położyć ją na szynę, mówię o tych, którzy na mrozie muszą przeładowywać przesunięte na wagonach ładunki. Ale opowiem także i o tych, którzy z rozbitych wagonów wynoszą towary, zrywają plomby, zakradają się na platformy, okradają przewożone samochody i traktory, opróżniają cysterny ze spirytusem, o tych, których krew burzy się od ilości zawartego w niej alkoholu.

Luty. Topniejący śnieg spływa brudną wodą. Rozmiękająca ziemia. Chłodny, przejmujący wiatr, który zlizał brudną biel z torowisk, odkrywając cmentarzysko ludzkiego niedbalstwa.

Idę w asyście sierżanta sztabowego, WOJCIECHA DZIEDZICZAKA i sierżanta JÓZEFA MARCZYKOWSKIEGO. Przedzieramy się przez jakieś spiralnie skręcone druty, worki z betonem, papiery, pryzmy nawozów, belek drewna, węgla, żółtych łach siarki, stosów cegieł, metalowych części wagonów. Na jednym z torów stoi wagon nr 50291172. Wysłano go z Koniecpola do Głowna. Wagon nie ma dachu i po samierzch jest załadowany płytami pilśniowymi. Wysłano go w styczniu br., czyli jedzie już ponad miesiąc w śniegu i deszczu. Płyty zaczynają się wyginać, wybrzuszać, odkształcać. Z nie wyjaśnionych przyczyn cały ładunek przesunął się na jedną stronę i grozi zwaleniem się. Do tego szczyt wagonu uległ rozbiciu na górce rozrządowej. Więc niemal wrak, nie nadaje się do dalszej wysyłki. I tak stoi już ponad miesiąc. Obok drugi — z płytami pazdierzowymi — także twi tu od miesiąca. Na torach nr 50 i 52 dalsze cztery podobne. Nie ma chętnych do poprawy ładunków. I nie dziwię się: kto za 20 zł od każdej tony zechce dźwigać te wszystkie płyty i worki z celulozą? Kto za 60 zł od każdej tony będzie się bawić w przeładunek? Za wagon 20-tonowy, przy którym trzeba wypruć z siebie żyły, by ów mokry towar przesunąć, otrzymuje się 400 zł! To się już nawet nie nadaje do kabaretu, tu można jedynie płakać z bezsilności.

Nasze oględziny przerywa straż pożarna. Zjawiają się cztery wozy bojowe, kołem otaczają cysternę, którą tu przed chwilą zepchnięto, a z której ciurkiem leje się etylina. Nie trzeba znawcy, by stwierdzić, że „puści!" zawór. Jedyna rada — przetoczyć znajdujące się w niej paliwo do innej cysterny. Ta uszkodzona jest z Kuźnicy Białostockiej i jedzie do Nowego Tomyśla. Odcyfrowuję numer: 315100541764, waga — 36.800 ton. Czekamy. Czas leci. Benzyna także. Tworzy się jeziorko, część wsiąka w ziemię, część strużką spływa w rów międzytorowy. W międzyczasie zjawiają się dwa fiaty z czerwonymi kogutami na dachu, migają gwiazdki oficerów pożarnictwa. Czekamy. Nadchodzi naczelnik stacji, mgr inż. JACEK KAMIŃSKI. Mówi: Cysterna z Koluszek wyjechała o 13-tej. Będzie za 40—45 minut. Dobre i to. Etylina leci bez przeszkód, płynęła zapewne długo przedtem, kiedy cysterna znajdowała się w składzie pociągu. Ile jej jeszcze wycieknie? Patrzę na mieniącą się w świetle dnia strużkę i odzywa się we mnie przyziemne uczucie zazdrości: Ech, gdyby tak to, co wyciekło, dano mi do kanistrów! Nie musiałbym zabiegać o dodatkowy przydział benzyny do swojego malucha.

Rozmawiam z naczelnikiem stacji Łódź-Widzew. Młody, sprawiający wrażenie energicznego. Pochodzi z rodziny z tradycjami kolejarskimi, jego ojciec jest zawiadowcą w Tomaszowie Mazowieckim, on sam od 1974 roku był dyżurnym ruchu w Tomaszowie, potem studia, a od sierpnia ub. roku jest tu. Mówi: Wszyscy piszą źle o kolei i kolejarzach, a przecież to część prawdy. Dlaczego nikt nie napisze o warunkach naszej pracy, o ciężkim losie tych na górkach rozrządowych i tych na dole, co podkładają płozy. Przecież stacja rozrządowa dziennie przepuszcza do kilkuset wagonów. Proszę policzyć, ile to wypada w ciągu godziny. I tak przez 24 godziny, świątek i piątek. Ludzie? 250 osób, ale na rozrządzie zaledwie 60 na cztery zmiany. Skąd ich brać? Kto przyjdzie, ten jest dobry. Daję mu 13 tysięcy na miesiąc plus godziny nadliczbowe. Praca na okrągło, wytrzymują najsilniejsi. Już nie mówię o sprzęcie, o wagonach, o torach... Kto widział u nas nowy wagon? Kursują stare, wysłużone, niemal wraki. Mówi pan, że brud, że torowiska zasypane i usłane wszelkim dobrem. Prawda. Tylko, że ja nie mam brygady do sprzątania. Więc kto ma to usunąć? Kolejnictwu trzeba pomóc i to jak najszybciej. Nie jakieś tam remonty, a nowe inwestycje, od podstaw, od fundamentów. Czym mogę się dziś pochwalić? Chyba tym, że prowadzone są prace przygotowawcze do zmiany urządzeń zabezpieczających ruch, z przestarzałych 40-letnich, elektrycznych, na urządzenia przekaźnikowe. Za dwa lata winno to już działać. Pod te urządzenia muszą być nowe rozjazdy, których wymieniono już 70 proc. Układa się nowe tory. I to jest to nowe, co przyszło do PKP.

Koleiną wizytę składamy w wagonowni. Cała „władza" jest akurat gdzieś na ważnej naradzie. Dopadam zastępcę naczelnika, inż. JANA BURLIGA. Chcę wiedzieć wszystko o remontach. Inżynier odpowiada: Zatrudniamy około 200 osób, z czego część zajmuje się naprawą, a część utrzymaniem urządzeń mechanicznych. Miesięcznie reperujemy tu około 3.000 wagonów wyłączonych z ruchu, natomiast tych, których się nie wyłącza, jest czterokrotnie więcej. Najczęściej naprawy dotyczą zestawów kołowych. Toczymy koła przez całą dobę. Średnio dziesięć zestawów. Ale to się kończy. Toczarka stoi w hali, której dach lada moment winien się zawalić. Konieczny jest remont. Na dwa lata hala będzie wyłączona z pracy, toczarka pójdzie do remontu. Gdyby była lepsza jakość kół, ten problem przestałby istnieć i moglibyśmy zabrać się za inne, ważne sprawy. A więc przez dwa lata inne wagonownie będą nam toczyć koła, a my będziemy je jedynie montować. W takiej wagonowni jak nasza gros prac jest związanych ze spawaniem. Niby wszystko w porządku, tylko nie mamy odpowiednich elektrod. To znaczy, mamy np. czwórki, a materiał do spawania jest szóstką. Co to za spawanie? Raczej przylepianie i tyle. Innym poważnym problemem są naprawy „pudeł", tak tu nazywamy nadwozia. Trafiają do nas w większości typy Gags, mające słabe konstrukcyjnie ramy-ostojnice, które przy lada uderzeniu pękają. To rzecz poważna i właściwie nie powinniśmy spawać, ale spawamy, aby tylko wagon mógł dotrzeć do najbliższych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Tak, tak, robimy co można, tylko nie bardzo mamy czym. Brakuje nam właściwie wszystkiego: kluczy — rozmiar 27, 32, 34, 36, młotków, żabek, kluczy francuskich, itp. Nie mamy też części zamiennych do narzędzi: np. dźwigienek Kutrufa do podnoszenia wagonów, tarcz szlifierskich. A ZNTK niechętniej przyjmuje wagony z usterkami, których przecież nie może naprawić żadna wagonownia. Do legendy należy sprawa około 100 chłodni, które od kilku lat, niby widma, krążą od stacji do stacji, bo nikt nie wie, co z nimi począć, gdyż nie minął jeszcze ustawowy okres ich żywotności i nie można ich spisać na złom.

Wracam z milicjantami na Dworzec Łódź-Fabryczna. Po drodze zaglądamy do posterunku manewrowego nr 15. Jest to obskurny, nieprzytulny dwuizbowy budyneczek bez drzwi. Wewnątrz: trzy kanapy pokryte zniszczoną zieloną ceratą, stolik z kartami, butelki z kawą, torby gospodarcze. Ściany całkowicie okopcone, na nich napisy, jak te z dworcowych ubikacji. Nad otworem drzwi — krzyż. W kącie piec-kanonka z płonącym ogniem. Milicjanci biorą do rąk haczyki służące do przegarniania popiołu i zaczynają grzebać na podłodze pod piecem. Początkowo wyciągają jedynie popiół i kawałki węgla. Potem trzy klucze płaskie o rozmiarach takich, jakich właśnie brakuje w wagonowni. Te klucze służą do odkręcania zaworów cystern ze spirytusem — tłumaczą mi milicjanci. — Jeszcze nie tak dawno jednemu z manewrowych zachciało się alkoholu, więc odkręcił zawór. Napełnił garnuszek, a na ziemię wylało się kilkaset kilogramów milionowej wartości.

Wzdłuż torów, od strony chłopskich pól, rośnie gęsty, nawet teraz, w zimie, las brzozowy z podszyciem. To tu, latem, złodzieje chowają łupy. Miejsce jest dość pewne, bo latem wejść w ten gąszcz wcale nie jest łatwo. Często kradziony towar jest zakopywany i zdarza się, że milicjanci przychodzą tu z wykrywaczem min. Tuż za lasem, za drogą, wystają z ziemi fundamenty wkopane jeszcze przez Niemców (miały powstać w tym miejscu domki dla kolejarzy). Pod fundamentami są piwnice. W piwnicach — złodziejskie łupy (dywany, buty, alkohol, odzież). Dziś akurat są puste. Milicjanci mówią, że latem za tymi fundamentami rośnie żyto. Gęste łany służą jako skrytka. Ileż to dobrych rzeczy znajduje się w czasie żniw...

Kradzieże z wagonów są nieodłącznym elementem krajobrazu PKP. Już w komisariacie kolejowym MO jego komendant, kapitan EDMUND NAROWSKI, jego zastępca — porucznik ALFONS BOCIAN, oraz inspektor ZBIGNIEW SZCZOT pokazują mi dokumenty świadczące o tym, że obok kradzieży drobnych są także te wielkie, sięgające milionów złotych strat.

Oto w listopadzie ub. roku na terenie stacji Łódź-Fabryczna, na placach rozładunkowych tzw. filcówki brygada rozładunkowa z PTHW nr 2 (konwojent-kierowca oraz dwóch ładowaczy) mieli przewieźć towar z wagonów do magazynu na ul. Brukową. Ładunek nie był byle jaki, bo włóczka produkcji jugosłowiańskiej marki „Perlita". Samochód podstawiają bokiem, by lepiej było ładować. Mają zabrać 45 kartonów po 20 kg włóczki każdy. Ludzie myślą. Kartony układać można albo na tzw. kant płaski, albo na kant ostry. (Chodzi o płaszczyzny boków kartonowych). Gdyby więc ułożyć wszystkie kartony na kant płaski, wówczas na samochodzie zmieści się równo 45 kartonów. Ale jeśli ułożyć część na tzw. kant ostry, zmieści się ich 48. Czysty biznes. W dokumentacji przewozowej napisano: 45 kartonów. Wszystko to odbyło się w obecności spedytora kolejowego PTHW oraz celnika. Nikt nic nie zauważył. Także magazyn na ul. Brukowej nie ujawnił żadnego braku, spisując jedynie protokół dotyczący różnic w wadze. I koniec. Dopiero po kilku dniach zgłoszono do spedytora kolejowego PTHW, że zaistniał brak. Ten sporządził protokół szkodowy, który zaakceptował zastępca naczelnika stacji d/s handlowych. Taki protokół nazywa się „domowym" i dotyczy przesyłki całowagonowej, która nie nosi żadnych śladów naruszeń pod względem technicznym i zaplombowania. Czyli był towar i towaru nie ma. Ulotnił się, choć były plomby i wszystko się zgadzało. W międzyczasie złodzieje towar wartości 200 tys. złotych przekazali paserom. Milicja jednak nie chciała uwierzyć w siłę nadprzyrodzoną, ani w to, że trzy kartony uległy dematerializacji. Dość szybko ustalili sprawców kradzieży. Część włóczki odzyskano (36,75 kg) na sumę 180.370 zł.

Inne obrazki z ubiegłego roku: Oto 6-osobowa grupa (ojciec i dwóch synów, ich sąsiad i dwaj inni sąsiedzi — bracia) włamywali się do wagonów przywłaszczając mienie ponad milionowej wartości. Brali wszystko, na co natrafili. W kwietniu—maju wzięli 16 krzeseł, w lipcu — 9 dywanów, 4 worki paszy dla kur, 50 syfonów metalowych, 10 czajników, 18 pralek typu FA-3. W sierpniu: dwa kartony Autovidolu, 32 kartony wina „Riesling". We wrześniu: 10 kartonów tapety, 3 agregaty chłodnicze do lodówek, 4 stoliki nocne. Październik: 20 wiader ocynkowanych, 12 paczek mąki pszennej, 100 zup grochowych, 100 kostek rosołu. Listopad: 780 butelek koniaku rumuńskiego „Żarea". Wszystko to ładowali na furmankę i odwozili do domu.

Także w ubiegłym roku, pewnego ciepłego wieczoru zatrzymał się pod semaforem w Andrespolu pociąg towarowy. W jednym z wagonów były meble. Zanim pociąg otrzymał zezwolenie na wjazd na stację, już rozbito drzwi, meble przeładowano na wozy i odwieziono do domów. Straty — 70 tys. złotych. Nie był to pierwszy tego typu przypadek: o tym, że meble są zabierane, i to na tym odcinku traktu, było wiadomo od dawna. Tym razem milicjanci szybko rozpracowali złodziejską grupę i część mebli odzyskano. Jeden ze złodziei był pracownikiem ŁZPB im. Obrońców Pokoju, drugi — GS „Samopomoc Chłopska" w Andrespolu. Dziś obaj są na wikcie państwowym.

I jeszcze jeden obrazek, z lutego br. W samo południe z przesyłki wagonowej (ciągniki) zginął akumulator. Milicjanci, znający teren jak własną dłoń, szybko udali się w rejon górki rozrządowej oraz do domów stojących w pobliżu torów. Tym razem złodziej miał wyraźnego pecha: milicja była w jego domu wcześniej, niż zjawił się on sam. A zjawił się, dźwigając ciężką torbę, w której był akumulator 6V 125 Ah, typ 3 SE-165P. Na pytanie, skąd go ma, odpowiedział, że kupił od nieznajomego kolejarza na górce rozrządowej za 3.000 zł. Jednak szybko zmienił zeznanie, przyznając się do kradzieży. Człowiek ten wcale nie był biedakiem, miał dom, pracował w Wifamie i zarabiał ponad 15.000 zł.

Kradzieże, obok pijaństwa, są największą plagą naszych kolei. Na terenie stacji Łódź-Fabryczna i Łódź-Widzew w roku ubiegłym były 54 włamania, a straty przekroczyły 3,5 miliona złotych. Z tego odzyskano zaledwie 1 milion. W całym okręgu Rejonu Przewozów Kolejowych włamań było 1.912, a straty osiągnęły niebagatelną kwotę 45,4 miliona złotych. Zatrzymano 57 osób, w tym 24 manewrowych i 13 maszynistów.

Kto ma chronić kolej? Można by powiedzieć, że milicja oraz funkcjonariusze SOK. Sądzę, że to zawęża sprawę. Kolej musi także sama zatroszczyć się o bezpieczeństwo przewożonych towarów. I to nie tylko tych chodliwych, takich jak dywany, pralki czy lodówki, ale i tych w cysternach, tych niebezpiecznych — toksycznych, wybuchowych. Nie tak dawno z cysterny na stacji widzewskiej wyciekła substancja silnie wybuchowa. Trzeba było natychmiast wstrzymać wszelki ruch, zamknąć wjazdy i wyjazdy. Jedna iskra wystarczyłaby, żeby wszystko wyleciało w powietrze. A mimo to, choć nakazuje to przepis, by takie cysterny rozprowadzać przy pomocy lokomotywy, nadal spuszcza się je z górki rozrządowej. A jeśli wybuchnie? Kolejarze twierdzą, że skoro dotąd nic nie wyleciało, to i w przyszłości nie wyleci.

Wspólniczką kradzieży jest pijaństwo. Na kolei się pije. I to ostro. W styczniu br. zatrzymano 18 pijanych kolejarzy w czasie pełnienia przez nich czynności zawodowych. Niektórzy mieli we krwi ponad 2 promille alkoholu. Wielu z nich decydowało o ruchu pociągów, o pracy całych odcinków. Angielskie przepisy prawne stanowią, że 3 promille alkoholu we krwi są dawką śmiertelną. Wszakże z jednym zastrzeżeniem — nie dotyczy to Polaków.

Zapewniam wszystkich uczciwie pracujących kolejarzy, których wysiłek darzę ogromnym szacunkiem, że wcale nie zamierzałem pisać źle o ich pracy. Życie jednak koryguje dobre chęci. Przysłowie mówi, że łyżka dziegciu zepsuje beczkę miodu. Tą łyżką dziegciu na PKP są złodzieje i pijacy.

Temat współczesny

Szpitalny wieczór

Dokończenie ze strony 1

Zbierzże się wreszcie do kupy... Czego chce ten facet? Coś mówi, czegoś chce i świeci latarką po oczach. Przecież światło boli...

Mokry ręcznik oplata głowę, zimne kropelki ściekają po skroniach, na kark, na to idiotyczne leżanko w sanitarce... Ból przycicha... Widzę obskurny zaułek, w który wjeżdżamy i zaraz potem wnętrza w kolorze musztardowym. Brudno i wstrętnie — korytarz Stacji Pogotowia w wielkim mieście przypomina zakazaną knajpę po nocnej libacji.

Tępo rejestruję zmęczoną twarz lekarza... Co dolega? Gdzie się stało? Od kiedy?... Pani pójdzie do rentgena, z gotowymi zdjęciami z powrotem.

W ciemni rentgena młody chłopak ma jeszcze ludzkie odruchy, pomoże usiąść, pamięta jeszcze ze szkoły: „proszę", „dziękuję", „ja pomogę"...

Na zdjęciach wyrok. Szpital. Natychmiast.

Nie chcę! Żaden szpital! Za nic... wizja wózka na korytarzu i procesji chorych oglądających nową. Badające dokładnie oczy ciekawskich. I pielęgniarki, co we dwie próbują obrobić setkę chorych. Nie pomylić kogo przewinąć na bok, komu zmienić zapaskudzoną pościel, wyłączyć kroplówkę, sygnał z sali, bieg przez korytarz, po drodze strzykawki, w międzyczasie szarpnąć za ramię lekarza, który przysnął w dyżurce... Nie chcę do szpitala! Chcę na Pietrzaka. Bilety mam na pana Janeczka. I Fronczewski będzie, i Stanisławski. Nie stracę za nic. Szpital poczeka. Pan Janeczek — nie. Nie fdę do żadnego szpitala.

Przyjacioły zdenerwowane do białości, pukają się w czoło.

Plotę jakieś dyrdymały, jakieś kretyńskie dowcipy, co to... przeżyliśmy najazd szwedzki... wcale mi się z tego nie chce śmiać. W środku już pokornieję, już się poddaję. Żeby tylko przestało boleć, niech się dzieje, co chce.

Ostry trzyma dziś szpital wojewódzki... Jęczę w duchu, bo znam... Sanitarka zajeżdża pod blaszane wierzeje. Z rezygnacją poddaję się procedurze na izbie przyjęć. Beznamiętny lekarz wypełnia wielgachną plachtę... wiek, urodzona, imiona rodziców, od kiedy boli, gdzie, co, jak, z kim, po co, za ile...

Jeszcze trzymam cywilny fason, zza szpitalnej bramy, ale jest mi już wszystko jedno.

Pan dyrektor magazynu szpitalnego grzecznie z gracją wspiera na duchu. Waluty pani nie ma, kolii z brylantów również... piżamka czy koszulka?... Żadna koszulka. Już widzę tę kabaretkę do pępka. Szlafroków nie dają. Ręczniki wyszły. Kapcie i narzędzia do jedzenia należy mieć własne. Kąpiel, kwit z magazynu i już. Gustowna piżamka z rozporkiem na sznurek i guziki plus cywilne własne kozaki, błogosławieństwo na drogę i jazda.

Domięśniowo — anatoksyna. Zastrzyk źle wkłuty, pośpiesznie, bez masażu. Ramię puchnie i twardnieje w bolesnym obrzęku. Próby penicilinowe, jeszcze krew do analizy oraz wręczenie buteleczki... „tu nam pani nasika, ze środkowego siku"... Jasne, że nasikam. Wszystko dla was, kochani. Kroplówka z glukozy... w połowie robię się jakby zielona, pół godziny plackiem.

Mój przewodnik bezceremonialnie budzi personel ze snu. Tłuczemy się jak dwa Marki piekielne przez obskurne, ponure korytarze. Łomot kroków podnosi echo w uśpionym gmachu. Dochodzi północ. Sobotni horror na dobranoc przykuł do telewizora czuwający personel.

Szpital z epoki gigantische und colossal. Sale wysokie na cztery metry, dziś byłyby ze dwie kondygnacje. Wieczyste remonty, przeróbki i adaptacje próbują rozpączkować przestrzeń. Kiedyś miało być dla 200 pacjentów, teraz musi zmieścić 600 plus aparaturę.

Oddział względnie czysty na pierwszy rzut. Na drugi — lepiej detalicznie nie rozglądać się po kątach. Ciasnota, sprzątanie „po rynku", okna myte na wysokość wzrostu człowieka, a mają ze trzy metry. Kto to ma robić? Kim opędzić tę harówę, kiedy salowa — niechby i brzydząca się basen wziąć do ręki — na wagę... epidemii brudu i zarazy. Niechby był najpiękniejszy — każdy szpital przytłacza.

Sala jest koszmarnie wysoka i długa, zakończona wielkim oknem. Wzdłuż ścian stoi siedem łóżek, jedno za drugim, głowa — nogi, głowa — nogi. Dwa, najbliższe drzwi, zajęte — pielęgniarka przedstawia: ta — po wyrostku, a tę starszą przywieziono dwie godziny przede mną. Jest w ciężkim stanie, leży pod kroplówką i jęczy, czasem zduszone: „...O, Jezu, Jezu, kiedy to się skończy..." Wybieram łóżko najbliższe okna, bo za nim są drzewa. Metalowa szafka, skrzypiące sprężyny i duchota rozgrzanego do czerwoności kaloryfera... Proszę nie otwierać okna, bo chore się przeziębią... Pokornie kładę się pod kocem. Bolesny łomot przez chwilę przycichł, zdezorientowany — teraz znowu bije falami, wtłacza w przepaść.

Budzi mnie wieczorny obchód. Przespałam cały dzień. Nie sen — letarg, pełen rozprażonego zaduchu, wilgotna piżama i pościel, spuchnięte dłonie ledwie obejmują kubek z wodą.

Starsza ruda pani świeci w oczy... Boli?... Nie wiem, jestem tępa jak kłoda, ważę sto ton... Chyba się głupkowato śmieję, kiedy słyszę: „Ostra dieta, tylko woda przegotowana, leżeć, nie ruszać się, okłady."

Ocknęłam się z lepkości, ciasno w czaszce. Pić!!! Gramolę się z łóżka. Przecież cała nie jestem popsuta, tylko mały kawałek. Ból zza węgła capnął i ryczy mi nad uchem. Czemu ryczy? co ryczy?... Cuci mnie przeciąg. Krzyczała ta spod kroplówki. Ona też ma już dość. Pielęgniarka błyskawicznie przewleka pościel, układa bolesne ciało... No, już, cicho, zaraz będzie lepiej. Posiedzę przy pani chwilkę... Stara kobieta kurczowo trzyma dłoń pielęgniarki. W uśpionej ciszy suną jeden za drugim rozerwane paciorki modlitwy przetykane polską prozą współczesną. Szpitalną.

— Zapłacę. Za opiekę. Tylko doglądaj córuś. Przychodź.

— Co też pani!

— Ja wiem, wstydzisz się... Co ty tu zarobisz? Ja zapłacę. I córce przykazałam dzisiaj, żeby zaraz po operacji przyniosła pieniądze. Dla lekarza...

— No, co też pani... przecież on i bez tego zrobi, jak trzeba. Nikt tu pani nie zostawi na łasce losu.

— Ja wiem... ale salowa nie chciała przynieść basenu... nie sięgnę do szafki. Tam portmonetka... I cewnik wypadł, pościel zabrudziłam. Narobiłaś się córuś koło mnie. A ten młody doktor taki obojętny. Tamta spod okna tak jęczała, prosiła, żeby okno otworzyć. To powiedział, że może wstać, ma okno pod ręką... Ja zapłacę...

Zapadam w sen. Dobry. Wróg też śpi. Ciekną dni...

Jak pięknie wyglądają cienie gałęzi na pościeli. Słońce grzeje w opuchniętą dłoń, otwartym oknem włazi wiosna i stado wróbli.

Tępota poprzednich dni gdzieś sobie poszła. Nie boli. Po głodowej kwarantannie nie mogę oczu oderwać od talerzy sąsiadek. Mój Boże, zjadłabym ze dwa obiady. I kilo jabłek. I kąpiel. Liczę minuty do obchodu... Czy już mogę jeść, czy mogę do wanny?

Procesja docentów, asystentów, studentów obchodzi łóżka. Przyglądają się jak rarogowi w klatce. Mam to w nosie. Czy dadzą mi wreszcie porządnie jeść?!

Można jeść, można wstawać. Miałaś dziewczyno więcej szczęścia jak rozumu. Wszystko jest w porządku. Tylko uważaj na siebie. Nie dźwigaj, nie biegaj... Nagle słyszę swój własny głos: nie denerwuj się, nie oddychaj, chodź w powietrzu, take it easy...

No!? A ty skąd to wiesz?... Pamiętam ze szkoły... I dobrze pamiętasz, koń ma większy łeb, niech się martwi. Ty — uważaj, a najlepiej się zakochaj. Pomaga. Jutro kontrola, pojutrze do domu.

Dociera do mnie. Powoli, ostrożnie oswajam się z tą myślą. Do domu! Nie będzie blaszanego łóżka, beznadziei, brudnej łazienki.

Wymoczę się w domowej wannie. Będę się taplać jak kaczka. Potem potężny obiad i z psem na spacer.

Moment zatrzaśnięcia za plecami szpitalnych drzwi brzmi jak salut armatni. Na cześć. Witaj kochana wśród żywych cywilów!!! Rausz — jak po wyjściu z długiej odsiadki.

Chyba coś mamroczę do siebie, wymachuję gałązkami na wszystkie strony. Jest dobrze! Będzie jeszcze lepiej, bo jakby miało być gorzej, to by już było.

Trzeźwi mnie impertynencki gość w tramwaju oraz cena srebrnego łańcuszka kupionego w nagrodę. Zasłużyłam.

Nic to. Życie jest piękne, ludzie są dobrzy i wspaniali!... Ile cię cenić trzeba ten tylko się dowie, kto cię stracił... nawet na krótko.

JOLANTA WROŃSKA

Testament

Dokończenie ze strony 1

Po trzecie, koszty. Zdrowy rozsądek dyktuje, by najpierw znać kwotę, jaką można przeznaczyć na remonty, a potem ustalić zakres prac. Jak na razie administracje zgłaszają swoje pobożne życzenia, które najpierw przez Dział GZM znajdują się w planie, a potem, jak środki pozwolą, będą wykonane. Wykonawstwo od dawna budzi wiele zastrzeżeń i dodatkowo nie wiadomo kto nadzorował, kto odpowiada".

Nigdy nie byli w stanie zrozumieć, że ich domowe myślenie o wpływach i wydatkach ma tak niewiele wspólnego z rachunkowością na szczeblu spółdzielni. Byli przekonani, że jeśli chodzi o kilka bloków, zgrupowanych w jednym miejscu, to można najpierw obejrzeć, co trzeba zrobić, potem policzyć, ile co kosztuje, a w końcu zobaczyć, ile jest na to pieniędzy. Niestety, te ich pomysły były stale wyśmiewane przez administrację. Tłumaczono im, że tak jak oni chcą zrobić, to się nie da, a oni ciągle nie byli przekonani.

Pismo Rady Osiedla do Komisji GZM z 15 X 83 r. *„Otrzymaliśmy do skorygowania, na polecenie Komisji GZM, plan rzeczowo-finansowy remontów na 1984 rok. (...) Dziwi nas bardzo rozrzutność czasem pracy administracji i członków Rady Osiedla. Przecież już od dawna domagamy się (...) aby nie dopuszczać do wykonywania nikomu niepotrzebnych prac. Żądaliśmy podania ilości środków finansowych na remonty w naszym osiedlu, by w ich granicach zgłosić dane do planu. Kwoty tej nie otrzymaliśmy i razem z administracją robiliśmy robotę głupiego".*

Pod tym pismem umieszczono wykaz wydatków planowanych oraz tych, które okazały się realne. Ten pierwszy opiewa na sumę ponad 12 milionów złotych, a ten drugi na niecałe dwa i pół. *„Skąd taka olbrzymia różnica — pytali — rozumiemy obcięcie o jedną czwartą, nawet o połowę. Ale jak to możliwe, że nagle z 12 milionów robią się dwa?"*

Pismo mieszkańców bloku przy ul. Piasta 46 do Rady Osiedla z dnia 28 XII 83 r. *„Od przeszło dwudziestu lat w okresie zimy marzniemy, ogrzewamy się tylko kłamliwymi obietnicami składanymi przez administrację, że będzie ciepłej. W tym roku również nas nabrano, bowiem po remoncie jest gorzej, niż było dawniej. Zniszczono mieszkania (...) wydano poważne sumy pieniędzy projektantom oraz wykonawcy po to tylko, aby ten ostatni na spotkaniu w dniu 22 bm. oficjalnie nam powiedział, że projektant się pomylił w obliczeniach. Zaznaczyć należy, że przez cały okres (...) nikt z zarządu, jak również z administracji osiedla nie interesował się pracami, które teoretycznie zostały zakończone w dniu 16 bm. Dopiero ostre wystąpienia niektórych członków Rady Osiedla sprowadziły administrację na ziemię, lecz już za późno".*

Mówi Czerkawski: Ja rozumiem co się naokoło dzieje, nie jestem ślepy, widzę kryzys, braki i tak dalej. Ale nie mogę spokojnie patrzeć na ludzi, którzy marzną od ponad 20 lat. Nikt mnie nigdy nie przekona, że przez ten czas spora spółdzielnia nie mogła znaleźć pieniędzy i ludzi do wykonania tych prac. Co mnie jeszcze denerwuje, to te stale niedotrzymywane obietnice. Wierzyliśmy w nie i powtarzaliśmy je tym ludziom z bloku przy ulicy Piasta. Potem, gdy nic się nie zmieniało, wychodziliśmy na wałów w śmietanie. Jeśli mam za kogoś nastawiać głowę, to muszę wiedzieć na jakich warunkach i jak długo.

Pismo Rady Osiedla z 8 XII 83 r. do Komisji Rewizyjnej Rady Nadzorczej ŁSM. *„Zdaniem większości członków Rady Osiedla przedstawione do dyskusji materiały nie są kompletne. Na ich podstawie nie można wyrobić sobie opinii o konieczności podwyżki czynszów wobec wciąż niejasnych wielkości kosztów. W związku z tym poprosiliśmy na drugie spotkanie (8 XII) zarząd z przedstawicielami niektórych komórek organizacyjnych, by ostatecznie rozwiać wszystkie niejasności. Wyjaśnienia uzyskane na tym posiedzeniu również nie przekonały większości członków Rady Osiedla o prawidłowej gospodarce w ŁSM (...) Wobec braku zgody w wydaniu jednoznacznej opinii przeprowadzono głosowanie, które wynikiem 7:3 utrzymało negatywną ocenę odnośnie wprowadzenia podwyżek czynszów bez poprawy gospodarności w spółdzielni".*

Mówi Bober: Przy takiej gospodarce spółdzielnia przeje każdą sumę pieniędzy i czynsze mogłyby rosnąć w nieskończoność, a pieniędzy byłoby stale za mało.

Mówi Urbański: Nie będziemy panu opowiadać o trawnikach, klombach, nasadzeniach niewłaściwych kwiatków i krzaczków, parkingach, drzwiach do piwnic bez zamków, brudnych zsypach. To interesuje głównie nas, mieszkańców tego osiedla. Wystarczy panu wiedzieć, że tego też nie udało nam się załatwić. I dlatego napisaliśmy tę umowę. Jeśli zarząd ją przyjmie, to będziemy pracować dalej. Uważamy, że trzeba dać im szansę. Ta umowa oznacza więcej obowiązków dla nas, niż dla zarządu. Musi pan zdawać sobie sprawę z tego, jak ryzykujemy. Bo przez te lata czego jak czego, ale obietnic nigdy nam nie żałowano. Prezes, który nie dotrzymuje słowa, bywa tu raz na kwartał, my, którzy jego obietnice przekazujemy, mieszkamy tu na co dzień. Pan rozumie tę różnicę?

* * *

Dokument, nad którym dyskutują już trzecią godzinę, zaczyna się częścią natury ogólnej. *„Administracja osiedla prowadzić będzie w uzgodnieniu z Radą Osiedla, w ustalonym zakresie i formach ewidencję wydatków, związanych z działalnością eksploatacyjną osiedla (...) Zarząd ŁSM nie podejmie jakiejkolwiek działalności gospodarczej, dotyczącej osiedla bez wniosku administracji osiedla, opiniowanego pozytywnie przez Radę Osiedla (...). Rada Osiedla opracowywać będzie w formie propozycji roczne plany konserwacji i remontów, które będą w ramach posiadanych środków finansowych i możliwości realizowane przez administrację osiedla i zarząd ŁSM siłami własnymi lub systemem zleconym.*

Zarząd ŁSM w zakresie robót konserwacyjno-remontowych dotyczących osiedla wykonywać będzie takie roboty, lub zlecać je będzie wykonawcom zewnętrznym, które były wnioskowane i akceptowane przez Radę Osiedla.

Rada Osiedla opiniować będzie jakość i ilość wykonanych robót remontowo-konserwacyjnych, co stanowić będzie dla zarządu ŁSM podstawę do uiszczenia zapłaty".

Potem następuje kilkadziesiąt punktów szczegółowych, wyliczających różne niedoróbki. Te sprzed 20 lat i te sprzed paru tygodni.

Rada jest ustępliwa, cały czas idą na kompromis, uznają racje zarządu, sami podpowiadają niektóre rozwiązania. Nie żądają terminów, wszystkie daty zakończenia robót proponuje zarząd. Na zebranie przyszli dwaj prezesi, szefowie administracji osiedla, kierownik zakładu budowlano-remontowego, ktoś z nadzoru inwestycyjnego. Nie ma nikogo z Rady Nadzorczej spółdzielni.

Wiceprezes atakuje, zbija radę z tropu, mnoży przeszkody, mówi, że tego czy tamtego nie można. Kontruje nawet prośbę dostarczania sprawozdań o dochodach i wydatkach osiedla twierdząc, że spółdzielnia będzie robić tylko takie sprawozdania, jakich życzą sobie jej władze oraz GUS i żadnych innych. Rada przystaje i na to.

W momentach, gdy dochodzi do kontrowersji, włącza się prezes. Łagodzi, uspokaja, proponuje złoty środek. I tak trwa już trzecią godzinę. Część ogólna została zaakceptowana bardzo szybko. Sprawiało to wrażenie jakby władze spółdzielni nie bardzo nawet zwróciły na nią uwagę. Od początku były zainteresowane wykazem niedoróbek i dyskusja trwa tak długo właśnie przy ich omawianiu. Padają daty: maj, sierpień, wrzesień, stwierdzenia, że pewnych rzeczy zrobić się nie da, bo brakuje materiałów. Dwanaście punktów dotyczących jednego z bloków Rada godzi się nie omawiać, odsuwając sprawę do późniejszego wyjaśnienia.

Kończy się trzecia godzina, gdy przechodzą do ostatniego punktu, dotyczącego przedszkola, mieszczącego się tuż obok pomieszczenia Rady. Punkt ten będzie omawiany na końcu na prośbę wiceprezesa. W dokumencie przygotowanym przez Radę brzmi on tak: *„Wykwaterowanie filii przedszkola z pomieszczeń w bloku nr 2 przy ul. Pięknej 41, 43".* I w tym momencie wiceprezes przystępuje do ataku. Stwierdza, że nieprawdziwa jest informacja, jakoby okoliczne przedszkola miały wolne miejsca i można tam przenieść dzieci z tej filii. Cytuje wyliczenia urzędu dzielnicowego na potwierdzenie tych słów. Dodaje, że umowa na wynajęcie tego pomieszczenia przedszkolu wcale nie wygasła. Mówi coraz głośniej, zapala się. W Radzie konsternacja. Z ich informacji wynika, że dane z urzędu są niekompletne, co więcej do tej pory administracja mówiła im, że umowa o wynajęcie pomieszczenia dla przedszkola jest terminowa i właśnie wygasa. Bo oni, rada, chcieli tam zrobić świetlicę dla młodzieży, bo w umowie obiecywano tylko punkt opieki nad dzieckiem, a teraz jest tam regularne przedszkole z gotowaniem posiłków i już wdało się robactwo. Nagabują prezesa, czy to są dobre warunki dla tak małych dzieci. Tuż przed zebraniem otrzymali pismo, w którym, zapytują ich czy by nie oddali swej sali na potrzeby tego przedszkola. Chodzi o pomieszczenie do leżakowania dla dzieci. „Przecież tu jest siwo od dymu, tak jest po każdym dyżurze i zebraniu. Czy chciałby pan, by pańskie dzieci leżakowały tu jutro rano" — pyta Bober wiceprezesa. Ten atakuje dalej. Krzyczy, że to właśnie dzieci spółdzielców korzystają z tego przedszkola i w końcu woła, że postawa Rady jest dowodem jej aspołeczności. „Mówię to jako działacz społeczny, jako członek prezydium PRON" — krzyczy.

Robi się cicho, nawet w szarym dymie widać, jak czerwienieją twarze. Paru członków rady działa w różnych organizacjach społecznych dłużej niż wiceprezes ma lat. Bąkają coś o tym, że nie wiedzieli nic o bezterminowej umowie, że gdyby wiedzieli, to nie upieraliby się. Wszyscy patrzą na prezesa. Ten mówi cicho: „Kończmy już, jesteśmy w pracy dwanaście godzin". Czekają co jeszcze, ale nic nie dodaje.

Bober dziękuje zarządowi za udział w zebraniu, goście wychodzą. Bober i Urbański mówią jednocześnie: Trzeba wyznaczyć termin zebrania środowiskowego, bo aspołeczni nie mogą działać w radzie.

Klemiński: Jak się rozwiążemy, to będzie wolne pomieszczenie.

Urbański: W tym składzie się nie dogadamy.

Perczyński: Oni nas lekceważą.

Bober: Trzeba kończyć.

Czerkawski: Widać skostnieliśmy.

Bober, jako przewodniczący rady: Kto jest za rozwiązaniem?

Na dziewięć osób obecnych idzie w górę dziewięć rąk.

* * *

Gdy idę na spotkanie do zarządu ŁSM mam tylko jedno pytanie: czy nie szkoda im tej rady? Ale nie bardzo mogę je zadać, bo od samego początku wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej spółdzielni, który niestety nie miał czasu przyjść na zebranie, daje wyraz swemu oburzeniu dla postawy rady w sprawie przedszkola. „Panie, tak nie można robić, to nie jest, panie, postawa społeczników". Potem swe oburzenie wyraża pani od samorządów, pracująca w spółdzielni, której też na zebraniu nie było. Potem szefowa administracji osiedla, potem prezes, a potem wiceprezes, który w trakcie rozmowy wszedł do gabinetu.

Wreszcie udaje mi się zadać moje pytanie. Prezes twierdzi, że nie on jest od tych spraw, że rady osiedla podlegają Radzie Nadzorczej. Pytam więc wiceprzewodniczącego Kozłowskiego, który daje wyraz swemu oburzeniu postawą rady wobec przedszkola. Pytam go więc jaka to była rada: dobra, zła czy średnia, bo przecież zanim doszło do sprawy przedszkola, działała ona długi czas. Kozłowski odpowiada, że oceną rad zajmie się cała Rada Nadzorcza na specjalnym posiedzeniu. Zresztą i tak w kwietniu będą w spółdzielni nowe wybory do rad osiedlowych. Pytam prezesa jak zarząd traktował tę radę. „Z powodu różnych sporów lepiej niż inne, dużo lepiej" — odpowiada. Zadaję ostatnie pytanie: „Jakoś w sprawie przedszkola okazał pan się gorszym negocjatorem, niż w punktach poprzednich. Przecież już wszystko było uzgodnione, wszystkie punkty".

Prezes: „Rezygnacja rady była dla mnie zaskoczeniem. Wychodząc z zebrania byłem przekonany, że w sprawie przedszkola zmienili zdanie". O to, skąd wszyscy oni są tak pewni, że nie zmienili, już nie pytam.

* * *

Dziesięć dni po zebraniu Bober otrzymuje pismo z Rady Nadzorczej stwierdzające, że nie przyjmuje ona rezygnacji. Rada Nadzorcza pisze, że decyzja o rezygnacji *„mogła być li tylko spowodowana uzasadnioną ekscytacją. Doceniamy ogromny wysiłek, jaki wkłada w pełnienie swoich funkcji grupa społecznych działaczy tworzących Radę Osiedla, którzy poświęcają niemal cały swój wolny czas dla działalności na rzecz poprawy warunków zamieszkania i życia w osiedlach".*

Do pisma załączono opracowany przez Radę Nadzorczą projekt nowego regulaminu rad osiedli. Zawiera on taki fragment: *„Rada Osiedla współdziała z Zarządem i Radą Nadzorczą oraz Administracją osiedla w dziedzinie prawidłowego prowadzenia gospodarki zasobami mieszkaniowymi i pracy środowiskowej w miejscu zamieszkania oraz przejawia inicjatywy mające na celu zapewnienie prawidłowej realizacji zadań społeczno-gospodarczych osiedla".*

W piśmie prosi się Radę Osiedla „Obywatelska" o zaopiniowanie tego projektu.

KRZYSZTOF KRUBSKI

Dyskoteka w remizie

Dokończenie ze strony 1

Szczególnie upodobał sobie szychtę z panną Henią. Miała w sobie coś takiego, że jak facet na nią popatrzył, to zaraz leciał do krawca, żeby wstawić klin w spodniach.

Na tę Henię miał oko wysoki tubylec w golfie i w koszuli na nim. Denerwował się nie tyle trojakiem, co gadaną obcego, który nawijał bez przerwy, gdzie to on nie siedział. Klepnąwszy Wacusia w ramię, zagadnął przyjaźnie:

— No, dobra, koleś. A jaka jest twoja ksywa?

— A ona jest taka, że nie wiem — odparł pogodnie Wacław T.

— Analfabet, co?

— Nie. Tajemnica służbowa.

— Aha, To ja tę tajemnicę jutro obnażę!

— Toś ty, koleś, zboczeniec — zachichotał Wacek i mocniej przycisnął Henię, żeby mu się czasem nie wymskła w las.

Wysoki tubylec łypnął nań ciepłym okiem, niczym kat przed egzekucją, i poprzysiągł zemstę.

Bo on był telemonterem, któremu w przeszłości kilka drobnych wyroków zebrało się na cztery kalendarze z hakiem. Wyszło z tego pięć kilometrów kablowania w wykopie. Ponadto miał żonę, z którą nie mieszkał, oraz siedmioletnią córkę w Domu Dziecka, na którą nie łożył, ponieważ forsę i siły zostawiał w łożach pospolitych kurew. Miał też szczerą chęć ożenku z Henryką gdyż czuł wolę bożą i pociąg fizyczny.

W niedzielę Wacław T. zwlókł się obolały ze zbrukanego kacem legowiska. Łeb miał tak ciężki, iż mógł nim rozbijać mury remiz i parowozy dziejów. Portfel miał nieco lżejszy. Ale nie na tyle, by nie wypić z kuzynem litra i wejść łagodnie w stan zawieszenia umysłu.

Aż tu nagle zagrała muzyka! Hej, zatrzesły się, zagrzechotały beczkowozy i motopompy! Zadrżał proboszcz w konfesjonale, a sierżant na posterunku zarepetował broń.

Remiza oszalała! Franek Kimono robi tankowanie o północy, a po chatach, już tankują na akord w biały dzień!

Bo w remizie się zaczyna parafialne disco!

Sam komendant ściąga kask i strażacki pas, i jest disc-jockey. Płynie z tuby jego bas przeżarty likierem i tłucze się echem po lasach i siołach:

— Obywatele, towarzysze i sojusznicy! Pójdźcie wszyscy do remizy, będą tutaj różne kwizy, polityczne i takie do śmichu. Tylko u nas dyskoteka z wyszynkiem! Dla was te szlagiery, Pola Monola i cyrkowe numery! Dla was piwo, zagrycha i słodka Rzepicha! Dochód przeznaczony na sikawkę dwutaktową i na rozwój pogłowia świń futerkowych!

Na ów zew przez tubę wali hurmem cała gmina, łamiąc płoty, krzewy i prawo drogowe. Ale bez naczelnika, który ma telekonferencję z wojewodą w temacie trzeźwości, żeby ona zabłądziła pod strzechy.

Apel komendanta odrywa Wacława od tragicznego widoku pustej butelki. Idzie on pod dyskotekę, która grzmi, jakby w remizie walczyło stado psów z pustymi blaszankami u chwostów. Wypija dwa piwa, by odzyskać równowagę płynu w organizmie. I siada na trawie. Szepcze głosem namiętnego eunucha:

— Heńkę mi dać, Heńkę mi dać, bo nie zdzierżę...

Na owo wezwanie podchodzi trzech litościwych tubylców. Znany już wysoki telemonter, za nim Tadeusz M., długowłosy czarnuch w marynarce, na końcu zaś kręcony blondyn, czyli Henryk W. — bezdzietny kawaler i bez zawodu.

Stoją, patrzą miłosiernie, a ten Wacuś uśmiecha się z bezczelną odwagą psychopaty.

— Taka święta trójca — powiada — to mnie może skoczyć na zwis i się ześlizgnąć.

Oj, źle czyni ten dzielny Wacek, bo nie zna ich ksywy.

A taki blondyn to raz dostał osiem lat. Ale się poprawił. Jak wyszedł w siedemdziesiątym siódmym, dostał do pary siedem lat plus dziesięć kawałków grzywny. Piszą o nim w księgach: „działając wspólnie i w porozumieniu i używając gwałtu przywłaszczył sobie...". A gdyby teraz coś zrobił, to by napisali: „czynu tego dopuścił się w ciągu pięciu lat od odbycia kary pozbawienia wolności w rozmiarze przekraczającym sześć miesięcy za umyślne przestępstwo podobne".

— Dawać Heńkę! — ryczy Wacek. — Albo ona, albo pożar w remizie!

— Nie ma darmo przyjemności — rzecze taktownie wysoki.

Wacław T wytrzeszczył gały i z namysłu dostał sztormu w mózgu, tak mu się czoło sfaldowało. Zreflektowawszy się z szybkością żółwia na finiszu, rozłożył na trawie sześć czerwonych setek Wysoki zgarnął forsę, przyniósł tuzin piw i wypili. Potem przyniósł naczynie cynkowe i obciągnęli półlitrówkę, która spadła z nieba na ziemię.

W remizie wściekłe psy przewalały chwostami blaszany złom.

Słońce zachodziło krwawo za lasem.

W łunie zachodu zakwitła niczym nimfa na saletrzaku sylwetka ponętnej Henryki.

Mężczyźni spuścili z lękiem oczy, albowiem pijany krawiec leżał w gminnym areszcie.

— O Jezu, idzie! — wrzasnął nadsztygar Wacek.

Jerzy R. pchnął go w pierś, aż zrobił szpagat półpłaski. Mężczyźni rozstąpili się z uwielbieniem i piękna Henryka stanęła w rozkroku lubieżnym nad zakochanym Wacławem.

Wstał ci on z napiętym spodniem i z pałającym okiem, wlepionym w te cudne krągłości, w których nic już nie można było poprawić.

— Zabawimy się, Heniuś? — pyta głosem rozmarzonego dziecka.

Ona na to tonem znudzonej kapryśnicy:

— A wiesz, nie mam jakoś szwungu ani przyjemności.

— Od przyjemności to jestem ja, Heniuś.

— Późno, sztygarku. Mama czeka, krówka do dojenia, śwince trzeba wetknąć coś w ryjek...

— A w co ja wetknę? — szlocha ten dzielny Wacek.

— Jak się oprzątnę, to może przyjadę. Odprowadź mnie jeno na stację.

Mrugnęła Henia kusząco i Wacek nie mogąc sobie poradzić z lewą nogawką, podążył chyżo za jej obfitym ciałem, by rozładować napięcie.

Pracował w pocie czoła na przodku, lecz Heńka przerwała drugą szychtę, albowiem za lasem zabrzmiał smętnie gwizd elektrowozu.

Wpadli na dworzec i Heńka wskoczyła do wagonu, który miał ją zawieźć do Justynowa. Gdy pociąg ruszył, Wacław zalał się łzami. Pomyślał, że czas wracać do brunatnego zaglębia.

Nagle widzi, że Henryka gna przez tory na dyskotekę. Wyskoczyła, akrobatka niewierna, z drzwi drugiego wagonu...

Wacław T. wnerwił się, ale oprócz alkoholu miał dyscyplinę we krwi, więc nie zrobił pościgu na sagę. Wszedł na przejście napowietrzne dla pieszych, jak zapodaje milicyjny raport, a co się po ludzku nazywa kładką nad torami.

Płonęła tam wielka jarzeniówka. W jej blasku Wacław widział wyłaniające się z dołu trzy cienie. Tubylcy szli prosto na niego. Zatrzymali się, tarasując kładkę, i Jerzy R. zagadnął ciepło:

— Chono, tu Wacuś.

— Czego?

— Kopsnij szluga, jebaku.

Wacek poczęstował gości fajkami. Wtedy ten R. znowu:

— A teraz, Wacuś, kopsnij stówę.

— Za co?

— Za używanie naszych kobiet.

— Tanie u was dziwki.

Jerzy R. wykonał płynny manewr prawą. Sierp wylądował na szczęce, a Wacek wylądował na kładce.

— Pod obcas gniota! — padł rozkaz.

Wacław zakrył twarz dłońmi i sprężony niby karateka, poddał się skokom, przytupom i łagodnym kopniakom. Usłyszał:

— Dosyć, przyflekowany.

— Heniek, przetrzep mu łachy.

Sprawne dłonie oprycha przenicowały błyskotliwie kieszenie zmartwiałego Wacława. Znalazły pieniądze, dowód osobisty i kartę hotelową. Stan banku: dwa koperniki, pięćseta, cztery czerwone i garść bilonu.

— Telewizyjny sztygar, kurwancja! — zaklął rozczarowany Tadeusz M.

— Znowu zrobili teledysk z milionerami. Górnik nie winien...

— To czego robi z siebie propagandę?

— Zostawcie!

— A może pieprznąć go na tory?

Udający omdlenie Wacław zerwał się jak pijany żbik, lecz silne ręce przygwoździły go do kładki. Potem uniosły go i zrobiły mu zabawny hamak. Ale huśtający ciałem tubylcy nie widzieli, że z lasu wyskoczyły ślepia lokomotywy. Przechylili ciało przez barierę i puścili...

Zaczęli uciekać, gdy dostrzegli, że Wacek jak Ikar spada prosto na pędzące wagony towarowe.

Zrozpaczona dróżniczka ujrzawszy jakiś obiekt latający, rzuciła się nieprzytomnie z chorągiewką na tory.

Ale pociąg już przemknął przez stację.

Wróciwszy do dyżurki, przekablowała:

— Natychmiast zatrzymać pociąg numer D-K 1211!

— Co, z kół wyszło powietrze?

— Nie! Coś wpadło do wagonu!

— To dobrze. Kolej odpowiada za rzeczy skradzione i zaginione. Jeśli nic nie wypadło, to zwiń chorągiewkę, kobieto!

W porządku. Tyle że Wacław T. wylądował miękko w otwartym wagonie z dewizową makulaturą i zasnął z wrażenia. Obudził się przed Koluszkami. Zapalił papierosa, pstryknął zapałką i zaciągnął się błogo. Sądził, że leży w kuszetce do Bełchatowa.

Pech chciał, że spec od polityki antyimportowej wpadł na genialny pomysł. Dla zabezpieczenia makulatury w odkrytym wagonie kazał ją z wierzchu impregnować i ona się zapaliła od Wackowej zapałki.

Na stację w Koluszkach wjechała pochodnia, z której wyskoczył Wacław T. Wpadł prosto w ręce sokistów, którzy przekazali go lekarzowi. Ten stwierdził u pogorzelca oparzenia stopnia lekkiego, siniec na powiece dolnej oka lewego oraz drobne otarcia naskórka w okolicy oczodołowej lewej.

Pod dyskotekę w remizie podjechała dyskoteka z żarówą na dachu. Milicjanci bez kłopotu zwinęli trzech tubylców oraz seksowną Heńkę z Justynowa.

Skończyła się zabawa. Płakał komendant straży nad niespełnioną sikawką. Sierżant czyścił spokojnie służbową broń, naczelnik zaś wprowadzał trzeźwość pod strzechy. Szef służby rolnej raportował, że skup nie drgnął, bo na wadze nie stanęła żadna świnia futerkowa.

A krawiec spalił wszystkie kliny do spodni i powiesił się na brzozie przed aresztem, gdzie siedziała powabna Henryka.

RYSZARD BINKOWSKI

Pustostan

Kiedy wracam do domu i na klatce schodowej wyjmuję klucz z torby, nie mogę uwolnić się od myśli, że tam, w moim mieszkaniu, są obcy ludzie Że może za chwilę ten klucz nie będzie już pasował do zamka, albo jakiś facet każe mi wynieść się ze swego domu...

Najpierw była radość z przyznanego mieszkania. Koniec tułaczki po poddaszach, kątach, odnajmowanych za cenę połowy miesięcznych poborów. Nareszcie można spokojnie zaparzyć herbatę we własnej kuchni, wykąpać się we własnej wannie. Można też obowieścić znajomym, że oto jest się posiadaczem własnego „M" i obecny adres należy traktować jako stały i zobowiązujący.

Po otrzymaniu przydziału, Witek wprowadził się natychmiast. Zawiesił firanki w oknach, na drzwiach umieścił wizytówkę. Te kilka mebli, które posiada, wystarcza zupełnie do pracy i relaksu. Lubi przestrzeń. Nie znosi zagraconych, prowincjonalnych klitek, pełnych niepotrzebnych nikomu przedmiotów. Swój największy skarb — książki, z czcią i namaszczeniem ulokował na półkach z jasnego drewna, zamocowanych do ściany.

Po miesiącu zaczęło się. Najpierw pojedynczo, potem nawet całymi grupkami, chodzili od mieszkania do mieszkania jacyś ludzie i sprawdzali stan zasiedlenia lokali. Kto nie miał szczęścia i podczas takich wizyt drzwi jego domu były zamknięte, ten narażał się na wpis do notatek samozwańczych komisji. Wtedy następowało prawdziwe piekło. Samozwańcy czasu mają aż nadto. Mogą całymi nieraz tygodniami, a nawet miesiącami, z zadziwiającą regularnością odwiedzać mieszkania upatrzonych ofiar. Mogą godzinami stać pod blokiem, obserwując te okna, w których rzadko, a nie daj Boże nigdy, pali się światło. Mogą wreszcie pisać życzliwe raporty do odnośnych władz, a gdy i to nie pomaga, potrafią wedrzeć się do mieszkania, które uznali za pustostan.

Witek mieszka sam. Jego praca wymaga częstych wyjazdów. Bywa, że dwa, trzy dni spędza poza domem. Wracając natknął się niejednokrotnie na zapałkę wetkniętą w zamek, skrawek papieru w szczelinie drzwi czy lekko przesuniętą wycieraczkę. Zrazu przypuszczał, że są to efekty dziecięcych zabaw. Ale nie — systematyczność tych czynów była niepokojąca. Aż kiedyś, zupełnie przypadkowo, zaskoczył starszego człowieka, gdy ten zatykał tramwajowy bilet w drzwi jego mieszkania. Mężczyzna ów usiłował zbadać w ten sposób czy drzwi bywają otwierane. Jeśli bilet pozostanie na swoim miejscu przez tydzień, dwa tygodnie, to wiadomo, że pustostan został zlokalizowany.

Niespodziewane nadejście właściciela zmartwiło tego człowieka. Będzie musiał zaczynać poszukiwania od początku.

Dziwne to zdarzenie wcale nie ostudziło zapędów tropicieli pustostanów. Przeciwnie, rosła nachalność samozwańców. Nocą kołatano do drzwi, albo pod byle jakim pretekstem wchodzono do mieszkań, aby naocznie stwierdzić obecność lokatorów i stan zagospodarowania pomieszczeń.

Swego czasu telewizja emitowała taki oto obrazek: Para z lekka przymulonych, lecz za to bez wątpienia szczęśliwych ludzi, otoczona gromadą dzieciaków, opowiada z przejęciem, jak to własnym sprytem i wysiłkiem upatrzyli prawdziwy pustostan i teraz oto zasiedlili go, na pożytek swój i nieszczęśliwych dotąd dzieci, urodzonych i wychowanych w zagrzybionej ruderze. To nic, że zaraz potem komentator wyjaśnił prawne przesłanki takich działań. Dla samozwańców była to woda na młyn. Uznali praworządność swoich poczynań. Więcej, oglądany w TV wzorzec dodał im sił i... bezczelności.

Panie z administracji osiedla przyszły w godzinach popołudniowych. Był akurat w domu. Pokazały mu plik donosików informujących uprzejmie, iż obywatel taki to a taki, zamieszkały przy ulicy... itd., nie korzysta ze swego przydziału mieszkaniowego, albo też wynajmuje lokal bezprawnie i do tego za bajońską sumę! Każde z takowych pism opatrzono dokładnym adresem nadawcy, wraz z notatką o jego trudnych, a wręcz beznadziejnych warunkach mieszkaniowych.

Bardzo się wtedy zdenerwował. Urzędniczki wycofały się pośpiesznie. Witek twierdzi, że pod oknami bloku czekała na wynik inspekcji spora grupka zainteresowanych „życzliwych". Tego dnia „życzliwi" byli mocno rozczarowani.

Tydzień później. Witek przyjechał do mnie wcześnie rano. Był nie ogolony.

— *Dziś w nocy budzili mnie trzy razy* — relacjonował już w przedpokoju.

— *Trzy razy w środku nocy zrywałem się jak zastraszona zwierzyna, bo oni walili do drzwi i wieszali się na dzwonku. To musiało być trzech niezależnie od siebie działających ludzi. Tak sądzę. Za każdym razem, jak tylko usłyszeli, że ktoś jest w środku, że się obudziłem, to znikali natychmiast. Dwóch widziałem przez okno. Wychodzili z klatki schodowej i jeszcze patrzyli do góry. Ten drugi przyszedł z kobietą. Ona czekała przed domem, on dzwonił do drzwi. Gdy zapaliłem światło, zawołała go i poszli sobie jakby nigdy nic.*

Stary, jeśli to się powtórzy jeszcze raz, to osobiście zgłoszę się do czubków, albo zrobię krzywdę tym idiotom.

Chcesz ich zobaczyć, to przyjdź, bo ja przestaję wierzyć sobie. Mam wrażenie, że to jakaś obsesja, że jestem bohaterem opowiadania Kafki. Przyjdź koniecznie!

Poszedłem. Siedzieliśmy w ciemnym pokoju. Rozmawialiśmy szeptem i czekaliśmy. Około dwudziestej ostry dźwięk dzwonka przerwał senną atmosferę. Witek poderwał się z fotela. W jednej chwili utracił cały dotychczasowy spokój. Ruszył w kierunku drzwi.

— *Poczekaj!* — syknąłem i silnie chwyciłem go za ramię. — *Dzisiaj ja spróbuję.*

Gwałtownie otworzyłem drzwi i prawie równocześnie zapaliłem światło. Na progu stał lekko skulony mężczyzna. Miał około pięćdziesiątki, mocno sfatygowane palto i rozdeptane buty.

— *Ja... to znaczy... czy tutaj mieszka...*

— *Nie, nie mieszka* — przerwałem mu. — *Ale niech pan wejdzie. Musi pan zobaczyć czy mieszkanie się nadaje.*

Zawahał się. Wszedł.

— *Tutaj jest pokój z balkonem. Kuchnia, łazienka i ubikacja po tamtej stronie. Razem 36 metrów kwadratowych. Wystarczy?!* — zapytałem z irytacją w głosie.

— *No i czego się pan piekli* — gość był opanowany i pewny siebie. — *Człowiek szuka pustego mieszkania i może się pomylić. Potrzebuję znaleźć mieszkanie dla syna. Żeni się. Nas jest „na kupie" siódemka i więcej nie zmieścimy. Syn musi mieć takie mieszkanie z wodą i gazem. żeby nie wstydził się ludzi.*

— *I pan chodzi po blokach, żeby zdobyć to mieszkanie?* — zapytałem naiwnie.

— *A co, nie należy mi się. Mamy socjalizm czy nie! Jak mamy, to mnie należy się nowy dom, bo mieszkam w starej kamienicy i z wilgoci to łupie mnie w kościach. Inni to mają pałace nie domy — i jeszcze samochody. Gdzie tu jest sprawiedliwość!*

Stary działacz społeczny, któremu opowiedziałem tę historię, uświadamiał mnie:

— *Nie w tym rzecz, że ludzie wyszukują pustostany i chcą je zasiedlać. Chodzi o to, że mieszkań jest dużo, i że faktycznie istnieją wolne lokale. Ich właściciele mają jeszcze inne mieszkania, czasem nawet wille. Lokują w ten sposób kapitał i zacierają ręce, kiedy ceny, choćby kawalerek, idą w miliony. Ci ludzie bogacą się. A tymczasem inni żyją w skandalicznych warunkach i nie mają pieniędzy nawet na wynajęcie pokoju.*

Nie wolno mieć za złe ludziom, że wyłapują takie przypadki i interweniują. Musi być jakaś społeczna kontrola substancji mieszkaniowej. Sama administracja wszystkiego nie załatwi.

Mówił to z takim przekonaniem, że jeszcze chwila, a poczułbym sympatię do tropicieli pustostanów. Szczęściem przywołałem w pamięci postać „społecznego kontrolera" i w cudowny ten sposób powróciłem do zmysłów.

Zbliżamy się do połowy lat osiemdziesiątych. Według prognoz i sejmowego programu mieszkaniowego, powinniśmy już całkowicie zlikwidować mieszkaniowy głód. Tymczasem deficyt mieszkań ciągle rośnie. Rośnie też przepaść pomiędzy liczbą gospodarstw domowych a liczbą samodzielnych mieszkań. Szacuje się, iż dla zaspokojenia potrzeb w tej mierze konieczne jest wybudowanie ponad 1,5 miliona „M". Budownictwo zaś wykazuje się efektami zbliżonymi do osiągnięć dokonywanych w końcu lat sześćdziesiątych. Nigdy dotąd nie oddano rocznie do użytku tylu mieszkań, ile zawarto związków małżeńskich w tym samym okresie. Kilkaset tysięcy młodych małżeństw powiększa corocznie ogonek czekających na samodzielny pokój. Postulat: „Mieszkanie dla każdej rodziny" trzeba zatem odłożyć do teczki z napisem „XXI wiek".

Jeśli więc stary działacz społeczny ma rację, to kilka milionów ludzi winno natychmiast spakować plecaki i ruszać na poszukiwania nie użytkowanych mieszkań. Może znajdą owe brakujące półtora miliona?

Od wizyty pań z administracji i od najścia „społecznego kontrolera", minęły dwa miesiące. Nocne „podchody" skończyły się. Może dlatego, że samozwańcy przenieśli się pod okna trzech nowo wybudowanych bloków. Obserwują tamtejszych lokatorów.

Lekcja, jaką otrzymał Witek, zaowocowała konkretnymi czynami.

— *Wolę nie prowokować tych ludzi. Jeśli jestem w domu, zapalam wszystkie światła. Nawet kiedy wyjeżdżam, to jestem spokojniejszy, gdy zostawiam zapaloną lampę w pokoju. Tamci reagują przecież na działania pozorne — hałas, światło. Trzeba będzie poznać sąsiadów — dla wspólnego dobra.*

ROMAN KUBIAK

HIC NATUS EST CONRADUS

„Dziady" – święto teatralnej Łodzi

Każda nowa inscenizacja „Dziadów" to narodowe święto. Chodzi bowiem o dzieło — nie będę tu w sądzie zbyt oryginalny — wyjątkowe i chyba najpotężniejsze w naszej literaturze. Zawarły się w nim niczym w kryształowym pojemniku myśli, losy, aspiracje i dążenia wielu pokoleń Polaków. I zgodzę się z Norwidem (znowu niezręczność! toutes proportions gardées!), że nie „Pan Tadeusz" ma cechy epopei narodowej. Właśnie „Dziadom" — pomimo strukturalnej i formalnej niezborności — przynależna ta ranga.

Więc kiedy suwak opornicy wygasza stopniowo światła na widowni, a blask reflektorów kładzie się jasną plamą na kurtynie, która za chwilę pójdzie w górę, aż ciarki chodzą człowiekowi po grzbiecie. Cisza oczekiwania niesie w sobie zapowiedź rzeczy ważnych, których będziemy mieli szczęście być świadkami. Zatem stała publiczność premierowa jakby odmieniona, uroczysta, duchowo nobilitowana. Bo to przecież „Dziady"...

Łódź może użalać się na zbyt rzadkie inscenizacje wielkiego dramatu Adama Mickiewicza. Wprawdzie w 1908 roku po raz pierwszy w zaborze rosyjskim wystawiono cały utwór na scenie właśnie tutaj, za dyrekcji Aleksandra Zelwerowicza i w jego reżyserii, według pomysłu inscenizacyjnego Stanisława Wyspiańskiego, z Andrzejem Mielewskim w roli Gustawa-Konrada, wprawdzie w ciągu kolejnych dwudziestu lat wracano do tego arcydzieła jeszcze pięciokrotnie, przy czym główną postać dramatu kreowali m.in. Wacław Nowakowski, Władysław Krasnowiecki, Mieczysław Szpakowicz (a także Józef Węgrzyn, ale w gościnnym przedstawieniu warszawskiego Teatru Polskiego w 1916 roku), to przecież lata trzydzieste nie przyniosły żadnej nowej inscenizacji.

Nie powtórzył na scenach łódzkich swych słynnych inscenizacji w oprawie plastycznej Andrzeja Pronaszki: lwowskiej (1932) i warszawskiej (1934) — Leon Schiller. Tak więc kilkanaście roczników młodzieży uczęszczającej do łódzkich szkół średnich przed wojną nie miało okazji oglądać „Dziadów" na scenie, chyba że podczas organizowanych wycieczek do stolicy.

Nie lepiej, a nawet gorzej, wyglądała sprawa w Polsce Ludowej. Leon Schiller nie zdołał zrealizować „Dziadów" podczas swej dyrekcji w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi (1946—1949), choć podobno nad tym przemyśliwał. Czas był nie po temu...

Dopiero w dwadzieścia lat po wyzwoleniu, a w trzydzieści osiem po poprzedniej inscenizacji łódzkiej, 27 marca 1965 roku, (a nie 3 kwietnia, jak podaje program Teatru Jaracza), wystawił poemat Mickiewicza w Teatrze Powszechnym Roman Sykała. Wyboru tekstu dokonał Wojciech Natanson, scenografem był Marian Stańczak, zagrali m. in.: Gustawa-Konrada Marian Gamski (dublował Zbigniew Cynkutis), Księdza Piotra Czesław Przybyła, Senatora Mirosław Szonert, Guślarza Tadeusz Sabara.

I znów długa, zbyt długa przerwa, by 25 marca 1984 roku, niemal dokładnie w dziewiętnaście lat po inscenizacji Sykały, po raz drugi po wojnie, a ósmy licząc od pierwszego wystawienia, „Dziady" przywrócone zostały łódzkiej scenie. Odnotujmy nazwiska, które legły u podstaw tej realizacji w Teatrze im. Stefana Jaracza! A więc:

Bogdan Hussakowski — dyrektor i kierownik artystyczny teatru;

Maciej Prus — inscenizator i reżyser;

Andrzej Witkowski — scenograf;

Janusz Stokłosa — kompozytor;

Ewa Wycichowska — choreograf sceny balu u Senatora.

Tego poszerzonego wstępu, czy inaczej mówiąc skróconej historii „Dziadów" w Łodzi na przestrzeni siedemdziesięciu sześciu lat, potrzebowałem dla należytego podkreślenia wagi samego podjęcia przez Teatr Jaracza niezwykle trudnego, a jednocześnie jakże zaszczytnego zadania. Teatr, który bierze na siebie ten ciężar, musi mieć przekonanie, że go udźwignie. Jest to przekonanie tyleż odważne co zuchwałe. Ale wiadomo: złoto dla zuchwałych. Tylko odwaga pozwala brać najcięższe przeszkody, a właśnie autor „Dziadów" wzywał: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił"!

Omawiana wyżej wstrzemięźliwość placówek teatralnych i ich kierownictw w wystawianiu „Dziadów" bierze się w dużej mierze ze strachu przed ryzykiem. Obawa, asekuranctwo jako dominująca zasada, gdy tymczasem wyrastają młode pokolenia Polaków bez stosunku do wielkiej spuścizny romantyzmu polskiego, do roli mesjanizmu w kształtowaniu postaw naszego narodu na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Czy mamy dozwolić, by młodzież straciła kontakt ze sposobem myślenia własnych ojców i dziadów, by odrywała się od ich ideałów i wzorów? Czy sprowadzając rzecz do węższego odcinka, możemy akceptować ucieczkę teatru od naszej narodowej tradycji, której wspaniałym wykwitem był romantyzm, a czołowym utworem właśnie „Dziady"?

Skoro więc znaleźli się zuchwali i wyciągnęli rękę po skarb mickiewiczowski, to z miejsca zrodziło się zagadnienie, co z przebogatego tekstu zachować, a co wypuścić. „Dziadów" nie sposób zagrać w całości nie tylko dla nadmiaru materii literackiej, jak w przypadku szekspirowskiego „Hamleta", ale i z uwagi na jej niejednorodność. Części II i III, określane jako „Dziady" kowieńsko-wileńskie, napisał poeta przed aresztowaniem, w 1823 roku. Część III, czyli „Dziady" drezdeńskie, powstała w 1832. Upływ dziesięciu lat pomiędzy dwoma okresami tworzenia poematu, nagromadzenie się osobistych doświadczeń autora i dramatycznych zdarzeń w losach narodu, nie mogło pozostać bez wpływu na treść i na fakturę utworu.

„Dziady" nie mają jednolitej konstrukcji, stanowią sekwencję kilkunastu scen dramatycznych luźno ze sobą związanych. Mickiewicz nie zrealizował całościowego zamysłu, pozostały nie zabudowane luki, względnie szkice epickie, które dopiero miały być rozwinięte w tekst dramatyczny. Zarówno Wyspiański, jak potem Schiller, Bardini i inni realizatorzy pozostawiali poza ramami swych inscenizacji znaczne połacie tekstu. Poważnie poszerzył o partie tekstowe dotąd nie grywane swoje słynne wystawienie w Teatrze Starym w Krakowie Konrad Swinarski.

Maciej Prus, autor najświeższej *mise en scène* w Teatrze Jaracza, najwięcej bodaj zachował z „Dziadów". Wprowadził mianowicie do swego przedstawienia nie grywaną dotąd Część I, zaczynając je od słów Dziewicy:

Świeco niedobra! właśnie
pora zgasnąć!
I nie mogłam doczytać —
czyż podobna zasnąć?

a nie od sakramentalnej inkantacji Chóru: *Ciemno wszędzie, głucho wszędzie...* otwierającej wszystkie dotychczasowe inscenizacje.

Prus wyeliminował jedynie niedramatyczne fragmenty „Dziadów", a nieliczne pozostałe określenia tekstu wynikały z zamierzonych płynnych przejść ze sceny w scenę. W sposób udramatyzowany przekazał nawet zamieszczoną przez poetę przed Częścią III dedykację druhom młodości, z którymi dzielił celę w więzieniu bazyliańskim w Wilnie. W efekcie uzyskał Prus wielki, cztero- i półgodzinny fresk sceniczny, przekazujący niemal całość „Dziadów".

Reżyser demonstruje w sposób czytelny swoje założenia, które nie wiodły w kierunku poszukiwań w tekście łatwych analogii. Dzieło Mickiewicza posiada immanentny, ponadczasowy wyraz, którego nie trzeba rozmieniać na drobne aktualizacje. Odniesienia globalne „Dziadów" do losu naszego narodu są oczywiste bez wszelkiego preparowania. Nie trzeba wyręczać Mickiewicza. Prus to dobrze rozumie.

Byłoby jednak zawężeniem widzenie w „Dziadach" wyłącznie narodowych i patriotycznych treści. Utwór ma wymowę uniwersalną i to w kilku płaszczyznach.

Jest tu liryczny obraz cierpień miłosnych człowieka — o nasileniu, jakiego nie znają najwybitniejsze nawet utwory literackie formatu „Cierpień młodego Wertera". Chodzi o Część IV, którą Julian Krzyżanowski określił jako psychoanalizę dokonaną na osiemdziesiąt lat przed Freudem.

Stanowią „Dziady" unikalny zapis literacki nekromancji, czyli inaczej mówiąc magicznych praktyk przywoływania dusz zmarłych, z obrzędowym wprowadzeniem w sferę psychotroniki i przemieszczeniem realnego życia ze zjawiskami nadprzyrodzonymi.

Wreszcie wstrząsająca potęgą myśli scena wadzenia się jednostki genialnej z Bogiem, nowa wersja mitu prometejskiego, w której poezja miałaby się stać czynnikiem porządkującym i uszlachetniającym świat.

Nie wdając się ze zrozumiałych względów w rozwijanie tych elementów składających się na uniwersalizm „Dziadów", stwierdzić należy, że poeta stapia je w strumień gorącej lawy, spowity w pary wulkaniczne, który nie umniejszając treści intelektualnych porywa sugestywnością i wielorakością wizji. I tu zbliżamy się chyba do koncepcji inscenizacyjnej Macieja Prusa, która tworzy dla tego niepohamowanego i rozbłyskanego nurtu drożne koryto. Nie w analitycznym rozbijaniu dramatu na poszczególne składniki, ale w podtrzymywaniu jego nieprzerwanej i nie stygnącej płynności widzi reżyser swoją rolę.

Operując po mistrzowsku ruchem scenicznym, dokonuje Prus rzeczy zdawałoby się niemożliwej: likwiduje wysokie progi między scenami dramatu, tworząc środkami teatralnymi płynne przejścia przypominające efektem filmowe przenikanie. W taki dla przykładu sposób przebiega pasaż między Częścią II i IV, kiedy to widmo Gustawa wyłącza się w sposób naturalny z obrzędu Dziadów, by wkroczyć bezpośrednio w dyskurs z Księdzem. Inne zapamiętane przeze mnie wspaniałe przepoczwarzenie się obrazu scenicznego wiedzie od Snu Senatora do Salonu Warszawskiego, który wyłania się niejako ze skorupy poprzedniej sceny i rozwija na naszych oczach na kształt wachlarza.

Wspomniałem o maestrii, z jaką buduje reżyser sceny zbiorowe. Wstrząsająca sarabanda w scenie wywoływania duchów na cmentarzu w Noc Dziadów nawiązuje twórczo do najlepszych, schillerowskich wzorów. Nie przynosi wstydu taki rodowód. Mało artystów współczesnego teatru potrafi tak panować nad ruchem scenicznym i kształtować go jak masę plastyczną. Dojrzałość Prusa w tym zakresie jest imponująca.

Skoro przeszedłem od uogólnień do egzemplifikacji, to pragnąłbym wskazać inny znakomicie zakomponowany ruchowo fragment spektaklu, mianowicie scenę egzorcyzmów i wypędzenia złego ducha z Konrada przez Księdza Piotra. Już w Piśmie Świętym kojarzą się opisy nawiedzonych przez szatana — z tak zwaną Wielką Chorobą, czyli z epilepsją. Istotnie zachowanie się epileptyków podczas ataku konwulsji przypomina diabelski szał, jakby odbierający choremu cechy ludzkie.

W dialogu ze złym duchem przemawiającym ustami Konrada Ksiądz Piotr splata się z nim w uścisku, krępuje swobodę jego ruchów, by powstrzymać drgawki, słowem postępuje tak jak zwykło się działać wobec epileptyka miotanego chorobą. Tę scenę zapasów księdza-egzorcysty z na wpół oszalałym bohaterem dramatu wyprowadza reżyser ze skojarzenia czynnika irracjonalnego z patologią.

Nieuchronnie zbliżam się ku ocenie podstawowego komponentu każdego dokonania teatralnego, jaki stanowią aktorzy. Bez nich nie zaśni najlepsza nawet robota reżyserska, jak nie wygrywają bitew wodzowie, jeśli nie wesprze ich odwaga i posłuszeństwo piechoty. Jestem z wielkim uznaniem dla ogromnego wysiłku i zdyscyplinowania zespołu aktorskiego, dźwigającego na swych barkach nadludzki, zdawałoby się, ciężar tej inscenizacji. Całość przedstawienia potwierdza wielkie zaufanie ogółu wykonawców do reżysera. Prusowi udało się rozpalić w nich zapał, skłonić do maksymalnych napięć.

Jednocześnie odnoszę wrażenie, że w widowisku brak wybitnych kreacji. By pozostać jeszcze przez chwilę przy wojskowej analogii: jest wódz naczelny i dzielni żołnierze, mało dają znać o sobie oficerowie.

Szerzej omówić należy oczywiście wykonawcę roli Gustawa-Konrada. Mariusz Wojciechowski należy do młodej generacji aktorskiej. Powierzenie mu głównego zadania przez reżysera było wielkim wyróżnieniem, ale jednocześnie nałożeniem nań balastu psychicznego, pod którym niejeden aktor by się ugiął. W jakże innej sytuacji znajdowali się przy obsadzeniu w tej roli Holoubek czy Trela, dysponujący ogromnym doświadczeniem scenicznym i sprawdzonym warsztatem. Podstawowymi atutami Wojciechowskiego jest młodość i ambicja, która musiała miejscami rekompensować braki warsztatowe.

Trudno osądzić w sposób jednoznaczny efekt solidnej pracy i zaangażowania aktora. Wojciechowskiemu udało się dokonać dużo, szczególnie w Części IV, w której wiele przekonywającej żarliwości tchnął w *konfesję* nieszczęśliwego kochanka. Pewien niedosyt pozostawiła natomiast scena Wielkiej Improwizacji, w której aktor nie uderzył w ton najwyższej próby. W sumie jednak udźwignięcie legendarnej roli w „Dziadach" stanowić będzie z pewnością wielki krok w rozwoju artysty.

Z innych dokonań aktorskich wyróżnić chciałbym Kamilę Sammler, która z dużą kulturą i wyrazistością zagrała Dziewicę w Części I i w Nocy Dziadów, a szczególnie Ewę w Części III.

W części II odnotujmy Zbigniewa Józefowicza (Guślarz) i Wandę Wieszczycką (Sowa).

Dobrze partnerował Gustawowi jako Ksiądz w Części IV Zbigniew Bielski.

W scenie więziennej zapisali się w pamięci: Stanisław Jaroszyński (Freyend), Ryszard Mróz (Żegota) i Krzysztof Franieczek (Sobolewski).

Mariusz Saniternik jako Ksiądz Piotr lepszy był w omówionej scenie egzorcyzmów niż w Widzeniu, które odegrał jakby z niepełnym przekonaniem.

Ryszard Kotys zinterpretował w sposób interesujący innego całkiem Senatora niż ten znany z tradycji teatralnej.. Nowosilcow w jego wykonaniu był lisi i wyraźnie rozbawiony funkcją kata młodzieży polskiej, jaka mu przypadła z woli zwierzchności.

Małgorzata Rogacka-Wiśniewska nie najlepiej chyba czuła się w roli Rollisonowej. Ciekawiej wypadła Zofia Tomaszewska jako Kmitowa.

Zdaję sobie sprawę ze zdawkowości i urywkowego charakteru swoich ocen, ale ramy recenzji są nieubłagane, a ilość postaci dramatu olbrzymia. Decydujące pozostaje dla mnie wrażenie doskonałej gry zespołowej i to chyba powinno być zapisane w kronikach. Bo kto uczestniczy w realizacji „Dziadów", współtworzy historię współczesnego teatru polskiego. Kłaniam się wykonawcom za ten spektakl!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Marłusz Piotrowski

Nie wierzcie

nie wierzcie dalej
że będzie wojna
piekielna i ostatnia
najkrótsza
najjaśniejsza

nie bójcie się
nie wierzyc
że będzie wojna
jak nie boicie się
teraz

nie myślcie dalej
o tym że spłoną
dzieci wasze
i ojcowie wasi
zapomnijcie
jak zapominacie obozy

nie wierzcie dalej
gdy myśli przekują
słowa o grobie
już wykopanym
waszym
czekającym

nie wierzcie dalej
że będzie wojna
nie wierzcie nawet
gdy wybuchną
słońca
sto słońc

to krzyk tylko
nie wierzcie

tak wam lepiej

Henryk Czarnecki

Starocie

Stare żelazka, stare zegary, stare miłości, stare kamasze i wydeptane ścieżki pod lasem. Stare uliczki srebrne z księżycem, zaczarowane stare ulice, uliczki małe — nieśmiałe...

Stare oprawki od okularów. I okulary zrobione z czarów.

Stare niedziele, stare jarmarki, figurki z drzewa i karuzela. Świnka gipsowa, kute zawiasy, ramy do zapomnianych obrazów, na które dzisiaj ludziom brak czasu, szkoda im czasu, żeby przystanąć, wmalować trochę miejsca dla siebie, dotknąć do ucha, posłuchać...

Stary żyrandol, stare monety, stare lichtarze i kałamarze, w których są słowa nie napisane — małe, najmniejsze, dziś już nie znane. Stare melodie, które się słyszy, choć ich już nie ma. Wspomnienia...

Wiersze w pożółkłych starych kolorach. Jesień we wrzosach, jesień na skroniach..., a więc już czas mi odjechać nad ranem na kolorowych kołach gwiazd romantycznym karawanem w kosmiczną przeszłość.

Ale... gdy oziębi się Ziemia od sztucznych kwiatów, gdy w automatycznych sklepach będą sprzedawać serca z gwintami na pół cala, a uśmiechy w torebkach z nylonu, gdy bram ciepłych od mroku do całowania zabraknie koło domów, wtedy Wielcy i Dumni zapukacie do drzwi mojej trumny i poprosicie o wczorajsze wiersze tkane z gwiazd na kołowrotku księżyca.

Wiem, że czas odjechać mi nad ranem, ale... spóźniłem się na ten tramwaj i nie odjadę tym tramwajem.

Na pewno to śmieszne, w dodatku — w dzień, w dodatku — przed południem gdzie pora nie taka, nie sprzyja. A ja tak, po prostu, po ludzku tęsknię.

Ale to przecież też ludzkie, że taki najładniejszy ślad pozostał z tamtego kierunku.

To dobrze móc gdzieś powracać, mieć gdzie powracać, więc i ja teraz, zwykłym pociągiem liter i zdań, w przedświątecznym tłoku, na jednej nodze, po nic, bo przecież niczego tam nie ma.

To tylko ja tak jeszcze, podróżny z bagażem lat przedostatnich, w tłumie, wciśnięty między codzienność z koszykami na jarmark, na targ, na targowisko.

To tylko kiedyś, pierwszą klasą, na gapę, rozpostarty wygodnie w oczekiwaniach, wzruszeniach — więc tylko te kartki z podróży donikąd. Za jakimś tam deszczem, śniegiem, który się już pewnie przed oczami roztopił...

Ewa Demarczyk

Foto: Zbigniew Łagocki

„Mnie od początku chowano na geniusza"

Przyjechała do Łodzi po 4-letniej nieobecności. W umowie z organizatorami koncertów czyli Estradą Łódzką jak zwykle zastrzegła jako miejsce występów Teatr Nowy i dwa dobrze nastrojone fortepiany. Nie była potrzebna zbyt duża reklama jej koncertów, bilety wyprzedano do ostatniego miejsca, co oznaczać może, że EWA DEMARCZYK wciąż jest w sferze zainteresowań widzów i słuchaczy.

Urodziła się 16 stycznia 1941 roku w Krakowie, w tym samym domu przy ul. Wróblewskiego, w którym mieszka dziś sama, po śmierci matki (ojciec zmarł gdy była dzieckiem), po rozwodzie z mężem i po odejściu siostry Ludmiły, matki trojga dzieci, żony obecnego menażera Ewy Demarczyk Leszka Staśto.

— *Mnie od początku chowano na geniusza. Może dlatego, że byłam brzydka? To nawet i straszne czasami, kiedy rodzice ubzdurają sobie, że potomstwo musi być utalentowane. Uczyli mnie na pianistkę. Chyba byłam i zdolna, tylko leniwa. Ćwiczyć nie lubiłam. Śpiewać zaczęłam wcześnie: różne takie przedwojenne i współczesne piosenki. Te stare lubię śpiewać, one dziś są już czymś więcej niż tylko przebojem. Później — matura, studia. Architektura i szkoła muzyczna (wyższa — fortepian). Nie mogłam się zdecydować, co wybrać, chodziłam tu i tu, póki nie skreślili mnie z architektury. Zastanawiałam się czy nie zająć się medycyną, wreszcie ukończyłam PWST w Krakowie. Na samym początku studiów aktorskich — kabaret „Cyrulik". Zostałam tam za gwiazdę. Grało się skecze, trochę śpiewało. Przyszli kiedyś z „Piwnicy pod Baranami" Piotr Skrzynecki i Zygmunt Konieczny. Zaproponowali żebym przeszła do nich. Był to rok 1962. W rok potem było Opole, przedtem festiwal studencki. Dawano mi rady — zmień repertuar, koniecznie, wszystko jest w porządku, tylko nie śpiewaj tych poezyjek. Będzie sukces. Kiedy pojechałam do Sopotu na eliminacje przedfestiwalowe, pierwszy raz, też wszystko było w porządku, tylko organizator prosił, żebym śpiewała co innego. Nie „Grande valse" i nie „Czarne Anioły". „Rudy rydz" — to miało być to.*

O co mi chodzi w śpiewaniu? — Śpiewam nastrój, nie fabułkę. Chcę przynajmniej tak. Jakąś jedną sprawę zaznaczyć. Co się pamięta z walca Tuwimowskiego? To jedno — czy pamiętasz... Co jest najważniejsze w życiu? Miłość naturalnie.

Nie wyobrażam sobie życia poza Krakowem. Życia na stałe, rzecz jasna. Podróże tak, ale mieszkać gdzie indziej? Absurdalne.

KARIERA ZAGRANICZNA!

Opisuje ją w książce „Ludzie śmiechu" Witold Filler. „Po jej sukcesach w Szwajcarii, w RFN, w Rumunii można zaryzykować stwierdzenie, że to pierwsza polska piosenkarka, którą uznaje za świetną ktoś poza nami, która wtargnęła do Europy. Pomocą był talent, ale ten talent był zarazem przeszkodą. Bo zawierał się cały w określonym repertuarze, a właśnie pomiędzy nią a zagraniczną publicznością wznosił się mur. Bo repertuar krakowskiej artystki to poezja, a poezja to szeleszczący syczącymi spółgłoskami język."

A Lucjan Kydryński uzupełnił: „Jej recitale są tak rzadkie, przygotowywane przez nią piosenki tak nieliczne, że właściwie nie wiadomo dokładnie czy to początek — czy koniec kariery? I początek i koniec. Rozkręcająca się kariera światowa, jej początek trwał tak długo, że chyba nie rozkręci się nigdy. Owszem były sukcesy, np. w RFN, gdzie Demarczyk ma swoją publiczność, entuzjastycznie do niej nastawioną i gdzie występowała z powodzeniem wiele razy. Sukcesy na Kubie, gdzie uznano ją za objawienie i podczas miesięcznego pobytu noszono niemal na rękach. W Szwajcarii, gdzie Radio stało dla niej otworem, nie można było tylko pogodzić jej niełatwego charakteru z wymaganiami stawianymi przez normalny tok pracy w tej instytucji. Są i porażki. Mimo paroletnich wysiłków nie udało się PAGARTOWI przekonać do Ewy Francuzów, niespecjalnie przypadła też do gustów świetnej skądinąd publiczności radzieckiej, nie zainteresowała zupełnie impresariów amerykańskich. Ewa jak przysłowiowy Fredro, pozostanie naszym narodowym skarbem, który inni uprzejmie podziwiają, lecz którego specjalnie nie zazdroszczą, bo po prostu nie bardzo mogą pojąć w czym jego siła. Koniec kariery krajowej? Koniec, naturalnie — w przenośni. Koniec o tyle, że już dalej i wyżej dojść nie można".

A WIĘC POZOSTAJE TYLKO MIT I LEGENDA!

W świątecznych „Odgłosach" w artykule „Remanent wśród gwiazd" analizując m.in. karierę Ewy Demarczyk jako przykład jednego z wielu rodzimych przypadków nie do końca wykorzystanych możliwości niezwykłej artystki, stwierdziłem, że jest już „zakrzepłą doskonałością" że nie jest w stanie przekroczyć wysokiego pułapu własnych umiejętności, które już na początku jej kariery zostały jednogłośnie okrzyknięte prawdziwą sztuką przez duże „S".

Styczniowe koncerty Ewy Demarczyk w Łodzi mogły być swego rodzaju sprawdzianem czy rzeczywiście artystka już się nie rozwija, nie zaskakuje niczym nowym, choć wciąż fascynuje, zachwyca, interesuje, porusza do głębi?

W czym tkwi jej magiczna siła? Myślę, że nie tylko w perfekcyjnym wykonawstwie smutnych, tragicznych, zadumanych piosenek, ale w osobowości, która w tej postaci nie ma sobie równej w sile i wyrazie. Podobno nie powtarza nigdy koncertu, zmieniając układ programu i wciąż na nowo, inaczej podchodząc do piosenki. Jak więc to robi, skoro całe jej aktorstwo w piosence wyraża się w głosie. Żadnych zbędnych ruchów, gestów. Gdy śpiewa — jest samym śpiewem. Występuje zawsze w czarnej, długiej sukni. Stoi nieruchomo przy mikrofonie, skupiona, bez żadnego zbędnego gestu. Zapamiętuje się tylko jej twarz i sylwetkę. Dziwną też sprawą jest jej repertuar, bo na wiersze śpiewane od lat wielu — czas w ogóle nie ma wpływu. To, że teksty są dalej przejmujące — to naturalne. Ale muzyka, jej aranżacja, no i przede wszystkim interpretacja urzekają tak, jakby powstały wczoraj. Nie zdradza siebie i swoich ambicji. Nie idzie na tani poklask i łatwiznę artystycznych ustępstw.

Koncert rozpoczęła nową piosenką „Przychodzimy, odchodzimy", później „Życie szare", „Nieśmiertelniki", „Rebeka", „Pieśń nad pieśniami", „Skrzypek Hercowicz", „Grande valse brillante", „Ronda del fuego", „Cygan", „Don Juan", „Cyganka", „Mrok na schodach" i kończące recital tyle już razy słyszane wiersze wojenne Baczyńskiego z refrenem „Jeno wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne, obraz dni". Śpiewa o miłości, zdradzie, wojnie i smutku, o umieraniu — także uczuć. Swoich piosenek nie zapowiada ani ona sama, ani tak jak dawniej Piotr Skrzynecki.

Repertuar dobiera sama, korzystając wyłącznie z poezji światowej, muzykę i aranżacje pisze Andrzej Zarycki, są stare piosenki Zygmunta Koniecznego, Andrzeja Własta. W przygotowaniu ma 9 nowych piosenek kompozycji Andrzeja Zaryckiego, pracuje nad repertuarem bardzo długo, nawet rok, może dlatego nie zdecydowała się na ich wprowadzenie do bieżących koncertów, którymi otworzyła swój kolejny sezon właśnie w Łodzi. Przeciętnie daje 5 koncertów w miesiącu, to bardzo mało, ale nie jest w stanie dać więcej, bo każdy koncert spala ją bardzo, daje w nim z siebie wszystko.

Ostatnio śpiewała więcej za granicą niż w kraju. Była w RFN (koncert transmitowany na żywo przez radio), w Paryżu (5 koncertów), w Szwecji (3 koncerty). Na zagranicznych recitalach śpiewa w ojczystym języku kraju, w którym występuje, ma bardzo dobre tłumaczenia.

W Łodzi wystąpiła z zespołem muzycznym pod kierownictwem Andrzeja Zaryckiego w składzie: Andrzej Zarycki — fortepian, Stefan Wojtas — fortepian, Gabriel Bania — skrzypce, Tomasz Góra — wiolonczela, Krzysztof Orzechowski — wiolonczela, Maciej Jamroga — kontrabas, Jerzy Wysocki — gitara, Jacek Brzycki — perkusja. Muzycy są studentami lub absolwentami Akademii Muzycznej w Krakowie. Demarczyk i jej muzycy ubrani są na czarno, czarne fortepiany i czarne kotary i jeszcze światła — ciemne, stonowane, tworzące specyficzny nastrój koncertu.

Światła należą do Pawła Rynkiewicza, ale to sama Demarczyk wymyśliła ich układ, ustawienie, są zawsze pod jej kontrolą. Nagłośnienie należy do mgr inż. Leszka Staśto, który jest również menażerem pieśniarki od 5 lat. To właśnie za jego pośrednictwem rozmawia z dziennikarzami i w ogóle z ludźmi w sprawach zawodowych. Nie udziela wywiadów, badając przyczynę takiego zamknięcia się w szczelną skorupę przypisuję to samotności, niepowodzeniu w życiu prywatnym, bo nie chce opowiadać o tragediach, woli milczeć.

Może dlatego tak znakomicie potrafi przekazać najintymniejsze stany?

„SAMOTNOŚĆ PŁYNIE WIELKIMI RZEKAMI"

— tekst nie alarmuje, przeciwnie, podawany lirycznie matowym głosem dociera do świadomości jako odcedzona z emocji informacja. Głos tłumaczy cicho jakąś konieczność, łagodzi jej nieuchronność, oswaja z jej smutkiem. Bo smutne jest to bezbrzeżnie. Ręce pieśniarki bezwładnie zwieszone w dół, wzdłuż sukni.

Po występie Ewy Demarczyk w Carnegie Hall napisano: poraża ładunkiem emocji.

Po występie w Teatrze Nowym w Łodzi piszę: wzruszyła jak przed 4 laty, była w lepszej formie głosowej i psychicznej. Była sobą.

„Zakrzepła doskonałość"? Tak, ale żywa, czująca, myśląca, to jej wielka siła, dlatego ludzie chodzą na jej koncerty i przez 10 minut biją brawa na stojąco.

BOHDAN GADOMSKI

Goły Fredro

Prześwietna publiczności! Komedya ta w nowem guście wydana iest. Intryga zwięzła, amorowa, styl piękny — na chwałę Pani Wenus. Tuszę, iż zaymie a ukontentuie Wielce Dystyngowaną Publiczność. Życzliwości Reprezentacyą tę polecaiąc mam honor się dopraszać, aby radości a uciechy przysporzyła. Nayzobowiązańszy sługa — Bernard Ford Hanaoka.

Za pozwoleniem Zwierzchności, 26 lutego 1984, Artyści Teatru Dramatycznego w Legnicy, pod antrepryzą Pana Józefa Jasielskiego będą mieli honor dać Pierwszą Reprezentacyą wielkiej komedyi zabawnie wierszem oryginalnie napisaney przez J. Pana Aleksandra hrabiego Fredrę pod tytułem „Mąż i żona". Nowe dekoracye a takoż kostiumy projektów J. Pana Ryszarda Nałęcz-Grayewskiego... kompozycye muzyki J. Pana Czesława Niemena. Nad krasą słowa oyczystego czuwała J. Pani Profesor Halina Drohocka...

W nieco drażniącej konwencji „uniwersalnej staroświeckości" dano dowód... że zwierzchność dała pozwoleństwo. Tak na treść spektaklu, jak na formę graficzną wydrukowanego programu... „*z teką rycin piórka J. Pana Ryszarda Kabanowa do nabycia dla osób lat pełnych*" Owo przezorne zastrzeżenie miało — jak się okazuje — swe uzasadnienie. Ryszard Kabanow wykonał 11 rysunków zaliczonych przez miejscowy Ciemnogród do pornografii. Delikatną kreską przedstawione sceny erotyczne świadczą o dużej kulturze i smaku autora, co i tak mu nie pomogło w opinii publicznej.

Detonatorem okazało się niewinne dziewczę gimnazjalne. Po kulturalnie spędzonym wieczorze z klasyką polską, przyniosło owo dziewczątko do domu program teatralny. Tatuś dziewczątka obejrzał obscena i wystarczyło. Wybuchła afera na dwadzieścia cztery fajerki, tłum walił gęsto do teatru, zaś inkryminowany program chodził na czarnym rynku po 500 zł sztuka.

Do kuratorium poszła delegacja rodziców z żądaniem natychmiastowego ukrócenia, zaprzestania oraz zdecydowanego dania odporu. Niektóre szkoły, średnie jak najbardziej, odżegnały się — choć to kanon lektur szkolnych — od prowadzania dziatwy na to straszliwe horrendum. Dziatwa zaś, nie w ciemię bita, tym szczelniej wypełniała teatralne fotele.

Do drzwi teatru trafiali ci, którzy nigdy przedtem dobrowolnie nie kupili biletu. Niedzielne kazania po kościołach ziały pomstą nad jawnogrzeszną Sodomą.

W wojewódzkiej, jakby nie patrzeć Legnicy, objawił się kołtun bojowy (w odróżnieniu od kołtuna przydomowego... uprzejmie donoszę, że panin mąż..), wojujący pod sztandarem „precz z pornografią", „stosunki seksualne — tylko w legalnej sypialni małżeńskiej". Po mieście niosła się plotka... słyszała pani? „Fredre grają po nagu", podobno rozpusta, mąż i żona! Niby legalnie, ale też tak przy ludziach?...

Józef Jasielski, kierownik artystyczny Teatru Dramatycznego, cieszy się na dwa rzuty oka. Na pierwszy rzut — widać tłum walący do teatru, i to akurat martwić powinno najmniej. Wiadomo — najlepszą reklamą jest skandal. Że widz jest przypadkowy, niewyrobiony? Każdy kiedyś zaczyna. Nie ma się co lękać, że wielu z nich nieprędko znowu trafi do teatru, no, chyba że na oficjalną akademię ku czci i z wręczaniem. Z podekscytowanego tłumu zawsze pozostanie grupa tych, którzy w teatrze zasmakują i zaczną przychodzić regularnie. Powiększy się stała, wyrobiona widownia legnickiej sceny, choć nie zdarzyło się od lat grywać do pustych krzeseł. Można więc się cieszyć. Na drugi rzut oka — czy to nie wstyd dla publiki, że zapełnia teatr przyciągnięta nadzieją na ruję i porobstwo? Na otwierającej sezon „Balladynie" — komplet przez wszystkie wieczory, na „Szklanej menażerii" — to samo. Ale dopiero „Mąż i żona" wywołały sensację. Nikt nie może powiedzieć, że w Legnicy kupuje się widza do teatru gołym tyłkiem. Jest przyzwoity repertuar, do którego przykłada się młody zespół. Miasto przecież niemałe, wiek XX się kończy, a tu, proszę...

Kierownik Jasielski mógłby jeszcze dużo powiedzieć o tej społecznej reakcji, ale szkoda mu gardła na brzydkie wyrazy. Pracuje teraz nad Bułhakowem i głowy durniami zawracał sobie nie będzie. Na 15 kwietnia szykuje premierę „Moliera czyli zmowy świętoszków". Będzie całkiem a'propos.

Na inscenizacji spektaklu zaważyły, jak się zdaje, japońskie koneksje gościnnie reżyserującego Bernarda Forda Hanaoki, choć ten od wielu już lat mieszka w Polsce. Scenografia i kostiumy nawiązują do japońskich motywów plastycznych, z ich oszczędną kolorystyką i prostotą formy. W kombinacji ze stylizowanym „na epokę" wnętrzem fredrowskiego dworu daje to całkiem ciekawy plastycznie efekt. Ten sam rys japoński widoczny jest w koncepcji gry aktorów. Reżyser wykorzystał elementy klasycznego, japońskiego teatru cieni, opartego na pantomimie sylwetek ludzkich, rysujących się na tle lekko podświetlonej zasłony lub wyłaniających się z ciemności. Przydaje to przedstawieniu lekkości i pewnego czaru. Sceny figlików łóżkowych rozgrywające się między delikatnymi cieniami kochanków, których splecionych sylwetek niemal się tylko domyślamy, mają w sobie dużo dyskretnego, a przy tym smacznego ciepła. Cała „warstwa" erotyczna spektaklu — bardzo czysta i kulturalna — wywołuje na widowni zdrowy, krzepki śmiech publiki, która wie doskonale co też się wyrabia za tą maskującą zasłoną. I niemal żałośnie wzdycha, że tak naprawdę nie ma na scenie realnego, krwistego kawałka gołej d...

Bo nie ma! Można się tylko zdać na własną wyobraźnię.

Choć nie jest to najwybitniejsza z premier na legnickiej scenie, i między znakomitymi momentami zdarzają się przyciężkie zgrzyty w grze aktorów, ostatnią rzeczą, jaką można o przedstawieniu powiedzieć jest jego „niemoralny" wydźwięk. Wydaje się też, że panu Hanaoce jakby zabrakło cierpliwości w doprowadzeniu swej koncepcji do końca. Próba wypośrodkowania między japońskimi motywami a stylową komedią Fredry załamuje się w drugim akcie, wywołując efekt pęknięcia. Mimo to jednak jest to spektakl zmuszający widza do pewnego wysiłku umysłu i wyobraźni. I onaż to wyobraźnia, jak się zdaje, jest głównym motorem skandalu otaczającego zupełnie niewinny spektakl. Można się założyć, że najgłośniejszej pomsty domagali się ci, którym — rozniecona plotkami z magla — wyobraźnia, rekompensuje brak realnych możliwości.

Hałas czyniony wokół „Męża i żony" byłby pewnie jeszcze jednym lokalnym skandalikiem obyczajowym, niewartym większej uwagi, gdyby nie pewien znamienny rys, że tak powiem wychowawczy.

Sztandar obrony cnoty gimnazjalnej młodzieży, którym wymachuje się ponad miarę, idzie w parze z kołtuńską pruderią, terrorem psychologicznym i paskudnymi epitetami. Piękny to przykład dla młodych, którzy od starszych przecież nauczą się kultury życia społecznego i osobistego. W trosce o cześć nieskalaną wylewa się kubły pomyj.

A, swoją drogą, daj nam Boże, by młodzi uczyli się kultury erotycznej na tak ładnych i smacznie przyrządzonych przykładach w teatrze, a nie na brudzie fałszywej moralności czy pokątnych instrukcjach niedorozwiniętych umysłowo e r o t u m a n ó w.

Czas byłby już najwyższy dogonić własną epokę, bo wciąż jeszcze tkwimy w salonie pani Dulskiej, a nad nami unosi się zanoszący się od śmiechu duch św.p. Boya pospołu z brązownikami.

JOLANTA WROŃSKA

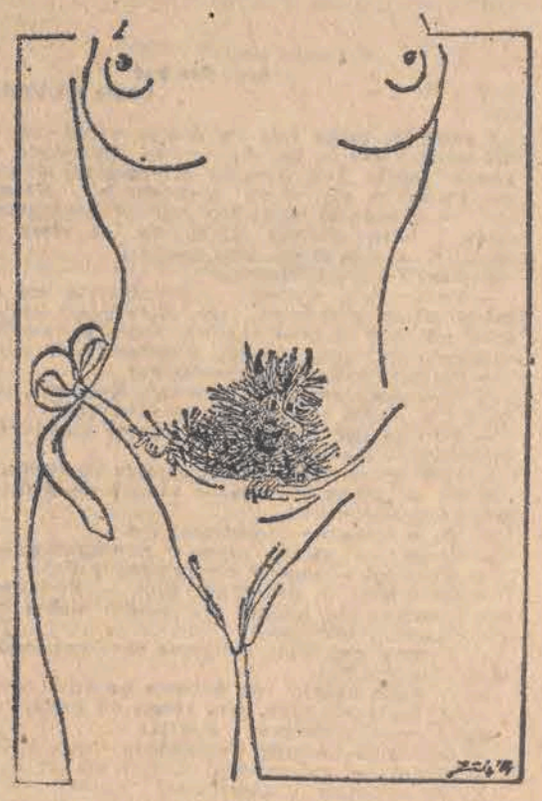

Rys. Ryszard Kabanow

O tym, jak wróżyłem z ręki Włodzimierzowi Słobodnikowi

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Mój pryncypał sprawił — a było to w pierwszych tygodniach pobytu w mieście, w którym przyszło mi osiąść na stałe — iż pewnego dnia całkiem niespodziewanie otrzymałem kartkę z trzema jednakowo brzmiącymi zaproszeniami:

„Szanowny Panie, dowiedziałem się od Pańskiego przezacnego szefa, że jest Pan autorem interesujących wierszy, którymi debiutował Pan mężnie w podziemiu, lecz obecnie, owładnięty niemęskim brakiem śmiałości, obawia się Pan poznania mnie i pokazania, choćby dla mojej wrodzonej ciekawości, płodów swego ducha. Wierząc zatem, że wspomniany upadek męstwa, niegodny wojownika i wieszcza, posiada charakter jedynie przejściowy, serdecznie zapraszam do Fraszki dnia (...) nie pamiętam dziś którego, gdyż listy te zachowały się jedynie w mojej pamięci o *godzinie...* (powiedzmy, osiemnastej). *Strój dowolny. Morze kawy płatne przez sygnatariuszy tych listów...".*

Pod trzykrotnie powtórzonymi tekstami widniały: (pod pierwszym) Władysław Broniewski, (pod drugim) Leon Pasternak, (pod trzecim) Włodzimierz Słobodnik.

Niestety, kryzys mojego męstwa trwał nadal i z sympatycznego trójzaproszenia nie skorzystałem. Z Leonem Pasternakiem poznałem się dopiero w kilka miesięcy później w barze we „Fraszce", ale rozmowa nasza ograniczyła się jedynie do wymiany całkowicie zgodnego poglądu o wyższości bimbru nad najdroższym nawet koniakiem, a ponieważ jest to aksjomat, nie będę zatrzymywaniem się nad przytaczaniem prawdy oczywistej zatrzymywał uwagi czytelnika. Z Broniewskim zbliżyliśmy się, kiedy autor „Troski i pieśni" był już ciężko chory. Zamówiłem u niego słowo wstępne do opracowywanego właśnie w Wydawnictwie Łódzkim retrospektywnego wyboru wierszy Antoniego Kasprowicza — wybitnego i znanego swego czasu poety-proletariusza. Pociągnęło to za sobą krótką rozmowę telefoniczną w dzień i kilka dłuższych, zgodnie z jego zwyczajem, w nocy na spory zestaw tematów — od informacji o życiu, charakterze i wyglądzie autora „Słońca za murem" przez ostatnie wiersze Tadeusza Śliwiaka do rozważań nad istniejącym czy możliwym do wyboru takim gatunkiem wódki, która by nie szkodziła na gardło. Słobodnika natomiast poznałem jakoś bardzo szybko po tamtych zaproszeniach, choć nie pamiętam, jak do tego doszło. Szybko też zaprzyjaźniliśmy się. Chyba tak to trzeba nazwać, chociaż są gradacje przyjaźni, a w naszym wypadku trzeba by wziąć poprawkę na różnicę wieku, generacji pisarskich, miejsca na Parnasie, doświadczeń wojennych, środowisk itp. Mogę tu oświadczyć na swoją korzyść, że zdawałem sobie przez cały czas sprawę z dystansu, jaki istniał między nami.

W swym łódzkim okresie, zwłaszcza pierwszej jego części, Słobodnik wydał m.in. „Dom w Ferganie", „Światła na trasie", „Sonety o Wicie Stwoszu" (słabsze) i wysoko ocenioną „Mowę codzienną". Kto wie, czy ten okres nie stanowił właśnie apogeum w jego twórczości. Na pewno zaś był okresem szczególnie wysokiej pozycji pana Włodzimierza na polskiej skale Kaliopy. Przy tym wszystkim otwartość autora przedwojennej „Modlitwy o słowo", brak jakiejkolwiek wyniosłości, a i serdeczność sprawiły, że zachodziłem do niego na piąte piętro Domu Literatów przy Bandurskiego 8 (nazwa ulicy została niebawem zlaicyzowana, ponieważ Bandurski okazał się osobą obcą klasowo — biskupem!) bez zahamowań i wysiłków nad pokonaniem nieśmiałości. Sprawił to chyba również sympatyczny, choć niecodzienny, wygląd Słobodnika: trójkątna głowa, nakryta potulną, złotorudą myczką włosów, wystający guz nad ciemieniem, przywodzący na myśl dziarskiego satyra, z gatunku — mniejsza, czy występującego w mitologii — satyrów jednorogich. I wreszcie nieco wypukłe, co chwila przesłaniane ciężkimi powiekami, lecz niezmiernie ufne i przyjaźnie patrzące na ludzi wyblakłoniebieskie oczy.

Na piątym piętrze Domu Literatów były wyłącznie kawalerki. Pan Włodzimierz mieszkał początkowo w jednej z nich. Ściśle, w środkowej. W Domu zaczęła już panować ciasnota, a Słobodnik przyjechał do Łodzi z Moskwy, gdzie po przeniesieniu z Fergany pracował w „Nowych Widnokręgach" (piśmie Związku Patriotów Polskich) — bez żony, sam.

Żona ma przyjechać — powtarzał to raz po raz — następnym transportem. Wszystko już zostało załatwione: papiery wyjazdowe, miejsce w tiepłuszce w tym pociągu, który niebawem... Ale — zamartwiał się i to co dzień bardziej — Bóg jeden wie, co się może stać. Na przykład — nowa wojna, teraz z kolei z Ameryką i transporty cywilne byłyby wstrzymane. Może się także znaleźć jakiś roztargniony urzędnik i pomieszać albo zawieruszyć papiery? Albo komu tam przestanie się podobać wypełnienie którejś z rubryk formularza, chociaż zapewniano go wiele razy, że wszystkie zostały wypełnione jak najprawidłowiej. Mogą transportu nie zorganizować. Pociągu nie podstawić. Mogą... Mogą... Ileż to różnych złych przypuszczeń potrafi wysunąć skołatana głowa samotnego, tęskniącego i bezradnego człowieka?...

Często wychodził na balkon, żeby obserwować z piątego piętra ruch uliczny i przejeżdżające dorożki: a nuż to będzie ta dorożka?! Mało co jadł, palił mnóstwo papierosów — dużo więcej niż miał w pokoju popielniczek, talerzyków a i w ogóle wolnego miejsca. Ze zmartwienia wcale bowiem pokoiku nie sprzątał. A szczerą prawdę powtarzała mi pani Palmowska z Bałut, że „chłopy to same brudasy i w każdym mieszkaniu (to znaczy: pokoju) robią bajzel (to znaczy: nieporządek).

Przychodziłem. Siadałem na poręczy balkonu (jedyne miejsce, na którym można było jeszcze siąść... bezpiecznie) i wysłuchiwałem tych bolesnych skarg — monologów: Żona nie wraca, a tu już trzy tygodnie minęło; żona nie wraca — a już upłynął miesiąc i cztery dni. Kiedy odprowadzała go na Dworzec Białoruski, długo machała chusteczką, a pociąg posuwał się, z początku bardzo powoli, a potem... — Już nie pamiętam, jak pociąg posuwał się potem.

Pocieszałem pana Włodzimierza jak mogłem. Zdarzało się, że przestawał mówić o żonie. Opowiadał wtedy o Ferganie. O pejzażu, stepach, nowym kanale przez pustynię, winnicach. O pięknie prastarych meczetów z czasów Timura — meczetów z turkusowego kamienia z mozaikami i monumentalnymi płaskorzeźbami o roślinnych motywach. O skomplikowanej i bezustannie krwawej, choć bogatej w nauki i sztuki, historii krain na północ od Persji. Wreszcie o tym, jak wielkie ma znaczenie i jakim mirem cieszy się u Sowietów słowo „pisatiel" (tej informacji przyświecała też zapewne chęć samopocieszania: żonom ludzi o tak szanowanej profesji nic się przytrafić nie może). O ludziach miejscowych, zacnych i uczynnych, którzy bardzo współczuli synom Lechistanu z racji wojennego powikłania ich losów i niemieckiej okupacji ich „burżuazyjnej republiki ili carstwa" (w materii ustroju państwowego dowojennej Polski mocni nie byli). Jak im przynosili, kiedy jeszcze oni mieszkali w jurcie, suchary, ichnie podpłomyki, wielbłądzie mleko, twaróg. A później pan Włodzimierz z żoną spoglądali na niebo wzbierające czerwienią na zachodzie i wydawało się im, że widzą właśnie łuny nad dopalającą się w pożarzysku walk ukochaną Warszawą.

Opowiadał to wszystko Słobodnik, a że jedynym lekarstwem na jego tęsknoty i niepokoje było pisanie podczas nieprzespanych nocy wierszy o tamtym, czytał mi je — za każdym razem nowe — charakterystycznym nosowym głosem, często kiksując, gdyż wbrew własnemu przekonaniu nie jest dobrym lektorem. Wszystkie te wiersze niebawem złożyły się na tom „Dom w Ferganie" — dość szybko wydany (1946 r.). Tu muszę dodać, że wbrew zapowiedziom tamtego pierwszego listu — zaprosin do „Fraszki", nie objawiał „wrodzonej ciekawości" do poznawania „tworów mojego ducha". Słuchał ich z wyraźnym roztargnieniem, nie komentował, a bywało, że przerwał w pół wersu i znowu mówił o żonie i pobycie tam, albo o przedwojennej Warszawie...

Wiersze fergańskie Słobodnika wydały mi się niezwykle piękne. Mimo iluś już lat supremacji awangardy (która zresztą przez nadchodzące siedem lat socrealizmu przestanie właściwie niebawem istnieć na parę lat w praktyce twórczej, a często i w świadomości piszących) oraz fantasmagorycznego katastrofizmu przedpowstańczej młodej Warszawy — bynajmniej nie trącące myszką. Przeciwnie, odbierałem je jako niemal nowoczesne, zwłaszcza w obrazowaniu. Kto wie, czy ówczesna dość uważna lektura tych oraz wcześniejszych jego wierszy nie umocniła mnie w poczuciu znaczenia, jakie przykładam nagminnie do obrazu poetyckiego wykończonego i wyposażonego w informację o sugestywnej barwie. A już na pewno przejąłem od Słobodnika zwyczaj pisania nocą, kiedy słodki sen morzy innych ludzi, prócz mnie i kwiczących mi pod oknami na przystanku wspomnianych bywalców z knajpy „Europa".

Któregoś dnia nie udało mi się nawet nakłonić pana Włodzimierza do czytania własnych wierszy. Miotał się jak oszalała ćma po swym pokoiku, po którym powolne nawet chodzenie z powodu owego nieporządku, (który pani Palmowska nieco inaczej nazywa) wymagało nie lada żonglerki. Przystawał, pokazywał mi wciąż tę samą fotografię przedstawiającą wychudzoną (jak wszyscy podczas wojny) młodą kobietę o oliwkowej cerze i ciemnych włosach. Informował mnie raz po raz, że to jego żona, dusił starego, a zapalał nowego papierosa. Od ich rozstania upłynęło już sześć tygodni i trzy dni, a jej jeszcze nie ma! Był pełen najgorszych przeczuć. Choroba? Średnio ciężka? Nadzwyczaj ciężka? Mogła nawet wypaść z pociągu. W wagonach ciasno, drzwi ktoś nie domknie...

Nie wiedząc już, jak go uspokoić, udałem, że znam się na wróżeniu z ręki. Że niby nauczyłem się tej niezwykłej wiedzy od Cyganki. Z konieczną powagą poprosiłem Słobodnika o pokazanie mi wyprostowanej lewej dłoni, lewej, bo od serca — i objawiłem z układu linii tajnie jego bliskiej przyszłości.

— Linia apollińska, czyli rozdzielna męska łączy się u pana z rozdzielną żeńską, zwaną również pantasilejską — ta nazwa bierze się od królowej Amazonek. Zatrzymuje się na dwupagórku Wenery. Ach, dobrze jej tam. Ale to było — plotę trzy po trzy — i nastąpi potem. Tak. Długie lata. A poprzedzi to... Zaraz, dobrze nie widzę! Musimy podejść do okna... Tak. Przybliża się ustalonym torem, mocnym torem... jakby czarna gwiazda... Zaraz, czy małżonka pana nie jest przypadkiem czarnowłosa? Ach, tak? Nie wiedziałem. Znaczy się, czarna gwiazda... to nie kto inny tylko, panie Włodzimierzu — umyślna, pełna napięcia przerwa: — Pańska małżonka... nadjeżdża!! Jest już blisko. O na tej linii Hermesa, widzi pan? O to to, wgłębienie w lewo od żyłki Sulpicjusza. Jest tuż, tuż...

I plotłem takie tam trzy po trzy jak myszygenekuku. Wszakże zauważyłem, że na Słobodniku robi to niejakie wrażenie i że uspokaja się.

Uspokoił się do tego stopnia, że przeczytał mi tej nocy bodaj świeżo napisany wiersz:

...Przymykasz oczy. Mija twa
tulacza troska.
Ból cichnie jak po burzy
uciszone morze.
Błękitnooka patrzy znów na
ciebie Polska
Skroś falujące zboże...

Wiersz, którego zakończenie tu przytaczam, pochwaliłem i powróciłem na Zawadzką szczerze współczujący, nieco rozbawiony, dosyć zadowolony z siebie.

Na trzeci dzień (a umówiliśmy się, że mi oceni przekład byliny „Kak nie stało bagatyriej na Rusi") zajechałem do niego przed południem. Zajechałem, a nie piąłem się na piechotę, gdyż schodzący właśnie Żółkiewski otwarł mi swym kluczykiem windę (bardzo lubiłem jeździć tym eleganckim i nadzwyczaj wygodnym środkiem lokomocji śródpiętrowej, z którym nie za często miałem dotychczas do czynienia). Zajechałem. Pukam, jak zwykle dwa razy. Drzwi się rozchyliły, ukazując przepokoik i kawałek — na razie — pokoju. Rzuciło mi się w oczy coś niepojętego! Wymyta podłoga. Ani śladu nawet papierka czy peta. Drzwi na balkon bez smug ostatniej chlapy zmieszanych z sadzą, czyste jak kryształ. Rozchyliłem drzwi szerzej. Na stoliku nakrytym białą serwetą wazonik z kwiatami. W drzwiach zaś stała smukła, choć niewysoka, przystojna pani, ciemnowłosa, ciemnooka i miękkim głosem pyta:

— Czy pan może do męża? Zszedł tylko na chwilę po papierosy. Zaraz wróci.

I na tym właściwie kończy się opowiadanie, o tym jak przy pomocy magii dzięki opanowaniu sztuki wróżbiarskiej przepowiedziałem z niemałą dokładnością powrót z Kraju Rad Eleonory Słobodnikowej.

Dalej już tylko po krótce, z obowiązku kronikarskiego: Przeniesiono ich do normalnego, kilkupokojowego mieszkania. Umeblowali się. Zachodziłem tam z początku często, w miarę wrastania w Łódź, środowisko, szkołę, „Wieś" i po obabieniu się, coraz rzadziej. Zawsze na czytanie wierszy, z czasem również i moich, bo poświęcał im potem więcej uwagi.

Potem pracując w Wydziale Kultury, wraz z Zarządem Łódzkiego Oddziału Związku Literatów (profesor Saloni) doprowadziłem do zorganizowania Słobodnikowi jubileuszu twórczości. Po części oficjalnej nastąpiła w gościnnych salach Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy (którego dyrektor Aleksander Fuchs był jako łodzianin kimś niezwykle nietypowym: cenił pisarzy łódzkich oraz znał i znakomicie popularyzował dorobek każdego z nas) część koleżeńsko-towarzyska, na której sypaliśmy jak z rękawa uciesznymi fraszkami na cześć Słobodnikow. Utkwiła mi w pamięci fraszka Igora Sikiryckiego na Słobodnikową:

Co to za muza,
Co poecie nabiła guza?

Chodziło o wspomniany guz nad ciemieniem, który upodabniał pana Włodzimierza do dziarskiego satyra. Było to jedno z ostatnich prawdziwie koleżeńskich spotkań literackich, kiedy nie dawały jeszcze o sobie znać kompleksy i zawiści.

Wydział Kultury wystąpił do Rady Narodowej o przyznanie Włodzimierzowi Słobodnikowi Nagrody Literackiej im. J. Tuwima za całokształt twórczości za rok 1956. Nagroda, rzecz jasna, została przyznana.

Wszedłem przy okazji którejś z rzędu Warszawskiej Jesieni Poezji do kawiarni w warszawskim Domu Literatury. Przywołał mnie pan Włodzimierz (od dawna warszawiak) dziarskim machaniem ręki. Siedzieliśmy przy stoliku wraz z panią Eleonorą. Obojga czas nie zauważa.

— Mam już osiemdziesiąt lat — nadał mi komunikat swym nosowym i co nieco nawet tubalnym głosem.

— Czy pamięta pan, że wywróżyłem panu dużo, dużo więcej lat. A już miał pan kiedyś dowód, jak znakomicie potrafię wróżyć — oznajmiłem ani wątpiąc w swój dar jasnowidzenia.

Fragment z książki złożonej w Wyd. KAW.

BAŚNIE XX STULECIA

O wielkiej koordynacji

„Był sobie Król,
był sobie Paź
i była też Królewna".

I całej tej trójce żyło się dobrze wśród róż, a burze też się ich nie imały, rzecz — jak się państwo domyślacie — była najzupełniej pewna, dopóki Król wertując przypadkiem słownik wyrazów obcych nie znalazł w nim słowa „koordynacja". „Harmonijne współdziałanie" — przeczytał z zachwytem. „Współdziałanie części na rzecz całości... poszczególnych składników, na rzecz realizacji wspólnego celu..." *) — zapalał się coraz bardziej.

Zawołał Pazia i Królewnę.

— Posłuchajcie, kochani: „koordynacja ma pobudzać, wyzwalać indywidualne inicjatywy... ma usprawniać działalność wielopodmiotową tak, aby rezultat zharmonizowanego współdziałania był czymś większym od sumy działań poszczególnych członów zespołu" *)!

— Niech żyje Król! — zawołał Paź.

— Vivat koordynacja! — zawołała Królewna, uśmiechając się czule do Króla. — Ale co będziemy koordynować?

— Musi to być rzecz ważna, istotne zagadnienie, obchodzące całe królestwo — zauważył Paź.

— Może przemysł? — zaproponowała Królewna.

— To się chyba nie uda — zasępił się Król. — Przemysł to domena technokratów!

— No to rolnictwo — podsunął Paź.

— Eeeee... — raczyła wyrazić powątpiewanie Królewna.

— No to co? — zapytał zdeprymowany Paź.

— Już wiem! — powiedział Król. — Postawmy na kulturę! Nikt nie zaprzeczy, że kultura jest bardzo ważną sprawą, która winna zainteresować wszystkich!

— Wszyscy obywatele królestwa współtwórcami kultury! — szepnął w natchnieniu Paź.

— To hasło nadaje się świetnie na afisz! — zauważyła Królewna i uśmiechnęła się czule, tym razem do Pazia.

Paź spłonął rumieńcem i zapytał:

— Zali wołać na radę wojewodów, Wasza Królewska Mość?

— Zwołuj! — zadecydował Król i tak to się zaczęło...

Konno, zbrojnie i buńczucznie zjechali wojewodowie na dwór. Z rumorem weszli do sali obrad, pokłonili się przed Królem, a on im oznajmił swą królewską wolę:

— Naszej przebogatej kulturze potrzeba działań koordynacyjnych! Wracajcie do siebie i przygotujcie plany operacyjne. Upoważniam was moją królewską bumagą, abyście byli koordynatorami kultury na swoim terenie!

Burzliwymi oklaskami uczcili wojewodowie słowa królewskie, i tylko jeden, a zwał się Filip z Konopi, herbu Zielone Ucho zapytał, czy w ślad za tym zostaną przyznane na ową kulturę jakoweś środki? Wnet jednak co bardziej doświadczeni koledzy go uciszyli, że odbiega od tematu, że prawi od rzeczy i że w ogóle...

Tak więc przy ogólnym aplauzie rozjechali się wszyscy wojewodowie do swoich prowincji, gdzie wezwali zaraz wielkich prowincjonalnych rybałtów i powiedzieli im:

— Król przekazał nam, a my z kolei na was przelewamy te prerogatywy... Idźcie, a koordynujcie!

Ujęli tedy rybałtowie swe liry w ręce i podjęli pieśń ku chwale koordynacji na cześć mądrego Króla, a wszyscy poddani cieszyli się, że teraz to dopiero w pełni rozkwitnie kultura!

Tymczasem Królewnę zaczęły dręczyć wątpliwości:

— Tato! — powiedziała do Króla. — Wojewodowie o nic nie pytali, czy aby zrozumieli należycie? Czy dadzą sobie radę?

— Masz rację, dziecko, trzeba im pomóc — odrzekł Król. — Kultura to rzecz wielka, ogólnonarodowa!

— Może zaprosić do współpracy ZWIĄZEK HODOWCÓW ZŁOTYCH RYBEK? Jak wiadomo, Złote Rybki nie tylko odpowiadają na niektóre pytania, ale nawet spełniają niektóre życzenia — podpowiedział Paź.

— Racja — zgodził się Król.

— No to i TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ KONIKÓW—GARBUSKÓW — dodała Królewna.

— I LIGĘ OBRONY ŻAR-PTAKÓW! — przypomniał Paź.

Teraz już wymieniali na wyprzódki:

— KLUB POSIADACZY STOLICZKÓW—NAKRYJ SIĘ!

— ZRZESZENIE BIEGACZY W BUTACH SIEDMIOMILOWYCH!

— STOWARZYSZENIE MIŁOŚNIKÓW ELFÓW I KRASNOLUDKÓW!

— Zaproś tedy, Paziu, ich wszystkich — zadecydował Król — i przedstaw im naszą wolę.

— Czy wojewodów też? — upewniał się Paź.

— Ależ oni już raz wysłuchali woli królewskiej — zirytowała się Królewna. — Podniosłoby to tylko niepotrzebnie koszta delegacyjne!

— To może Wielkich Rybałtów Prowincjonalnych? — podsuwał nieśmiało przejęty i zatroskany Paź.

— Nie trzeba — uciął Król. — To nie ten szczebel!

Tak więc na radę zjechali w ogromnej liczbie przedstawiciele wszelakich związków, zrzeszeń, zjednoczeń, towarzystw i klubów, a Paź przedstawił im królewskie projekta.

— A któż to ma być naczelnym koordynatorem? — zapytał nieufnie Wielki Mistrz RYCERZY-SMOKOBÓJCÓW.

— Naturalnie każdy z was na swoim terenie — powtórzył wiernie po Królu spłoszony z lekka tak obcesowym pytaniem Paź.

— W takim razie trzeba to będzie wpisać do naszych statutów i przywilejów — szybko zdyskontował tę informację Główny Przewodnik POSZUKIWACZY GĄSEK ZAGUBIONYCH PRZEZ KASIĘ.

— A wpisujcie! Wpisujcie! — zniecierpliwił się Paź, któremu pilno już było na umówione spotkanie z Królewną.

— Niech żyje Paź! — zawołali zebrani i rozjechali się z wielkim ukontentowaniem, po czym zaraz zabrali się do roboty, tj. do wpisania w statuty i przywileje odpowiednich klauzul i paragrafów uprawniających do koordynowania działań na rzecz upowszechnienia kultury!

Teraz zewsząd, do Wielkich Rybałtów Prowincjonalnych napływać poczęły pisma, petycje, żądania i postulaty.

HODOWCY ZŁOTYCH RYBEK w sążnistej epistole oznajmiali, że Rybki i owszem, dadzą to i owo na rzecz kultury, ale pod warunkiem, że Starsza Flądra przewodniczyć będzie komisji kwalifikującej JEŹDŹCÓW UJEŻDŻAJĄCYCH PEGAZY!

Właściciele STOLICZKÓW... informowali, że sakramentalne słowa „nakryj się" wypowiadane być mogą jedynie w sytuacji, gdy sos musztardowy i sól attycka zastrzeżone zostaną wyłącznie do ich użytku! A w ogóle — dodawali na marginesie — należy rozwiązać problem zezwoleń na zakup szklanek, bo bez szklanek napitków wyczarować się nie da!

— Racja! — rykneli chórem RYCERZE-SMOKOBOJCY. — Cóż po koordynacji bez napitku!

POSZUKIWACZE GĄSEK ZAGUBIONYCH PRZEZ KASIĘ zadeklarowali, że dla dobra społecznego, zamiast szukać gąsek, podejmują się tropić błędy MIŁOŚNIKÓW ELFÓW I KRASNOLUDKÓW, na co ci ostatni, w szeregu Miedzyprowincjonalnych Konferencji „przeprofilowali" się na KRÓLEWSKICH ZJADACZY GĄSEK!

Nie mówię już o tym, co działo się na konferencjach prawincjonalnych! Próżno Wielcy Rybałtowie biegali od jednych do drugich, próżno przedkładali, prosili, grozili! W odpowiedzi uzyskiwali tyle jedynie, że podsuwano im pod nos przywileje i statuty z królewską pieczęcią i paziowskim podpisem—zawijasem!

Biegli tedy do wojewodów, aby ci, zbrojni w słowo królewskie, swój autorytet rzucili na szalę, ale wojewodowie zamknęli się szczelnie w swoich komnatach i przygotowywali dla Króla plany operacyjne, pilnie bacząc jeno, by żaden głos z zewnątrz nie zakłócał ich pracy!

Wtedy opadli z sił Rybałtowie i na duchu upadli, i zaplakali, rwąc bujny włos z mądrych głów, a koordynacja rozrastała się coraz szerzej, a koordynatorów przybywało.

Państwo się pytacie — co to za kraina?

„Za siedmioma górami,
za siedmioma lasami,
gdzie kraina Żar-Ptaka,
tam baśniowy nasz świat".

Ale jaki był koniec, to wiecie! —

„Króla zjadł pies,
Pazia zjadł kot,
Królewnę myszka zjadła!".

*) Wszystkie przytoczone przez Króla cytaty zaczerpnięte zostały z pracy A. Kamińskiego „Funkcje pedagogiki społecznej".

Z baśni i z życia spisała:
HALINA KWIATKÓWNA

Polemiki • Listy • Opinie

Kto się boi robotniczej prawdy literackiej?

Łódź jest dziwnym miastem... Powtarzanie obiegowych opinii o kulturowej specyfice naszej wojewódzkiej metropolii nie należy do zadań zbyt inteligentnych...

Jeżeli za kryteria prowincjonalności można uznawać bezinteresowną zawiść, wyrafinowane intryganctwo, „pozaliterackie" drogi awansu kulturowego — to jesteśmy głęboką prowincją. Bezkrytyczne jednak powtarzanie subiektywnie obiegowych opinii niczego na lepsze nie zmienia.

Mnie osobiście interesuje, co należy, a co można zrobić, by drugie co do wielkości miasto w Polsce nie było pustynią kulturową, gdzie co jakiś czas trzeba odwoływać imprezy literackie z braku zainteresowanych. Na tym tle interesuje mnie rola „Odgłosów" w geografii kulturalnej naszego województwa. Nie należę do tych, którzy co prawda w „Odgłosach" drukują, ale za dobry ton uważają: „nie czytuję „Odgłosów"!".

Nie jestem upoważniony do rozstrzygania dylematu, czy za sytuację w kulturze odpowiadają także „Odgłosy", czy też redakcja lansując model „równania w dół", dostosowuje się po prostu do intelektualnego modelu przeciętnego czytelnika. W każdym bądź razie nie wiem, czy redakcja zdaje sobie sprawę ze swoich możliwości kreowania sytuacji kulturowej. Tak się bowiem już dziwnie składa, iż jeżeli „Odgłosy" wydrukują nagrodzone opowiadanie „pisarza jednego utworu", to staje się on dożywotnim działaczem literackim. Jeżeli zaś redakcja systematycznie kogoś bojkotuje, to mimo wielu nagród i druków — w Łodzi pozostanie z opinią grafomana. Pojęcie grafomana nie jest też sprawą jednoznaczną dla wszystkich. Wśród amatorów za grafomana uznaje się człowieka, który nie uzyskał sukcesu. Ponieważ wciąż są żywe legendy o tak dżentelmeńsko nazywanych — „pozaliterackich" ścieżkach do upragnionego debiutu — grafomaństwo bywa często rozgrzeszane. Takiej postawie sprzyja także bardzo jeszcze często spotykanie w druku tekstów będących zwykłym, choć najczęściej utytułowanym oszustwem intelektualnym.

Proponowałbym inny, psychologiczny podział na amatorów i grafomanów. Za amatora uważałbym takiego, który swoją „twórczość" traktuje jako uroczą, nieszkodliwą zabawę, zaś za grafomana — takiego osobnika, który swoją twórczość traktuje w kategoriach „być, albo — nie być!", który nie cofnie się przed żadną podłością, gotów gryźć, szczekać, donosić, oskarżać każdego stojącego mu na „drodze do sławy" redaktora o wrogość do ustroju"... Jest mi bardzo przykro, ale obserwując przez wiele lat różnych ludzi w paru aglomeracjach, nie potrafię się oprzeć przekonaniu, iż reprezentują wręcz ideologię grafomaństwa, streszczającą się w technice niszczenia, deptania, zaszczekiwania wszystkich ewentualnych konkurentów do redakcyjnej wierszówki. W żargonie amatorskim nazywa się to „deptologią stosowaną".

Powiedział kiedyś dowcipnie Tadeusz Chróścielewski: „być może niedługo będzie więcej piszących wiersze niż czytających poezję". Cytuję z pamięci. To tragiczna prawda. Wielu ludzi próbuje leczyć swoje kompleksy zawalając wszystkie redakcje płodami swojego pióra. Istnieje ciekawe zjawisko nazwane kiedyś *„literaturą docentów"*.

Faktem jest jednak, iż wielu wspaniałych fachowców w unikalnych specjalnościach, nie jest usatysfakcjonowanych swoim statusem społecznym i potwierdzenia swego indywidualnego „ja" widzą tylko w twórczych kompilacjach literatury iberoamerykańskiej, lub w mitologizowaniu własnej odmienności psychicznej. Na tle tych wszystkich, nierzadko prawdziwie utalentowanych, choć najczęściej po prostu zagubionych ludzi — znana mi twórczość kolegów-robotników — nie wypada najgorzej.

Dobry Pan Bóg niejednakowo obdzielił wszystkich zdolnością wysłowienia — wypisania się, lecz zdolności obserwowania świata nie pożałował nawet debilom. Każdy żyjący, myślący, czujący człowiek jakoś przeżywa swój świat, swoje własne życie. Niekiedy prości ludzie bywają zamieszani w najbardziej skomplikowane sprawy współczesności. Każde środowisko, warstwa, klasa społeczna — ma swój własny sposób oceniania rzeczywistości. Do pełnej syntezy potrzebna jest znajomość realiów każdej płaszczyzny społecznej. Świat jest wielopostaciowy, rzeczywistość wielopłaszczyznowa. Tej prawdy pominąć się nie da. W okresach napięć społecznych rzetelne informacje z różnych dziedzin bywają niewygodne różnym czynnikom. Bywają więc pomijane. Powstają białe plamy. Takich plam z robotniczej rzeczywistości nie wypełni najzdolniejszy socjolog, który zawsze będzie człowiekiem z zewnątrz. Rolę robotniczej literatury widzę w dostarczaniu społeczeństwu informacji godnych przemyślenia. W podnoszeniu problemów, których na dalszą metę pominąć się nie da. W przypominaniu „inteligentom", iż robotnik to nie tylko wieczny buntownik, to także człowiek, który czuje i myśli. Często się pisało o zbiorowej mądrości robotników. Zapomina się jednak o zbiorowej wiedzy klasy robotniczej. O scalenie tej właśnie zbiorowej „niewiadomej sumy przemyśleń" walczy ciągle przecież formujące się Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury.

Oczywiście, jak wszystko — dzieje się to w pewnej otoczce politycznej. RSTK nie jest apolityczną grupą. Cechą prawdziwych robotników jest prawdziwa tolerancja. Nas nie obchodzi, jakie kto ma poglądy. Dla nas najważniejszym jest, jakim kto jest człowiekiem. Czy można na nim polegać? Czy wyciągnięta do uścisku ręka nie jest dłonią Judasza? To jest dla nas ważne naprawdę. Ja jestem i będę bezpartyjnym. Mnie nie przeszkadza ideowość RSTK. Jeden z działaczy, kol. Paciok, powiedział: „Grupujemy porządnych ludzi". Myślę, że większość z nas — piszących robotników walczy także o prawo „bycia porządnym człowiekiem". To bywa niekiedy trudne... i nie zawsze bezpieczne.

Oczywiście „cenzorzy" poruszają problem partyjności literatury. Można i na ten problem spojrzeć cokolwiek przewrotnie. Znany (za mało!) pisarz łódzki Wacław Biliński powiedział kiedyś, iż obowiązkiem pisarza partyjnego jest: „pisać prawdę i tylko prawdę!". Myślę, iż pisanie większości moich kolegów mieści się w takich kategoriach partyjności! Pisać prawdę i tylko prawdę!

No cóż, bywają prawdy niemiłe. Dla niektórych wprost niebezpieczne. Obserwując wieloletni bojkot, niektórych robotniczych prób literackich zastanawiam się, dlaczego ktoś to uznał za „społecznie niebezpieczne"? O asekuranctwie pisywał już Lenin...

Trzeźwo myślący robotnik nie będzie demonstrował literacko swojej bezsilności wobec przerażającego go ogromu zła... W osobiście mi znanych utworach robotników pisze się o krzywdzie, głupocie, marnotrawstwie w kategoriach zła, które można wykorzenić bez zmiany ordynacji wyborczej czy sytuacji geopolitycznej. Zła absurdalnego. Sytuacji paranoidalnych... Posłużę się przykładem: autentyczne opowiadanie robotnika z prawdziwego zakładu, o tragicznym wypadku przy pracy pod tytułem: „Więc gdzie jest wróg?". Opowiadanie zdobyło dwie III nagrody i jedno wyróżnienie — nie zostało wydrukowane. Jakie więc niebezpieczne prawdy niósł ten utwór? Opowiem. Wszyscy, absolutnie wszyscy w zakładzie chcieli dobrze. Jednak zginął człowiek (naprawdę!). Na tym samym stanowisku o mało by nie zginął autor opowiadania (autentyczne). Autor-robotnik sugeruje tytułem „Więc gdzie jest wróg?", że „wróg" — zło — tkwi w mechanizmach społecznych, których my wszyscy jesteśmy współtwórcami. Wszyscy chcieli dobrze, lecz wielu nie pomyślało do końca. „Przemyśleć do końca!" — to idea piszącego robotnika. Zrozumieć otaczającą rzeczywistość. To jego prawda. Kto się boi takiej prawdy literackiej?

Potępianie RSTK w obecnej fazie organizacyjno-twórczej to skazywanie dziecka przed narodzeniem. RSTK będzie takim jakim go uczyni większość jego członków i sympatyków.

Prosiłbym redakcję „Odgłosów", by przedwczesnymi sądami nie odstręczała od RSTK inteligentnych ludzi. Mam na myśli — „Potomkowie Londona!" — Pana Andrzeja Karolczaka w 13 numerze „Odgłosów".

BOHDAN ZAJKIEWICZ

CZEGO BAĆ SIĘ NALEŻY NAJBARDZIEJ!

Najbardziej bać się należy nieporozumień. Dlatego chciałbym ustosunkować się do kilku spraw poruszonych w liście Bohdana Zajkiewicza. Rozumiem intencje autora i będąc tym intencjom przychylny, mniemam, iż tym bardziej należy unikać nieporozumień. A one chyba wkradły się do sporu o udział robotników w kulturze.

Nie mogę przede wszystkim zgodzić się z określeniem prowincjonalności jako „bezinteresownej zawiści", wyrafinowanego intryganctwa, „pozaliterackich" dróg awansu kulturowego". Wolałbym pozostać przy klasycznej formule prowincjonalizmu, jako ograniczenia się do wąsko pojętych spraw środowiska, regionu, parafii w końcu, bo to przecież pojęcie bliskie zaściankowości i parafiańszczyźnie. Czy w „wielkim świecie" nie ma intryg, zawiści i różnych dróg awansu? Są. Czy jest tego więcej, czy mniej? Nie umiem osądzić. Zresztą rzecz przecież nie w tym, a w możliwości przeciwstawiania dążeniom prowincjonalnym szerokich horyzontów myślowych, otwartości na zewnętrzne kontakty, umiejętności ich kwalifikowania i osądzania oraz krytycznego wartościowania. Jeśli z tego punktu spojrzymy na sprawę, to i „wielki świat" potrafi być bardzo prowincjonalny.

Nie umiem się natomiast odnieść do pojęcia „awansu kulturowego". Po prostu nie bardzo rozumiem, o co tu chodzi? Czy o uznanie środowisk kulturalnych dla dorobku danej osoby, czy też o zasób wiedzy związanej z kulturą? Z dalszej części listu mogę się jedynie domyślać, że chodzi tu o możliwość prezentowania swojej twórczości przez wszystkich, którzy ją uprawiają. Ale to już zupełnie inna sprawa i inne tu rządzą prawa niż to się Bohdanowi Zajkiewiczowi wydaje.

Autor listu jest ciekaw, „czy za sytuację w kulturze odpowiadają także „Odgłosy"?". Nie mamy ani takich ambicji, ani takich możliwości. Sądzę, że warto przy tej okazji powtórzyć po raz nie wiem już który, że wokół „Odgłosów" nagromadziło się wiele nieporozumień oraz mitów. A jak wiadomo mity i nieporozumienia mają bardzo twardy i długi żywot. Warunki się zmienią, ludzie się zmienią, a mity nadal sobie żyją w najlepsze.

Warto więc może przypomnieć, że w 1982 roku — po uruchomieniu pism i wprowadzeniu wyższych na nie cen — pojawiło się zupełnie nowe zjawisko — rynek prasowy. Rynek ten ma to do siebie, że Czytelnik może za swoje 20—15 złotych wybrać takie pismo, jakie mu najbardziej odpowiada, a wydawca wyciąga z tego właściwy wniosek. Wydawca mówi redakcji — wasze starania są niedobre, jesteście nieudolni, bo Czytelnik kupuje *inne pisma, a nie kupuje waszego, jeśli będzie tak dalej, to wasz los jest pod dużym znakiem zapytania. Redakcja na takie oświadczenie musi wziąć się do roboty i zaczyna walczyć* o Czytelnika. Różnymi zresztą metodami.

Wychodzimy z założenia, żeby rozmawiać z Czytelnikiem, prowadzić z nim dialog na różne tematy, najpierw trzeba go mieć. Jak do tej pory wysiłki nasze spotkały się z uznaniem Czytelników i nr 13 „Odgłosów" z 31 marca 1984 roku ukazał się w rekordowym nakładzie 44 000 egzemplarzy. Będziemy starali się robić wszystko, aby takie uznanie Czytelników pozyskać na stałe.

Zrozumiałe jest to, że zabierając również głos na tematy kulturalne wywieramy jakiś wpływ na rozwój kultury. Nigdy nie traktowaliśmy i nie traktujemy naszych sądów jako ostateczne i zawsze chętnie podejmujemy dyskusję, jeżeli spotkają się one z odmiennym zdaniem lub sprzeciwem naszych Czytelników.

Natomiast jedno wymaga zdecydowanego wyjaśnienia: — żadnych autorów nie bojkotowaliśmy i nie bojkotujemy. Wielu natomiast autorów o znanych nie tylko w Łodzi nazwiskach nie podjęło współpracy z „Odgłosami" mimo naszych propozycji. Sądzę, iż nie rzecz w tym, aby te nazwiska wymienić. Każdemu przysługuje prawo wyboru takiej redakcji, jaka mu odpowiada. Ludzi przynoszących swoje teksty do redakcji nie pytamy o legitymację, dowody osobiste, stopnie naukowe, czy przynależność zawodową. Decydują wartości tekstu i to nas przede wszystkim interesuje. Żeby jednak sprawa była do końca jasna, to trzeba również oświadczyć, że nie drukowaliśmy, nie drukujemy i nie będziemy drukowali tekstów pisanych z pozycji wrogich socjalizmowi, partii i państwu polskiemu. Natomiast drukowaliśmy, drukujemy i będziemy drukowali teksty dyskusyjne, kontrowersyjne, które mieszczą się w powyżej zakreślonych ramach.

Nie chcę się spierać z Bohdanem Zajkiewiczem na temat grafomaństwa, bo to i nie jest sprawa najważniejsza. Jeśli chodzi natomiast o ludzi piszących, to drukowaliśmy również teksty takich autorów, o których można powiedzieć, że literaturą zajmują się amatorsko albo dodatkowo. Byli wśród nich również i robotnicy. I mam nadzieję, że tacy będą również i w przyszłości wśród naszych autorów. Robotniczemu Stowarzyszeniu Twórców Kultury życzę jak najlepiej i redakcja nasza zawsze z chęcią — tak jak to robiła do tej pory — pośpieszy z pomocą. Że w kilku sprawach różnimy się w poglądach, to nie powinno zaważyć na naszych wzajemnych stosunkach.

Chciałbym jednak ludzi skupionych w RSTK przestrzec przed jednym nieporozumieniem, które może gorzko odbić się na ich samopoczuciu, a nawet stać się powodem załamania. Przynależności do RSTK nie wolno traktować jako specjalnej legitymacji otwierającej wszystkie drzwi redakcji i wydawnictw. Te drzwi mogą i powinny jedynie otwierać walory tekstu, jego wartość poznawcza i artystyczną. RSTK powinno pomóc w doskonaleniu i pogłębianiu takich umiejętności. Nic więcej. Taki jest przynajmniej mój pogląd.

Jest natomiast inna sprawa — niezmiernie ważna. Chodzi o to, aby klasa robotnicza, ludzie pracy byli obecni w literaturze, sztuce, filmie. Aby to byli ludzie prawdziwi, tacy jak w życiu i aby były to dobre, rozchwytywane książki, oglądane filmy i dramaty. Abyśmy latami nie czekali na współczesne tematy. I za to muszą się wziąć wszyscy twórcy, niezależnie do jakiego stowarzyszenia należą. „Odgłosy" od dawna deklarowały i czynią to nadal, że dla tematu współczesnego nasze łamy są zawsze otwarte. Tylko tego tematu jakoś jakby mało...

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W SPRAWIE ROBOTNIKÓW PISZĄCYCH

Z przychylną uwagą przeczytałem w nr 13 „Odgłosów" z dnia 31 marca br. wypowiedź Andrzeja Karolczaka pt. „Potomkowie Londona" i miło mi, że mogę podzielić jego zastrzeżenia przeciwko próbom dzielenia literatury narodowej na konkurujące z sobą literatury środowiskowe, jak np. robotniczą, chłopską, czy inteligencką. Niepokoją mnie zwłaszcza — podobnie jak Karolczaka — pojawiające się podobno u nas tendencje do przeciwstawiania twórczości literackiej robotników twórczości „profesjonałów", czy nawet stwarzanie przywilejów dla tej pierwszej. Oczywiście, literatura narodowa jest jedna i stanowi w stosunku do literatur charakteryzujących się pewnymi cechami środowiskowymi czy klasowymi pojęcie nadrzędne. Zresztą poglądy Karolczaka w tej mierze są ogólnie przyjęte i moje też nie grzeszą odkrywczością.

Mógłbym więc ograniczyć się tutaj do tych paru słów aprobaty dla stanowiska Karolczaka, gdyby nie to, że sformułowania jego tekstu zaadresowane zostały jako polemika z moim artykułem publicystycznym pt. „Sercem i talentem", zamieszczonym w tymże numerze i wydrukowanym (chyba z braku lepszego miejsca) na kolumnie „Polemiki. Listy. Opinie", choć — jako żywo — listu żadnego do macierzystej redakcji nie wysyłałem ani też z nikim nie polemizowałem. Polemika pomiędzy ludźmi o zbliżonych lub niesprzecznych poglądach jest możliwa wtedy, gdy jeden nie rozumie lub nie dba o to, co powiedział drugi (przykłady znamy z licznych zebrań dyskusyjnych).

Nie potrafię ocenić, co w swoim artykule wyraziłem nie dość jasno. Liczyłem się z tym, że wobec pomieszania pojęć, które towarzyszy poruszanym ostatnio zagadnieniom kultury robotniczej, najbezpieczniej dla mnie będzie zwęzić tę niezwykle szeroką i złożoną problematykę do sprawy twórczości literackiej robotników, zgodnie zresztą z tematyką opisanego przeze mnie spotkania w Radziejowicach.

Termin ten, powtarzam: *„twórczość robotników"* (nie zaś — robotnicza, co bardzo istotne!), powinien właśnie nadać pożądaną jednoznaczność moim uwagom i rozważaniom, bez obarczania ich ubocznymi znaczeniami, powinien też postawić tamę zbyt dowolnym interpretacjom, zmierzającym do przeciwstawiania literatury tworzonej przez robotników literaturze ogólnonarodowej.

W tym przypadku chodzi zresztą o nazwę całkowicie adekwatną do opisywanego zjawiska, istnieje bowiem w Polsce przynajmniej kilkudziesięciu piszących robotników (licząc tylko zrzeszonych w Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury), a więc ludzi pracujących na stanowiskach robotniczych i utrzymujących się głównie z pracy w tzw. zawodzie robotniczym. Czy nie wolno ich nazywać robotnikami? Chyba wolno. W konfrontacji z tym całkowicie zasadne jest również używanie terminu pisarza „profesjonalisty". Chyba się nie mylę, przypuszczając, że pisarz utrzymujący się z pióra, a zwłaszcza jeżeli należy przy tym do Związku Literatów Polskich, wpisuje zawsze w rubryce „zawód" słowo literat lub pisarz. Istnienia tej profesji ja sobie nie wymyśliłem.

Trudno mi przytaczać tutaj, fragment po fragmencie, swój własny artykuł, liczę na to, że Czytelnik zainteresowany tematem zajrzy do wspomnianego numeru „Odgłosów" gdzie znajdzie pełne teksty mojego artykułu i polemiki Andrzeja Karolczaka i sam stwierdzi, co w nich jest naprawdę napisane, a czego tam nie ma. W każdym razie chyba nikt nie doczyta się w moim artykule, że mógłbym postawić nonsensowne pytanie, czy Gorki, London i inni byli pisarzami robotniczymi?

Pilnowałem się jak mogłem, żeby nie wykraczać niepotrzebnie poza ściśle ograniczone pojęcie „twórczości robotników". Nie zdołałem jednak upilnować się przed cudzą, zbyt — jak sądzę — dowolną interpretacją mojego tekstu.

JERZY KWIECIŃSKI

KTO NA TYM ZYSKAŁ?

Skąpo poinformowała nas prasa, a radio i TV chyba wcale, o zakończeniu afery „Dziwexu". Odniosłem takie wrażenie, że właściwie nic się nie stało z wyjątkiem obrotu walutami obcymi, co jest zabronione.

Mimo że niejako ze względów zawodowych nie traktuję opaski na oczach Temidy dosłownie — coś mi tu nie pasuje! Przypominam sobie bowiem wzruszający reportaż telewizyjny, oparty na wspomnieniach jednej z „artystek". Było tam o przymusie, zatrzymaniu przez impresariów dokumentów, o braku pieniędzy na powrót do Polski... A jakie to, w tym samym tonie utrzymane artykuły pokazały się w prasie! Prawie że handel żywym towarem! A teraz? N i c. Nic się nie stało.

Proponuję zatem, aby:

— wszystkie „artystki" nosiły przez jakiś czas na plecach tabliczkę z napisem „sama chciałam" lub złożyły wspólne oświadczenie, że robione przy pomocy lampy błyskowej „świerszczykowe" zdjęcia z seansów nocnych dotyczą ich sobowtórów.

— autorzy reportażu TV oraz artykułów w prasie pobrane wówczas honoraria przekazali, po odpowiednim podwyższeniu o stopę inflacji, na przykład na Szpital-Pomnik Matki Polki,

— skarb państwa wypłacił w „twardych" odszkodowanie zatrzymanym w momencie ujawnienia afery obywatelom państw obcych.

Nie sądzę, aby „Dziwexem" ktoś usiłował odwrócić uwagę społeczeństwa od nurtujących nas wówczas problemów. Na to nie pomogło — i słusznie — nawet Karlino z salonką, bo przecież nie tej rangi wydarzenia.

Kto więc i kiedy zrobił z nas balona?

W. AFELT

PREMIEROWY KONCERT „ODEONU"

Stowarzyszenie Artystyczne w Łodzi informuje, iż dnia 15.IV. 1984 r. o godz. 16.30 w Filharmonii Łódzkiej wystąpi z nowym premierowym koncertem Orkiestra Odeon pod batutą swego założyciela i kierownika artystycznego Stanisława Gerstenkorna.

Zespół ten znany już dobrze łodzianom z poprzednich koncertów muzyki popularnej przygotował tym razem program pt. „Melodie świata, sceny i ekranu", a w nim zgodnie z tytułem najbardziej znane kompozycje Johanna Straussa, popularne melodie z filmów „Most na rzece Kwai", „Bonanza", „Siedmiu wspaniałych", „W samo południe", „Ojciec Chrzestny" oraz przeboje wielkich musicali „Can-Can", „My Fair Lady", „Hallo Dolly". Ten wielki koncert rozrywkowy uświetniony występem wybitnych solistów Teatru Wielkiego w Łodzi, zapewni wiele wrażeń wielbicielom dobrej muzyki rozrywkowej.

Bilety do nabycia w Stowarzyszeniu Artystycznym, ul. Moniuszki 1A.

„Droga miecza"

Droga miecza czyli po japońsku kendo, to najstarsza sztuka walki, wywodząca się z kraju kwitnącej wiśni. Pierwsze jej ślady napotykamy około 2000 lat temu Natomiast już w 794 roku za panowania dynastii Heian odbywały się w Kioto coroczne turnieje rycerskie, podczas których używano zarówno mieczy stalowych jak i drewnianych. Począwszy od XVI wieku nastąpił gwałtowny rozwój kendo, szczególnie w okresie wojen domowych w Japonii. Istniało wówczas około 600 różnych szkół tej sztuki walki mieczem. Jako dyscyplina sportowa wyodrębniła się około 200 lat temu W przeciwieństwie np. do karate — kendo nie posiada żadnych odmiennych form walki. Mimo istnienia wielu szkół, kultywujących swe tradycje jest tylko jeden obowiązujący wszystkich uprawiających tę dyscyplinę regulamin walki (opracowany w 1911 roku w Japonii).

„Katana wa bushi no tamashi" — „miecz jest duszą samuraja", mówi stare japońskie przysłowie. Miecz jest także oznaką męskości, uosobienia honoru, synonimem piękna i siły, a także celem prowadzącym do duchowego oświecenia. Sztuka władania mieczem uważana jest przez Japończyków za najpiękniejszą i najbardziej finezyjną ze wszystkich sztuk walki. Nic tedy dziwnego, że kendo w 1871 roku zostało wprowadzone do japońskich szkół średnich i wyższych, a w 1982 roku do podstawowych jako obowiązkowy przedmiot.

I właśnie w kendo sześciu Łodzian: Andrzej Pleszko, Andrzej Kustosz, Rajmund Korsak, Andrzej Sielewicz, Zbigniew Misiak i Wojciech Rudnicki wywalczyło w lutym w Warszawie na I oficjalnych Międzynarodowych Mistrzostwach Polski — I miejsce. Prasa całego kraju podała, że zdobyli tytuł mistrzowski startując w barwach Włókniarza (Łódź). Tymczasem prawda jest taka, że podczas Mistrzostw Polski nie byli już zawodnikami Włókniarza (który ich się pozbył) ani jeszcze Startu (Łódź), który niedawno przejął sekcję. Tak więc tytuł zdobyli jako Łódzka Sekcja Kendo.

Z sekretarzem Sekcji i czynnym zawodnikiem Konradem Szczepara oraz trenerem i zawodnikiem, członkiem mistrzowskiej drużyny Andrzejem Kustoszem spotkałem się w hali Startu.

— Zdobyty ostatnio tytuł mistrzowski nie jest zapewne waszym jedynym sukcesem?

— Tak, oczywiście. Ostatnio rozegrane mistrzostwa Polski były pierwszymi oficjalnymi. Natomiast I nieoficjalne mistrzostwa kraju rozegrano już w roku 1976, a w 1978 w Gdyni po raz pierwszy miały one obsadę międzynarodową. W dotychczas rozegranych turniejach włącznie z ostatnim zdobyliśmy 4 razy I miejsce.

— A pan, panie Andrzeju, jest aktualnym indywidualnym mistrzem Polski.

— Tak. Odzyskałem tytuł mistrzowski w 1983 roku. Byłem bowiem mistrzem Polski już w roku 1981 na I Indywidualnych Mistrzostwach Polski. W roku 1982 zająłem IV miejsce.

— A sukcesy międzynarodowe?

— W roku 1982 mieliśmy wyjechać na V Mistrzostwa Świata do Brazylii, ale nie wyraził zgody na ten wyjazd przewodniczący GKKFiS Marian Renke. A warto zaznaczyć, że od takiego udziału zależy wstąpienie Polski do Światowej Federacji Kendo, która aktualnie zrzesza blisko 30 krajów. I Mistrzostwa Świata rozegrano już w 1970 roku i odbywają się one co 3 lata. W tym roku jeżeli nic się nie zmieni, mamy zadebiutować w maju w Brukseli na Mistrzostwach Europy.

Co roku Japończycy przysyłają zaproszenie dla 4 Polaków na oficjalny międzynarodowy obóz kendo, umożliwiający wspólne treningi oraz starty w turniejach — dodaje Konrad Szczepara. — Andrzej Kustosz przebywał w Japonii w 1980 roku. Wówczas to udało mu się nawet wygrać jeden z turniejów, jako pierwszemu z Europejczyków. Do większych jego osiągnięć należy też zdobycie 3 miejsca w turnieju szóstych danów w Japonii. Ponadto zwyciężył jeszcze w kilku turniejach.

— Skoro wspomnieli panowie już o danach, to chciałbym się dowiedzieć, panie Andrzeju, który dan pan posiada?

— Posiadam pierwszy dan. Najwyższym stopniem w kendo jest dziesiąty dan. Dotychczas posiadało go tylko pięciu Japończyków, ale niestety żaden z nich już nie żyje. Aktualnie dziewiąty dan posiada szesnastu, oczywiście też Japończyków. Są to ludzie w wieku 70—90 lat. Najstarszy kendoka, niedawno zmarły miał 96 lat i do ostatnich swoich dni walczył i zachowywał świetną kondycję. Podczas pobytu w Japonii miałem przyjemność walczyć z takim przeszło 70-letnim zawodnikiem. Przegrałem strasznie. Praktycznie był nie do trafienia. Wyborna technika, spokój, doświadczenie, koncentracja, żeby to osiągnąć trzeba wielu, wielu lat żmudnego treningu. Dany można zdobywać w Japonii w ściśle określonym terminie, na Mistrzostwach Świata i Europy (jeżeli przewidziane są egzaminy), przy czym w komisji je przyznającej musi być minimum trzech kendoków z siódmym danem. Dany nie są na zewnątrz niczym oznaczane w przeciwieństwie np. do dżudo. Jednak już po pierwszym ukłonie zawodnika można określić który dan posiada.

— Wróćmy może na chwilę do przeszłości. Jakie były początki Łódzkiej Sekcji Kendo?

— W roku 1973 przyjechał do Łodzi Takao Mizushima, Japończyk studiujący u nas ekonomię, posiadacz trzeciego dana. To właśnie on zaraził nas tym sportem i dzięki niemu powstała w listopadzie 1973 roku Łódzka Sekcja Kendo — pierwsza w Polsce. Wśród założycieli Sekcji byłem ja, Konrad Szczepara, Andrzej Pleszko i Franciszek Sztabiński, do dziś czynni zawodnicy. Jako ciekawostkę podam, że pierwszy pokaz kendo w Polsce odbył się w kwietniu 1974 roku, właśnie tu w hali Startu.

Początkowo ćwiczyliśmy w AZS, później w TKKF Dąbrowa, TKKF Zarzewianka, we Włókniarzu i wreszcie od niedawna zaopiekował się nami Start. Mamy nadzieję, że na dłużej, bo dość mamy już tego tułania się od klubu do klubu, od sali do sali. Aktualnie nasza sekcja liczy 30 stale ćwiczących zawodników.

— Czy istnieje Polski Związek Kendo?

— Nie. Ale ostatnio została powołana do życia Komisja Kendo przy Polskim Związku Karate. W ogóle Polska jest jedynym krajem socjalistycznym, w którym uprawia się tę dyscyplinę sportu. Choć słyszałem, że ostatnio kendo zainteresowani są Węgrzy.

— Przejdźmy teraz do rzeczy bardziej szczegółowych, związanych z samą walką. Zacznijmy może od opisu ubioru zawodników.

Andrzej Kustosz demonstruje poszczególne części stroju, jakie nosi na sobie zawodnik uprawiający kendo.

— Sam strój jest imitacją prawdziwej zbroi samurajskiej. Najtańszy komplet kosztuje około 100 dolarów, najdroższy dochodzi do 3000 dolarów. My otrzymaliśmy sprzęt z Japonii, w formie darowizn z zaprzyjaźnionych szkół i uniwersytetu w Waseda. Strój składa się z 7 części. Najpierw zawodnik zakłada bluzę zwaną „kendo-gi", później szerokie spodnie, takie szarawary, które po japońsku nazywają się „hakama". Następnie zakłada się na pas „tare". Jest to ochraniacz bioder, wykonany z grubego materiału. W środku znajduje się coś w rodzaju watoliny, wykończenia są ze skóry. Na piersiach nosi się „do" czyli napierśnik zrobiony z listw bambusowych, pokrytych skórą wyprawioną laką. Elementy wykończeniowe wykonane są ze skóry. Na głowę zawodnik ubiera „tenugui" — chustę z delikatnej bawełny mającej za zadanie zatrzymywać pot. Na chuście wypisana jest zawsze jakaś maksyma lub nazwa klubu, w barwach którego zawodnik startuje. Również na głowę zakłada się „men" z materiału przepikowanego z filcem i watoliną. Men posiada również stalową kratę chroniącą oczy i twarz przed uderzeniami. Ręce chronią długie rękawice zwane „kote", których część ochraniająca dłonie wykonana jest ze skóry. Tak wygląda kompletny strój zawodnika uprawiającego kendo.

— A czym się walczy?

— Walczy się oczywiście mieczem zwanym „shinai". Ma on od 1.15 m do 1.18 m długości w klasie seniorów. Waga jego dochodzi do 0,5 kg. Zbudowany on jest z 4 listew bambusowych elastycznie połączonych skórą. Rękę chroni garda zwana tsuba. W formie tradycyjnej używa się też miecza bokuto, którym się jednak nie zadaje ciosów. Ćwiczy się również sztukę władania prawdziwym mieczem — stalowym (katana)

— Wiemy już jak zawodnik jest ubrany i czym walczy. Teraz przejdźmy do opisu miejsca, na którym się walczy i powiedzmy parę słów o tym jak się walczy.

— Walczy się na boisku kwadratowym o wymiarach od 9 do 11 m. Boisko pokryte jest parkietem, który musi być bardzo sprężysty. W Japonii używa się do budowy boiska długich desek z drewna wiśniowego, lub parkietu na resorach, których używa się również w Europie. Ma to duże znaczenie dla walczących, gdyż walczy się boso i odpowiednie podłoże chroni stopy zawodników przed kontuzjami. Sama walka trwa maksimum 5 minut. Może zakończyć się wcześniej, jeżeli jeden z walczących uzyska 2 punkty. W systemie pucharowym, jeżeli rozstrzygnięcie nie padnie w ciągu 5 minut, przedłuża się walkę o 3 minuty, aż do momentu zdobycia punktu przez jednego z walczących. Jeżeli i po tych dodatkowych 3 minutach utrzymuje się stan remisowy, przedłuża się walkę o dalsze 3 minuty i tak aż do wyłonienia zwycięzcy. Punkty zdobywa się za uderzenia: w górną część maski (men) tak zw. cięcie w czaszkę, w „do" czyli w korpus, w „kote" w część chroniącą przedramię i za pchnięcie tzw. „tsuki" w część chroniącą gardło. Walkę sędziuje 3 sędziów, posiadających dwie chorągiewki: czerwoną i białą. Kolory chorągiewek związane są z szarfami, jakie posiadają zawodnicy. Podniesienie w górę np. czerwonej chorągiewki (przez co najmniej 2 sędziów) oznacza punkt dla zawodnika walczącego z czerwoną szarfą. Uderzenie można zadawać tylko ostrzem, to jest jedną stroną shinai na 1/3 długości od końca lub pchać końcem miecza.

Przy zadawaniu ciosów niezbędny jest okrzyk zawodnika. Krzyczy on nazwę atakowanego punktu. Bez okrzyku zadany cios się nie liczy. Okrzyk ma również za zadanie wyregulowanie oddechu walczącego, a także kamufluje prawdziwy rytm oddechu. Podczas walki musi być zachowana właściwa postawa ciała umożliwiająca dalszą rywalizację. Zawodnik powinien być zainteresowany jedynie samą walką. Wszelkie objawy radości np. wyrzucenie w górę maski po zadaniu celnego uderzenia lub niewłaściwa postawa, zbędne gesty i słowa powodują natychmiastową dyskwalifikację jednego z walczących i przyznanie 2 punktów rywalowi. Decyzje sędziów są nieodwołalne i nie ma żadnych dyskusji z nimi podczas trwania walki. Ewentualny protest można złożyć dopiero po walce. Prawo złożenia protestu ma tylko trener.

— Motto stylu „Smoka" kung-fu brzmi: „Kontroluj siebie, pozwól innym robić to, co chcą. Nie znaczy to, że jesteś słabszy. Kontroluj swoją duszę, bądź posłuszny i słuchaj zasad życia. Nie znaczy to, że inni są silniejsi". To motto odnosi się chyba również i do kendo, jak też i do innych wschodnich sztuk walki.

— Tak na pewno. Kiai, czyli wewnętrzna siła, kontrola swojego organizmu, swojej duszy, koncentracja energii, skoncentrowanie się na punkcie, który się atakuje odgrywa kolosalną rolę podczas walki.

— Czy kendo jest sportem niebezpiecznym?

— Twierdzę, że jest najbezpieczniejszym ze wszystkich sportów walki. Oprócz siniaków i drzazgi w palcu — zwłaszcza walcząc na naszych parkietach — niczego innego nabawić się nie można. Wprawdzie był jeden wypadek śmiertelny w RFN, ale był to rzeczywiście niezwykły przypadek losowy. Otóż podczas walki jednemu z zawodników pękł shinai i kawałek listwy z niego ugodził w oko walczącego japońskiego trenera, który mimo natychmiastowej pomocy zmarł. Podobnie tragiczny wypadek zdarzył się niedawno podczas Mistrzostw Świata w szermierce, gdzie kawałek złamanej klingi wbił się w oko radzieckiemu floreciście Smirnowowi.

— O ile się orientuję, jesteście panowie stuprocentowymi amatorami?

— Tak. Oprócz własnej satysfakcji nie mamy z uprawiania kendo żadnych korzyści materialnych. Wprost przeciwnie, niejednokrotnie musimy sporo dołożyć. Japończycy zapraszając nas do siebie, pokrywają tylko koszty pobytu, natomiast za podróż płacimy z własnej kieszeni. Od 11 lat poświęcamy swój wolny czas, (aczkolwiek z własnej woli, bo kochamy kendo), przechodzimy z klubu do klubu i myśli pan, że ktoś nam kiedyś podziękował za zdobyte tytuły mistrzowskie. Każdy wie o naszym istnieniu, ale żyjemy na uboczu tego sportu przez wielkie S.

— Można jeszcze zapytać, panie Andrzeju, czym pan na co dzień się zajmuje?

— Jestem instruktorem sportu w Domu Kultury Zarzewie przy Spółdzielni Mieszkaniowej Zarzew.

— A pan, panie Konradzie?

— Socjologiem w Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych.

— Dziękuję panom za rozmowę i mam nadzieję, że w Klubie Start znajdziecie swoją, wreszcie stałą przystań, a także odpowiednią opiekę. Myślę, że również władze łódzkiego sportu przypomną sobie o waszym istnieniu. Mnie pozostaje tylko życzyć panom sukcesów na zbliżających się Mistrzostwach Europy w Brukseli (bo wierzę, że jednak tam pojedziecie), jak i w przyszłości.

Rozmawiał:
WITOLD LEWANDOWSKI

Andrzej Kustosz (z lewej) w walce z jednym z Japończyków, podczas pokazowego turnieju w Warszawie

Australia:

PRZODKOWIE — GALERNICY

Pożółkły pergamin, nadżarty zębem czasu, potwierdza z absolutną dokładnością, że poddany brytyjski, Nathanael Lucas, został skazany na 7 lat więzienia za kradzież, a następnie deportowany na pokładzie jednego ze statków wiozących 717 pierwszych galerników, który przybił do brzegów kolonii, nie będącej jeszcze wówczas Australią. „Można powiedzieć o nim, że to nicpoń, ale był moim pra-pra-pra-pradziadkiem" — stwierdza z humorem Elisabeth Larkine. Ta drobniutka, 37-letnia kobieta może być autorytetem w tej materii. Bez osłonek i bez najmniejszego zażenowania mówi o tym, co stanowi przedmiot dumy jej rodziny: wśród jej przodków doliczyć się można jeszcze sześciu innych przestępców kryminalnych. Nic więc dziwnego, że Elisabeth, mając takie referencje, może z najprawdziwszym oddaniem prowadzić w Melbourne jeden z tych szczególnych klubów australijskich, które skupiają ludzi wywodzących się z rodzin skazańców, a których jedyną racją istnienia jest pragnienie zrehabilitowania minionych dziejów, tak długo ukrywanych w mrokach tajemnicy.

W latach 1788—1868 deportowano na ten teren około 168 tys. skazańców. Życie ich nie pieściło. Siedem lat galer za kradzież sześciu spódnic i muślinowego czepka — to Nathanael Lucas. Również 7 lat za ściągnięcie marnych 40 szylingów — to Olivia Gascogne, przyszła żona Nathanaela. Po 14 lat deportacji dla innych, skazanych za podobne przestępstwa. Ci, którzy wymknęli się szkorbutowi podczas podróży morskiej, musieli później harować do obłędu, aby zapewnić przetrwanie kolonii, izolowanej od całego świata. Można więc zrozumieć, jak to się stało, że pierwsi gubernatorzy okazywali im wyrozumiałość, że wielu skazańców wyemancypowało się, a najzdolniejsi dorobili się majątku.

W każdym razie dziś oddaje im się sprawiedliwość. Władze, przygotowujące na rok 1988 uroczystości dwóchsetlecia Australii, zapewniły, że pamięć tych sławnych przodków zostanie uczczona jak należy.

KIM JESTEŚCIE, AUSTRALIJCZYCY?

W Australii nawet autobusy mają imiona własne. Ten nazywa się „Alice Express". Z kocią zręcznością napędzany silnikiem srebrny dyliżans pomyka niemal bez szmeru, kołysze się jak okręt, mając za nic wszelkie zdradliwe pułapki długiego, czerwonego szlaku. Woomera, Coodambo, Kingoonya... Z rzadka tylko pojawiają się nazwy, jak nierzeczywiste znaki identyfikacyjne na skraju niezmierzonej pustyni. Nie ma co żałować, że nie lecimy samolotem, który z taką łatwością pokonuje „tyranię odległości". Busz, interior i wielkie przestrzenie australijskie przeżywa się naprawdę tylko dotykając ziemi. A kiedy na wieczornym postoju, w zagubionym zakątku Queenslandu, u stóp „gas station" — samotnej, jedynej w obrębie setek mil, podejdzie do nas zuchowaty chłopak na pałąkowatych nogach i z palcem przytkniętym do szerokiego ronda wypłowiałego od słońca i wiatru kapelusza zapyta chropawym głosem: „Hello, my name is John Tryton, goin up to Silver Hills?", to już wtedy nie ma najmniejszej wątpliwości, że znaleźliśmy się w samym środku marzenia. Czy to jakaś kopia sto razy oglądanego filmu z amerykańskiego Dzikiego Zachodu, z której usunięto jedynie czarne charaktery? Nie, to po prostu Australia — nieco osłodzona

kraina szczęśliwości

wersja podboju, trudnych czasów osadnictwa, kiedy to hodowcy owiec, pasterze przybyli z Południa, powoli brali w posiadanie Północ.

Wnukowie i prawnukowie pionierów mają się dobrze. Są może nieco nieokrzesani, ale nie brak im też wewnętrznego ciepła, są nieśmiali, lecz gdy potrzeba potrafią nieźle narozrabiać. Pewnego razu w Alice Springs, kierowca „road train" — pociągu samochodowego, czyli monstrualnej ciężarówki, ciągnącej nieraz nawet i cztery ogromne, kryte przyczepy — został z jakiegoś tam powodu wyrzucony za drzwi z kalnego „pubu". Rozwścieczony, wskoczył za kierownicę (koniec końców, jeśli nawet wypił przy kontuarze te dwie skrzyneczki piwa, to na pewno nie przekroczył przeciętnej krajowej, która wynosi 144 litry rocznie na 1 mieszkańca), wziął rozpęd na pobliskiej drodze i na pełnym gazie pogonił swoje 105 ton pod arkady owego szacownego lokalu. Tak naprawdę to nikt nie miał mu tego za złe. Jak chce obyczaj australijski, wszystko co najciekawsze dzieje się — lub jest opowiadane w pubie, między nami, mężczyznami...

Te prześliczne historyjki, dodane jedna do drugiej, podtrzymują i upiększają legendę interioru uwierzytelniając przekonanie, że tam i tylko tam bije serce Australii. Niestety, przekonanie to, wpajane przez poetów i pisarzy — piewców buszu, jest co najmniej mocno przesadzone. Tak naprawdę, społeczność australijska (80 proc. ludności mieszka na południu, między Brisbane, Sydney, Canberrą, Melbourne i Adelaidą) to przede wszystkim wesoła gromada mieszkańców przedmieść, a należące do tej społeczności wielkie przestrzenie zamykają się w starannie wytyczonych ramach: domek z czerwonej cegły, trzy skrawki trawnika, zieleń sąsiedniego parku, a także zadymione wnętrze pubu i ławki stadionu.

Stadion — a więc sport. W tej dziedzinie trudno wyobrazić sobie nawet, że mogłoby być lepiej. Według oficjalnych statystyk, 5 mln osób uprawia systematycznie surfing, żeglarstwo, golf, itp., nie mówiąc o zagorzałych entuzjastach meczów piłkarskich, czy też tysiącach ludzi pasjonujących się wyścigami konnymi. Wszystko to jest tyleż zjawiskiem społecznym, co świadectwem, że społeczeństwo jest zdrowe. Jak stwierdziła pewna starsza, wielce szanowna dama amerykańska, żyć w Australii, to jakby żyć na wielkim stadionie: zawsze i wszędzie jest ktoś, który coś uprawia. Natomiast Keith Duncan, autor czarującej książeczki na ten właśnie temat opowiada, jak w 1967 roku na przekór wszystkiemu chciał założyć w Melbourne klub kibiców anty-rugby. Poradzono mu wówczas, aby przeniósł się do Sydney, które, jak powszechnie wiadomo, jest rywalem Melbourne w piłce ręcznej.

O australijczykach mówi się często, że nie są skłonni do kreowania świętości i nie ma w nich kultu dla ceremoniału. Okazuje się jednak, że nie jest to regułą. Kiedy w niezliczonych klubach weteranów I wojny światowej punktualnie o 21 kombatanci prężą swe kruche ciała, twarzą zwróceni ku zachodowi, aby oddać część pamięci poległych towarzyszy broni, trudno się oprzeć wzruszeniu. 60 tysięcy zabitych... Zbyt mało wie się o tym, że podczas tych czterech lat w piekle ciągnącym się od Gallipoli pod ogniem tureckim, przez okopy nad Sommą i we Flandrii pod ogniem niemieckim, Australia zapłaciła najcięższy haracz spośród wszystkich oddziałów sprzymierzonych. Wtedy to właśnie odkryła w sobie „prawdziwy" naród, daleki od starej brytyjskiej macierzy, a co ciekawsze — nabrała rzadko spotykanego gdzie indziej, bardzo austalijskiego przekonania, że na świecie nic nie przepada bezpowrotnie, że zawsze istnieje możliwość oparcia się przeciwnościom albo ich pokonania.

Z tych doświadczeń, do których należy dodać doświadczenie w pełnieniu trudnej misji opanowania wyspy-kontynentu, a także z izolacji od dalekich szaleństw Starego Świata zrodziło się u Australijczyków przekonanie, że tu, pod słońcem antypodów żyją w krainie szczęśliwości. I jest to prawda. Pełno tu rozległych przestrzeni do wzięcia, ziemia nie rodzi żadnego konfliktu, obfituje we wszelkie bogactwa. Można tu znaleźć wszystko — żelazo, węgiel, miedź, złoto, uran — chciałoby się powiedzieć, podane na otwartej dłoni. Od początku bieżącego stulecia spójny system, którego podstawą jest arbitraż między pracownikami najemnymi a pracodawcami, zapewnia tym pierwszym (decyzją sędziego Higginsa z 1907 roku) „sprawiedliwe wynagrodzenie... obfite pożywienie i dach nad głową nawet w najgorszych dniach". Przeciętna płaca w 1983 roku równała się 8 tys. franków miesięcznie. A kiedy wszechwładne związki zawodowe dochodzą do wniosku (często), że płaca jest za niska, to po prostu robi się strajk. W 1982 roku w wyniku strajków przepadły 3 miliony dni pracy. Stąd właśnie bierze się reputacja Australii jako „raju dla pracujących", społeczeństwa egalitarnego, demokratycznego. To ostatnie określenie uzyskało niedawno dodatkowe argumenty potwierdzające, kiedy w marcu 1982 roku „Bob" Hawke, gwiazdor Partii Pracy (jako student Oxfordu pobił wszelkie rekordy, pochłaniając dwie i pół pinty piwa w ciągu — 12 sekund) bez najmniejszej trudności zdetronizował premiera-konserwatystę, Johna Malcolma.

W latach 60-tych ukazała się niewielka książeczka Donalda Horne, której tytuł „The Lucky Country" wydawał się potwierdzić istnienie kraju obfitości (blisko 70 proc. mieszkańców realizuje tu największe marzenia każdego Australijczyka, jakim jest posiadanie własnego domu). Cała bieda w tym, że ów sukces wydawniczy zamiast opiewać australijskie walory, akcentował przede wszystkim liczne mankamenty. Nie chodzi tylko o takie, które są związane ze smutną egzystencją przytłaczającej większości 130 tysięcy aborygenów — tubylców australijskich, żyjących na marginesie świata, który nie jest ich światem. Rdzenni mieszkańcy Australii, przepędzani i masakrowani przez żądnych ziemi białych, nie są tu sprawą wiecznej plamy na honorze i wyrzutów sumienia, jak Indianie w Stanach Zjednoczonych. Rząd labourzystowski zwraca im teraz jedno po drugim ich święte miejsca, a nawet wstrzymał eksploatację złóż uranu, stwarzając dla aborygenów coś w rodzaju parków narodowych. Okazało się jednak, że lokalne rady tubylców na obszarze Terytorium Północnego znacznie bardziej zainteresowane są opłatami dzierżawnymi wnoszonymi przez spółki kopalniane niż sporadycznymi wpływami, jakie przynosi przemarsz przez ich ziemie plemion japońskich, amerykańskich czy niemieckich uzbrojonych w kamery Nikon i Leica...

Nie chodzi też o takie mankamenty australijskie, które ujawniają się przy studiowaniu beznamiętnych statystyk. Kryzys, implikacje dwóch szoków naftowych — to znają wszystkie państwa. Bajecznie bogate surowce krajowe nie dają się sprzedawać tak dobrze, jak mogłaby się spodziewać Australia po zachłyśnięciu się nazbyt wychwalanym boomem wydobywczym; sam przemysł wydobywczy jest wciąż jeszcze zdominowany (blisko 52 proc.) przez obce przedsiębiorstwa; wyroby przemysłu przetwórczego nie grzeszą najwyższą jakością, dolegają im też przestarzałe bariery celne; stopa bezrobocia ociera się o 10 proc., a egalitarne z pozoru społeczeństwo ujawnia nie byle jakie dysproporcje między prawnikiem z Sydney, specjalizującym się w sprawach podatkowych a młodym górnikiem dołowym z kopalni w Mount Isa; wszystko to ze ściśle ekonomicznego punktu widzenia nie stanowi na dłuższą metę mankamentów nie do pokonania.

Pytanie zasadnicze, jakie nurtuje Australię, dotyczy tego, co ma być dalej. Korzystanie z przyjemności „good life", wyczerpanie ich aż do dna to rzecz doskonała, ale co później? W Sydney aż się roi od samochodów, które na szybach mają nalepki z hasłem „I'd rather by surfing" („Wolałbym surfing"). Pewien humorysta, tym razem bardzo serio mówi: „Dla Australijczyków praca jest przede wszystkim przymusową pańszczyzną między dwoma weekendami". Były ambasador Francji podsumowuje swoje spostrzeżenia o Australii następującą sentencją: „Przyjemność używania życia bierze tu górę nad przyjemnością wykazywania przedsiębiorczości i inicjatywy". To trafne określenie nie przeczy w niczym osądowi doświadczonego obserwatora sceny australijskiej, Maximiliana Walsha, który pisze z całą surowością: „Nie jesteśmy przecież skazani na to, aby wbrew wszystkim naszym atutom na zawsze pozostać tylko i wyłącznie miłą, małą, dziwaczną prowincją wyposażoną w cały fajerwerk sukcesów materialnych... krótko mówiąc — tylko i wyłącznie biednym małym bogatym krajkiem". Chodzi o to, że Australia wciąż jeszcze nie dokonała wyboru między powabami spokojnej egzystencji — czegoś w rodzaju bukolicznego pikniku na ciepłym piasku wśród łopotu żagli a wymogami nowoczesnego społeczeństwa.

A oto przykłady postaw, które są tego dowodem. Australia jako bastion geograficzny Pacyfiku siłą rzeczy musi coraz ściślej wiązać swoje losy gospodarcze, swoją koniunkturę z takimi pracowitymi pszczółkami, królowymi wydajności pracy i wielkości produktu narodowego brutto, jak Singapur, Malezja, Korea Południowa i Japonia. Tymczasem przeciętny Australijczyk z trudem godzi się z myślą, że trzeba iść wspólną drogą z tymi właśnie ludźmi, a nie z ludźmi ze starej Europy czy też z Ameryki. Być może odgrywają tu rolę jakieś ukryte elementy ksenofobii, jakaś obawa przed wkroczeniem „żółtej Azji", tak bardzo, za bardzo nawet przedsiębiorczej; a może wspomnienie nader skutecznego bombardowania miasta Darwin przez lotnictwo japońskie w 1942 r.?

Inny przykład: „nie chcemy energii atomowej", „nie chcemy uranu", „nie chcemy budowy zapór" — to hasła bardzo modne obecnie w Australii. Czy to chodzi o przeciwstawienie się (skuteczne) budowie w Tasmanii zapory niszczącej piękną dzikiej rzeki, czy potępienie zamierzonej eksploatacji największego na świecie złoża uranu w Roxby Downs, australijscy „Zieloni", lewe skrzydło sprawującej władzę Partii Pracy, koła uniwersyteckie, duchowieństwo — wszyscy przejawiają niezwykłą aktywność argumentując, że chodzi o przyszłe losy społeczeństwa. Pewnego dnia przedstawicielki ruchu kobiecego „Women for Survival" zaatakowały energicznie z nożycami w ręku, druciane ogrodzenie ściśle tajnego obiektu wojskowego Pine Gap, w pobliżu Alice Springs w centrum kraju. Chciały w ten sposób zaprotestować przeciw samemu istnieniu tej jednej z trzech baz amerykańskich na ziemi australijskiej (w ramach paktu ANZUS); przeznaczeniem tych baz jest ni mniej ni więcej tylko śledzenie prób nuklearnych, zarówno radzieckich jak i chińskich, utrzymywanie łączności z atomowymi okrętami podwodnymi US Navy, a być może też przekazanie im rozkazu z Białego Domu, gdy zapadnie tam decyzja naciśnięcia na guzik... W takiej sytuacji rzeczywiście można przypuszczać, że w przypadku konfliktu nuklearnego ze Związkiem Radzieckim Australia stanowić będzie jeden z najważniejszych celów. Ale przecież trzeba się na coś zdecydować: nie można domagać się wprowadzenia „strefy wolnej od wszelkiej działalności nuklearnej", a równocześnie liczyć po cichu na Ameryke, że ta stawi czoła zagładzie na wszystkich frontach, najchętniej bardzo oddalonych, ocalając w porę dziewiczą czystość Australii.

Australijczycy mają oczywiście pełne prawo gospodarować we własnym kraju tak jak sobie tego sami życzą. Wielką szansą tej społeczności jest jej wyjątkowa różnorodność. To prawdziwy wielokulturowy tygiel, przedziwna mieszanina Anglosasów, którzy równocześnie i zachowują, i odrzucają stare, dobre tradycje Zjednoczonego Królestwa, zapożyczając też od Amerykanów ich „way of life". Mieszanka ta od 1945 roku została wzbogacona przez zwyczaje i obyczaje „nowych Australijczyków": około 5 mln Greków, Włochów, Jugosłowian, Niemców i wielu innych narodowości, którzy są nośnikiem wszelkich europejskich wartości. „To jest sałatka, a nie przecier — jak to określa obrazowo pan Larobina, Australijczyk z Melbourne, urodzony w Rzymie, redaktor naczelny dwóch dzienników ukazujących się w języku włoskim. Dobra sałatka, w której każda z ingrediencji zachowuje własny smak, ale przyczynia się w niemałym stopniu do aromatu całości".

U progu dwóchsetlecia Australii (1988) „homo australianus", jeśli można tak powiedzieć — jeszcze się nie narodził. W popularnym ujęciu australijski pan Kowalski obnosi swój wydatny brzuszek od pubu na wyścigi konne w Randwick, na plaże Bondi lub Manly, a obdarzony jest przy tym takim finezyjnym poczuciem humoru jak ów senator, który niedawno na forum parlamentu w Canberze oświadczył: „Mój drogi i szacowny kolego, to był stek największych bzdur, jakie można było usłyszeć od czasu, gdy Marks napisał swoją „Mein Kampf", czy jak tam się nazywa to arcydzieło"! Ale czasy się zmieniają. Powoli ustępuje ów długo pielęgnowany kompleks niższości Australijczyka zarówno wobec wykwintnych manier brytyjskich jak wobec błyskotliwości starej Europy — to, co autor pierwszego australijskiego słownika, prof. Arthur Delbridge nazwał „poczuciem uniżoności kulturalnej". Jest wiele zwiastunów tego, że społeczność australijska nie powiedziała ostatniego słowa: „odkrywa się" obecnie witalność kina, które w rzeczywistości rozkwita już od wielu lat; teatr nie jest wprawdzie zbyt popularny, ale w ciągu ostatnich 10 lat wystawił dobrą setkę sztuk. Australia Council hojnie wydała miliony dolarów (dokładnie 11 mln w latach 1973—1982) na dary i subwencje dla literatów, malarzy i innych artystów...

PODRÓŻ DO ZIEMI OBIECANEJ

W starej Europie natomiast coraz więcej młodych ludzi uważa Australię za najprawdziwszą „ziemię obiecaną", gdzie można żyć pełną piersią, wśród ludzi zdrowych ciałem i duchem, wśród natury i szerokich przestrzeni, gdzie można rozwinąć skrzydła i przeżyć prawdziwą przygodę, a także sprawdzić samego siebie. Jednakże otrzymanie wizy imigracyjnej staje się coraz trudniejsze. Zobaczmy, jak to wygląda na przykładzie Francji. Z racji kryzysu wprowadzono znacznie surowsze kryteria udzielania zezwoleń, a w wyniku tego ambasada Australii w Paryżu, która w 1982 roku otrzymała 18 tys. wniosków, wydała ostatecznie zaledwie 790 wiz imigracyjnych.

Nadal co dzień przed tą ambasadą spotkać można około setki ludzi, którzy chcieliby przyłączyć się do 16 tys. Francuzów, już osiedlonych w Australii. Wszyscy ci chętni, jak wyjaśnia sekretarz ambasady, który zajmuje się sprawami imigracji, mają indywidualnie uzasadnione motywy. Większość z nich nie może znaleźć pracy we Francji. Innych dręczy myśl o niepewnej przyszłości Europy, rosnące napięcie między Wschodem a Zachodem. Jednakże selekcja jest bardzo surowa, chyba że ktoś ma już w Australii rodzinę, bądź też uzyskał oficjalne zapewnienie, że otrzyma pracę. W ubiegłym roku rząd australijski opublikował liste 75 zawodów, na które było zapotrzebowanie. Na liście tej figurowały m.in. maszynistki-stenotypistki. Jednakże w październiku ten zawód, podobnie jak wiele innych, został wykreślony z listy, na której pozostało już tylko 14 pozycji, obejmujących zresztą coraz węższe specjalności. Teraz jeśli chce się wyjechać do Australii, to lepiej być informatykiem, drzeworytnikiem lub kelnerem, niż np. prawnikiem. Sprawa zawodu nie wyczerpuje problemu. Tak np. właściciel restauracji w Sydney, chcąc zatrudnić kelnera-obcokrajowca musi najpierw udowodnić, że nie otrzymał żadnego zgłoszenia w odpowiedzi na swoje zapotrzebowanie na miejscu. W każdym razie formalności zabierają co najmniej pół roku.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ NA SKALĘ REGIONU

Od stu lat Australia, za pośrednictwem swych żołnierzy, była obecna na dalekich frontach, gdzie walczyły między sobą wielkie mocarstwa atlantyckie; najpierw wspierała Anglię w Sudanie i w Afryce Południowej; potem w dwóch wojnach światowych wspomagała aliantów; wreszcie u boku Amerykanów obecna była w Korei oraz w Wietnamie. Jednakże od momentu, gdy Brytyjczycy wycofali się z Azji, zaś Amerykanie — z Indochin, Australia zmuszona była spojrzeć nieco inaczej na sprawę swych naturalnych horyzontów. Oto jest Azja — przeludniona, wstrząsana konwulsjami, sprawiająca na Australijczykach wrażenie „lawiny gotowej spaść im na głowę" jak to określił pewien dziennikarz z Sydney. Twarzą w twarz z tym starym światem o zróżnicowanej stopie życiowej, konfucjańskim, buddyjskim lub islamskim — młody kraj ludzi białych, chrześcijański i bogaty. Aby nastąpiło wzajemne zbliżenie trzeba śmiałości i wyobraźni. Te właśnie wartości kultywuje 54-letni Robert James Lee Hawke — premier Australii od marca 1982 roku, już teraz uznawany za szefa rządu najpopularniejszego w kraju od 15 lat. Stojąc na czele Partii Pracy pokonał on w wyborach konserwatystów z Partii Liberalnej, która sprawowała władzę od 34 lat (z wyjątkiem krótkiego labourzystowskiego intermedium w latach 1972—1975). To zwycięstwo, o którym miejscowi komentatorzy mówią, że „zmieniło oblicze polityczne Australii", uzyskane zostało dzięki głosom obywateli mniej przywiązanych do Kościoła, imigrantów przybyłych po 1954 r. nie z W. Brytanii czy Irlandii, lecz z Europy Południowej, a przede wszystkim — dzięki głosom młodych kobiet.

Bob Hawke zwyciężył rządzącego przez 7 lat premiera Malcolma Frasera, wznosząc sztandar „pojednania". Tym ulubionym przez siebie hasłem kandydat labourzystowski przywrócił być może nadzieję krajowi ogarniętemu rozgoryczeniem z powodu następstw recesji, które dotknęły Australię w momencie, gdy pławiła się w euforii pięcioprocentowego wzrostu gospodarczego i szesnastoprocentowego wzrostu płac. Jak się wydaje, Bob Hawke — człowiek licznych paradoksów — nosił w sobie ideę pojednania, jak najwyższą potrzebę wewnętrzną. Ten działacz związkowy (od 1969 roku stał na czele Australian Council of Trade Unions — ACTU) wygrał wybory w kraju, który bijąc światowe rekordy pod względem liczby przestrajkowanych dni koniec końców znienawidził związkowców. Skłonił swych towarzyszy do uznania konieczności zahamowania podwyżek płac i zajęcia się przede wszystkim inflacją (11,5 proc. rocznie) oraz bezrobociem (10 proc. sześciomilionowej armii pracowników najemnych). Będąc przywódcą robotniczym, ma jednak wielu przyjaciół w kołach biznesu. Jest uczuciowy, z pasją przeciwstawia się wszelkim przejawom rasizmu, a jednocześnie potrafi udzielać najsurowszych lekcji ekonomii. Mając przekonania republikańskie, oczarowany był swą władczynią — królową angielską. Będąc ateistą czerpie inspirację z Biblii. Niewiele brakuje, aby ten socjalista formułował teorie na temat prywatnej własności środków produkcji. I wreszcie Hawke — labourzysta pod niejednym względem wykazuje więcej konserwatyzmu niż sami konserwatyści.

Nowy rząd najszybciej niewątpliwie wykazał się oryginalnością w polityce zagranicznej. W swą pierwszą podróż nowo wybrany premier ruszył do Waszyngtonu. Spotkanie z Ronaldem Reaganem pławiło się wprost w serdecznościach. Jak twierdzi Bob Hawke, prezydent USA jest „po prostu czarujący, pełen ludzkich uczuć i szlachetności". Hawke popiera politykę Białego Domu w Ameryce Środkowej, przedstawia własny kraj jako „najbardziej konstruktywnego sojusznika Stanów Zjednoczonych", potwierdza przywileje lotnicze dla bombowców B 52 w Darwin i krytykuje „ekspansjonizm" radziecki.

Australia jest sojusznikiem USA w ramach paktu ANZUS (Australia, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone) zawartego w 1951 roku. Obecnie jednak na prowadzenie przed ANZUS wysuwa się ASEAN — stowarzyszenie Indonezji, Tajlandii, Filipin, Malezji i Singapuru, obejmujące łącznie trzysta milonów ludności i wykazujące obecnie najwyższą na świecie stopę wzrostu gospodarczego. W Canberze człowiekiem ASEAN-u jest Bill Hayden. Bob Hawke zastąpił go na czele Partii Pracy, ale Hayden jako minister spraw zagranicznych pozostaje najbardziej doświadczonym politykiem z całej nowej ekipy. Pierwszy swój gest skierował pod adresem Indonezji — najpotężniejszego państwa ASEAN-u i najbliższego geograficznie sąsiada Australii. Lewica australijska nie troszczy się zbytnio o logikę: chce ukarać Jakartę za to, że okupowała ona wschodnią część wyspy Timor, i stosuje tam bestialskie represje. Równocześnie chce dopomóc Wietnamowi, któremu Canberra cofnęła pomoc po jego akcji w Kampuczy w 1979 r. Bill Hayden ma więc trudny teren manewrowania. Rozpoczął od tego, że potwierdził uznanie przez poprzedni rząd faktu dokonanego na Timorze i zaproponował Jakarcie kredyt.

Drugi gest Haydena był skierowany do Wietnamu, dokąd udał się dwukrotnie — jako pierwszy w dziejach szef dyplomacji australijskiej przyjmowany w Hanoi. Wietnamski minister spraw zagranicznych, Nguyen Co Thach powiedział mu, że Australia jako kraj zaprzyjaźniony z ASEAN-em, Chinami i Stanami Zjednoczonymi może odegrać „bardzo istotną rolę" w rozwikłaniu kryzysu kampuczańskiego. To zbliżenie z Wietnamem niepokoi bardzo antykomunistycznie nastawione kraje ASEAN-u. Jednakże Canberra jest zdania, podobnie zresztą jak Paryż, że pomoc dla Wietnamu pozwala temu ostatniemu na większe uniezależnienie się od Moskwy.

W swoim regionie świata Australia odgrywa niebagatelną rolę w kwestii bezpieczeństwa wielu krajów. Wśród tysiąca Azjatów, którzy co roku opuszczają jako absolwenci australijskie uczelnie wojskowe, figurują m.in. następca tronu Tajlandii, a także dowódca naczelnych sił zbrojnych Fidżi i Brunei. Australia udziela co roku Indonezji 10 mln kredytu na cele wojskowe, wysyła swych instruktorów do Singapuru i Malezji, szkoli wojskowo Filipińczyków, dostarcza samolotów Tajlandii, a także udostępnia Singapurowi swój teren na bazę dla eskadry Skyhawków.

Jak stwierdził niedawno premier Hawks podczas swej wizyty w Bangkoku, Australia „uważa się za część Azji i obchodzi ją wszystko, co Azji dotyczy". Prawdą jest, że większość eksportu z Australii, która jest multimilionerką jeśli chodzi o bydło, mięso i wełnę, tony węgla, ropę naftową, gaz i wszelkie minerały, od złota aż po uran, kieruje się do Azji, np. do Japonii, która wchłania 30 proc. tego eksportu. Canberra początkowo odrzucała imigrację azjatycką, lecz obecnie porzuciła oficjalnie swą egoistyczną politykę „kraju ludzi białych". 25 proc. nowych imigrantów przybywa z Azji, w tym rocznie około 4 tys. uchodźców z Indochin. Nie wszyscy jednak Australijczycy akceptują tę politykę, jak świadczy chociażby poniższy urywek z listu pewnej czytelniczki do sydnejskiego dziennika TELEGRAPH: „Ta polityka jest głupia, przypomina mi politykę, wskutek której na początku bieżącego stulecia sprowadzono do Australii parkę królików".

(L'EXPRESS)

W kręgu fantastyki

TOMASZ PAWŁOWSKI

Noc

— Przyszedłeś jednak.

— Przyszedłem.

— Świetnie. W takim razie opowiadaj.

— O czym?

— Nie wiem: co dzisiaj robiłeś, co się wydarzyło...

— Nic. Zrobisz mi kawy?

— Może powinieneś odpocząć?

— Właśnie odpoczywam.

— Nie to miałam na myśli. Może po prostu przydałby ci się dłuższy odpoczynek. Nie wyglądasz najlepiej.

— Możliwe. Ale co ja bym tu robił? Nie, nie. To byłoby straszne.

— A mnie się dzisiaj zupełnie nie chciało nic robić. Myślałam, że nie wysiedzę do końca. Ile ci osłodzić? Ciągle zapominam.

— Dwie. Dawniej wystarczyła mi jedna. Teraz...

— Tylko nie mów, że się starzejesz.

— Przy tobie czuję się młodszy.

— Jesteś młody.

— Nie żartuj. Mógłbym być prawie twoim ojcem.

— I całe szczęście, że nim nie jesteś. To by dopiero było. Zresztą nie chodzi o lata. Dla mnie to nieważne. Najważniejsze, czy się młodo czuje. A ty, jak widzę, tryskasz wprost energią.

— Trzeba pracować.

— Jeżeli ma to jakiś sens. Ale, powiedz, komu potrzebne są te moje doświadczenia? Mnie? Tobie? Dowództwu? Przecież oni się tym w gruncie rzeczy zupełnie nie interesują.

— Trzeba pracować, żeby jakoś to przetrzymać, żeby zbyt dużo nie myśleć.

— Ale ciebie przynajmniej interesuje to, co robisz. Żyjesz tym. Masz satysfakcję.

— Nie zawsze.

— Nie bądź taki skromny. Masz w ręku unikalny materiał. Sam wiesz, jak wielkie może to mieć znaczenie — nie tylko tu dla nas, ale w ogóle — dla nauki.

— Jeżeli będzie jeszcze ktoś, kto to kiedyś wykorzysta.

— Na pewno.

— Też bym chciał, żeby tak było. To nie skromność... Dobrze znam wagę moich obserwacji. Moich i nie tylko moich, bo prawie wszystkich pracujących na stacji socjologów. Mówię: prawie, gdyż niektórzy zatracili już prawdziwy kontakt z nauką, z rzeczywistością i gotowi są w każdej chwili dowieść wszystkiego, czego oczekuje od nich dowództwo — nawet jeśli kłóci się to z podstawowymi prawami logiki. Ale cóż, są tylko ludźmi. Może wierzą, że tak właśnie trzeba? Że tak będzie lepiej? Jeżeli tak, to jeszcze pół biedy, chociaż wiecej z tego szkód niż korzyści. Wiem też jednak, że moje badania najbardziej potrzebne są nam, tu i teraz.

— No widzisz...

— Ale nie wszystkim podoba się takie podejście. Woleliby, żebym nic nie widział, nic nie mówił...

— Przecież mówisz im prawdę.

— Umówmy się: część prawdy. Tyle tylko mogę. Na niektóre tematy muszę milczeć.

— Musisz?

— Tak, bo całej prawdy nie zniosłoby ani dowództwo, ani prawdopodobnie większość załogi. I jedni, i drudzy wolą być trochę oszukiwani — z różnych zresztą powodów. A czy ktoś to jeszcze w przyszłości kiedyś wykorzysta — o tym wcale nawet nie myślę.

— Pocałuj mnie.

— Wiesz Ann, dobrze mi z tobą.

— O tak, mocno, mocno...

— A tobie?

— Poczekaj, ja sama...

— Powiedz.

— Mógłbyś przez chwilę nic nie mówić?

— Przepraszam. Chciałem tylko wiedzieć...

— Nie czujesz tego?

— Ależ czuję, czuję...

— Coś cię dręczy, tak?

— Nie...

— Przecież widzę.

— Zrozum mnie...

— Boisz się? Daj spokój!

— No co ty...

— Może lepiej, jeżeli nie będziemy się tak więcej spotykać?

— Jeżeli nawet, to nie o siebie się boję.

— Wiem, wiem. Zaraz powiesz, że nasza znajomość nie jest na stacji dobrze widziana, że może nam zaszkodzić, że nikomu ani słowa, bo jak się dowiedzą... A mnie to wszystko mało obchodzi. Niech sobie mówią, co chcą. Nie wstydzę się tego. Nawet jutro mogę im wszystkim powiedzieć prosto w twarz, że..., że cię kocham.

— ...

— Tak, kocham cię. Kocham! No, dlaczego teraz nic nie mówisz? Przecież właśnie to chciałeś usłyszeć, prawda? Zatkało cię? Nie spodziewałeś się jednak, że ja pierwsza... Myślałeś, że taka smarkula... A dlaczego nie miałabym móc cię kochać? Wiem doskonale, co to jest miłość, choć nikt mnie tego nie uczył. I mam odwagę o niej głośno mówić. Głośno i otwarcie.

— To dobrze poniekąd, ale, widzisz, z tą miłością to nie jest taka prosta sprawa...

— Tom, a może ty wcale nie chcesz...? Może potrzebna ci była tylko dziewczyna do łóżka, a że wybór jest tu raczej ograniczony...? No, śmiało! Nie obawiaj się. Ty, który tak cenisz sobie prawdę... Co robisz, wariacie?! Przecież mnie... Kochany mój... No widzisz... Tak? Powiedz — tak?

— Tak.

— I będziemy już razem?

— Jesteśmy przecież.

— Ale tak naprawdę?

— Nie gniewaj się — myślę, że na razie...

— Czy ty wszystko musisz zepsuć?! Mogłeś tego przynajmniej nie mówić.

— Chcę być z tobą absolutnie szczery.

— Jak długo trwać będzie to twoje „na razie"? Jak długo jeszcze mamy udawać, że nic nas nie łączy? Nie chcę tak! To jest poniżające. Zresztą prędzej, czy później i tak się dowiedzą. Już zaczynają mi robić różne aluzje. Chyba ktoś cię widział jak wracałeś rano do siebie z mojego poziomu.

— Może chciałem się przejść? Może nie mogłem spać i wybrałem się na mały spacer? To jeszcze o niczym nie świadczy.

— Ale im to wystarcza, by domyślić się całej reszty. Żebyś wiedział, jak ich to podnieca. Ohyda. Gdyby mogli, stanęliby wokół łóżka i patrzyli, jak to robimy, żeby potem...

— Nie denerwuj się. Nie warto. To taka gra, zabawa. Skrzyżowanie chowanego z ruletką. Wszyscy znają dokładnie regulamin i wszyscy nie przestrzegają pewnych jego punktów. Nawet ci z dowództwa. Oczywiście w głębokiej tajemnicy przed innymi. Wygrywa ten, kto zdemaskuje jak najwięcej grających, samemu nie dając się zdemaskować.

— To straszne.

— Tak, to jest straszne, ale tak to właśnie wygląda. I nasze najgłębsze oburzenie niczego nie zmieni. Jak sobie to wyobrażasz? Przecież nie możemy tak nagle oświadczyć, że ta zabawa już się nam znudziła, albo że nie zgadzamy się z takimi regułami gry i... No właśnie — i co? Stąd nie ma nawet dokąd uciec. Dlatego mimo wszystko powinniśmy być ostrożni i na razie starać się nie dawać powodu do plotek.

— Ale ja tak dłużej nie chcę. Nie chcę, rozumiesz?!

— Ann, dla mnie też jest to przykre i bolesne. Myślisz, że ja tego nie czuję? Ale tak mamy przynajmniej jakąś szansę. Regulamin mówi jednoznacznie...

— Nikt mnie nie pytał, czy zgadzam się z takim regulaminem. Nie dano mi żadnej możliwości wyboru.

— Mnie też nie. Prawdę mówiąc, nie wiem nawet, kto i kiedy go opracował.

— Jak to — nie wiesz? Przecież...

— Oczywiście. Punkt czwarty: regulamin opracowano na Ziemi przed startem w oparciu o wyniki wszechstronnych badań naukowych, uwzględniając szeroko wszystkie warunki, w jakich znaleźć może się załoga w czasie całej wyprawy. Tak to mniej więcej chyba brzmi, co?

— A tak nie jest?

— Jest. Tylko że przed startem nikt z załogi tekstu regulaminu nie widział na oczy. Przedstawiono nam jedynie jego omówienie, za to z bogatymi komentarzami. Wyglądało to tak naturalnie, że zupełnie nie zwróciłem na to uwagi, choć z racji zawodu i powierzonych mi obowiązków służbowych powinienem był to zrobić. Błąd! Może gdybym nie miał wtedy innych problemów, gdyby nie ważyły się moje losy...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nie mam absolutnej pewności, czy regulamin przygotowany w bazie jest dokładnie tym samym regulaminem, który nas teraz obowiązuje.

— Więc myślisz, że...

— Myślę, że ktoś już po starcie wprowadził do regulaminu pewne istotne poprawki. Zwłaszcza, że nie wszystko na stacji przebiegało, delikatnie mówiąc, zgodnie z programem.

— Słyszałam coś o tym, myślałam jednak, że nie ma to żadnego związku z regulaminem.

— A jednak.

— Tom, co tu się właściwie dzieje?

— Sam chciałbym to wiedzieć. Ja mogę obserwować tylko skutki. I staram się to robić w miarę możliwości rzetelnie.

— Dlaczego dowództwo ukrywa, że dokonano zmian w regulaminie?

— Dowodów na to nie ma.

— A co ty o tym sądzisz?

— Że nie jest z nami najlepiej.

— No dobrze, ja rozumiem, że musiano dokonać pewnych, nazwijmy to, korekt w programie wyprawy, że wystąpiły nieprzewidziane okoliczności, że z powodu jakiejś tam awarii zboczyliśmy kiedyś z kursu i dlatego trwa to tak długo. Ja to wszystko doskonale rozumiem. Mówi się trudno. W końcu należało się liczyć, że trudności będą. Nie lecimy przecież na wycieczkę. Ale dlaczego nas okłamują? Czy nie lepiej otwarcie przyznać, co się naprawdę stało? Atmosfera na stacji na pewno byłaby lepsza, a tak... Domysły, spekulacje, podejrzenia, frustracje... kiedyś chyba tego nie było. Może dlatego, że wszyscy byli młodsi?

— Na pewno. Wszyscy wierzyliśmy...

— Pamiętam, byłam jeszcze bardzo młoda, kiedy pierwszy raz zapytałam ojca: tatusiu, a po co my tam w ogóle lecimy?

— I co ci odpowiedział?

— Że nasza wyprawa, największa i najważniejsza w całych dziejach ziemskiej cywilizacji, pozwoli nam zostać kiedyś prawdziwymi ludźmi.

— Bo tak się kiedyś o tym mówiło.

— Nie bardzo rozumiałam, choć i dzisiaj... Ale dlaczego właśnie my? — naciskałam ojca. Bo ktoś musiał to zrobić. Ale przecież tobie i mamusi nikt nie kazał? Nie, córeczko, uważaliśmy to za nasz największy obowiązek. Byliśmy z mamą dumni, gdy zakwalifikowano nas do załogi. Ty też powinnaś być dumna. No i byłam, tylko że ostatnio jakby mi trochę przeszło.

— Tak, to było naprawdę wielkie wyróżnienie. Miliony ludzi ubiegały się o te kilkaset miejsc na stacji, chociaż nie było dokładnie wiadomo, jak długo potrwa wyprawa i czy wszyscy wrócimy na Ziemię.

— Bo mogli tak, jak ojciec i matka...?

— Przepraszam. Nie chciałem ci sprawić przykrości. To byli naprawdę wspaniali ludzie. Szkoda... Chodziło mi tylko o to, że przy sprzyjających warunkach część załogi miała zostać i osiedlić się tam na stałe. To przecież wiesz?

— Wiem. Dobrze ich znałeś przed startem?

— Nie, poznaliśmy się właściwie dopiero tutaj, na stacji. Nie należałem nigdy do grona ich najbliższych znajomych. Od początku mieli własne towarzystwo. Ja trzymałem się raczej z boku. Wiesz jak to jest z samotnymi na stacji. Ale — byli lubiani, cenieni...

— Może nie powinnam tego mówić, bo to w końcu rodzice, wydaje mi się jednak, że oni byli... No, tacy trochę naiwni idealiści.

— Po prostu wierzyli w pełne powodzenie wyprawy. Wszyscy na początku jakoś tam wierzyliśmy.

— A potem? Bardzo ich kochałam. Ciągle jeszcze nie mogę uwierzyć, że ich już nie ma i nie będzie, choć to tyle lat... Wydaje mi się czasem, że za chwilę otworzą się drzwi i wejdą, uśmiechnięci, szczęśliwi... Powiedz, dlaczego właśnie ich musiało to spotkać? Dlaczego byli tak nieostrożni? Przecież wiedzieli...

— Ann, uspokój się. No, już dobrze. To był nieszczęśliwy wypadek.

— Nieprawda! To musiało być inaczej. Na krótko przed... Bardzo się zmienili. Byłam młoda, głupiutka, ale to zauważyłam od razu. Choćby jak wtedy ze mną rozmawiali. Zupełnie inaczej. Musieli się czegoś dowiedzieć, co...

— Ann, prawdopodobnie nigdy już nie dowiemy się, jak to było naprawdę. Przyjmijmy więc lepiej, że był to tylko nieszczęśliwy wypadek.

— Mogli jeszcze żyć. Tak chcieli zobaczyć...

— Proszę...

— Przytul mnie. Już nie będę. Jak to dobrze, że jesteś. Nie zniosłabym chyba teraz samotności. Owszem, mam znajomych, kolegów, koleżanki, ale... widzisz, ja nie mam tej wiary, którą mieli oni. Nie potrafię... Chciałabym, bo tak jest pewno łatwiej, a nie potrafię. Jestem za słaba.

— Każdy ma swoje... Myślisz, że mnie jest lekko?

— Tom?

— Tak?

— Jak..., jak tam jest?

— Przecież wiesz. Widziałaś filmy, opowiadali ci...

— Tak, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

— To nie jest takie proste. Nie wiem, czy jeszcze potrafię. To już tyle czasu...

— Spróbuj.

— No więc... niebo jest błękitne, świeci słońce, śpiewają ptaki, kwitną kwiaty... Idziesz sobie drogą przez las...

— I co?

— Nic. Po prostu — idziesz.

— Dokąd?

— Nie wiem. Przed siebie. Daleko. Nie myślisz o tym. Idziesz boso po rozgrzanym piasku, czujesz zapach żywicy, słyszysz brzęczenie pszczół. Oddychasz głęboko...

— Bez maski tlenowej?

— ...

— Nie patrz tak na mnie. Zawsze mi mówiono, że atmosfera została już tak zanieczyszczona...

— Ale tylko w dużych aglomeracjach. W lesie, w dużym, prawdziwym lesie powietrze było czyste jak kryształ.

— I ty tam byłeś?

— Bardzo lubiłem spacery po lesie.

— Miałeś stałą przepustkę?

— Od samego urodzenia.

— I nie bałeś się?

— Czego?

— No, mogli cię tam przecież napaść, zabić...

— A jak byłem zmęczony, lubiłem położyć się na mchu i patrzeć w niebo. Albo zamykałem oczy i...

— Byłeś tam szczęśliwy?

— Byłem i nie byłem. To trudno tak powiedzieć. Nie zastanawiałem się wtedy... Ann, chciałbym móc cię kiedyś zabrać do lasu, pokazać ci to wszystko, nauczyć cię kochać drzewa, ptaki, kwiaty...

— Tom, mogę zapytać? Dlaczego zdecydowałeś się lecieć?

— Coś mnie ciągnęło. Wydawało mi się chyba, że biorąc udział w wyprawie, dokonam Bóg wie czego, przewrócę naukę do góry nogami. Byłem młody... Dziś nie ma to już znaczenia. Widocznie tak właśnie musiało być.

— Kochałeś ją?

— Nie możesz zrozumieć, jak mogłem ją tam zostawić?

— Była twoją żoną.

— Masz rację — była.

— Nie to miałam na myśli. Przecież po powrocie...

— Nie będzie powrotu!

— Co ci się stało? Tom, najdroższy...

— Nie będzie żadnego powrotu! Nikt z nas nigdy już nie wróci na Ziemię! Nigdy! Nigdy!

— Tom...

— Jeżeli myślisz, że zwariowałem... Dla nas Ziemia już nie istnieje, rozumiesz?!

— Ale przecież program przewiduje...

— Wszyscy żyjemy tu od dawna złudzeniami. Oszukujemy się sami i pozwalamy oszukiwać innym. Ta wyprawa to jedno wielkie oszustwo! A program... Ann, to był naprawdę wspaniały, cudowny program. Dawał nadzieję... Ale nie dało się go zrealizować. Miejsce człowieka jest jednak na Ziemi.

— A zatruta atmosfera, głód, wyzysk, wojny? Czy o tym już zapomniałeś?

— Ann, my wcale nie jesteśmy lepsi. Przecież myśmy to wszystko zabrali ze sobą. To tkwi w nas, w środku, w naszej naturze. I nie uda nam się przed tym uciec, nawet gdybyśmy podróżowali dokładnie z prędkością światła. Czy myślisz, że na przykład tu, na stacji ludzie czują się bardziej szczęśliwi niż tam? Rozejrzyj się dobrze. Posłuchaj, co mówią. Ile było w nich na początku entuzjazmu. A teraz? Wielu tęskni w głębi duszy. Nawet ty nie akceptujesz wszystkiego, co się tutaj dzieje.

— Bo jestem wściekła. Żeby jakiś tam regulamin zabraniał mi kochać. Tom, ja tego naprawdę nie rozumiem. Może jestem za głupia? Nienormalna? Sama już nie wiem, co o tym myśleć.

— Nie jesteś wcale bardziej nienormalna od wszystkich pozostałych członków załogi.

— Ale czasem boję się samej siebie, swoich myśli...

— Muszę ci powiedzieć, że nie tylko ty. I może tak jest lepiej? Chociaż z drugiej strony...

— Może? Może kiedy dolecimy...

— Obawiam się, że...

— Zostaniesz tam ze mną, prawda?

— Tu z tobą zostanę.

— Na stacji?

— Tak. To coś więcej.

— A potem?

— Nikt nie wie, co będzie potem.

— Ale gdyby warunki pozwalały...

— Jeżeli kiedykolwiek dolecimy.

— Dowództwo twierdzi, że jesteśmy już blisko. Najgorsze za nami.

— A co mają mówić?

— Więc to nieprawda?

— Mogę tylko powiedzieć, że zdania są podzielone.

— Ale oficjalnie...

— Oficjalnie — tak.

— Słyszałam, że część załogi chce wracać. Podobno przedstawili na piśmie swoje warunki.

— Podobno. Nie znam szczegółów.

— Myślałam, że ty też... Przecież sam powiedziałeś przed chwilą, że miejsce człowieka jest na Ziemi.

— Bo to prawda. Nikt jednak dobrowolnie nie zawróci stacji. Być może w ogóle dowództwo straciło już panowanie nad sytuacją. Zresztą nie jestem pewien, czy jest to teraz technicznie wykonalne.

— Dlaczego?

— Jesteśmy już za daleko.

— Myślisz, że różnica czasu byłaby tak wielka.

— Kilka lat.

— Twoja żona byłaby teraz od ciebie starsza?

— To nie ma znaczenia. Ona żyje w innym czasie i ja w innym. I tak już zostanie. Zresztą nawet kiedy byliśmy ze sobą, nie byliśmy tak naprawdę razem. Już w dniu ślubu zaczęliśmy się od siebie oddalać.

— I dlatego poleciałeś?

— Też.

— A teraz żałujesz?

— To nie tak. Coś się w nas wypaliło, zgasło. Męczyłem się. Czułem, że tonę, że jeszcze trochę i poddam się... Nie chciałem stracić szacunku dla samego siebie, nie chciałem dopuścić, bym ją znienawidził, więc kiedy dowiedziałem się o wyprawie... To był przypadek. Czasu na podjęcie decyzji — mało, prawie wcale. Wiedziałem, że tracę dom, rodzinę, że może nie wrócę już na Ziemię. Bałem się tego. Co mogłem zyskać? Pomyślałem, że taka wyprawa to albo nowe życie, albo... To ślepy los. Dla mnie — gra o wszystko. Ruletka. Najczystszy hazard. Teraz albo nigdy. Żadnej pewności. Nie chciałbym już w życiu takich wyborów.

— Ale w końcu wybrałeś...

— Musiałem coś wybrać. To była jednak jakaś szansa. Nie chciałem jej przegapić. Wierzyłem, że się uda. No, a potem poznałem ciebie... I wiesz, jeżeli teraz czegokolwiek żałuję, to może tylko tego, że nie mogliśmy spotkać się na Ziemi.

— Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie.

— Tak. Ty nie masz tych obciążeń...

— Mam swoje.

— Każdemu wydaje się, że jego problemy są najważniejsze, najtrudniejsze. I tak chyba jest.

— Tobie też?

— Poniekąd.

— Pokąd?

— Potąd.

— No widzisz, od razu jesteś inny, kiedy się śmiejesz.

— To dzięki tobie mogę się jeszcze śmiać.

— Ale i tak cię kocham.

— I to powinno być dla nas najważniejsze. Bo tak długo jesteśmy ludźmi, dopóki stać nas jeszcze na miłość.

— Amen. Chcesz kawy?

— Chętnie.

— A może chciałbyś...

— Koniak? Jak Boga kocham, prawdziwy koniak. Skąd to masz?

— Jakoś trzeba sobie radzić, nie?

— Jesteś wspaniała. Chemicy?

— Mhm. Niedawno znalazłam dojście. Oni tam robią różne dziwne rzeczy. Pod taką kontrolą...

— Dzielne chłopaki.

— Tylko nikomu ani mru-mru. Smakuje ci?

— Doskonały.

— Czy taki, jak na Ziemi?

— Teraz tu jest nasza Ziemia.

— No widzisz...

— A słyszałaś, że na szóstym poziomie...?

— Poważnie?

— Tak...

— ...

— ...

1 Przejście podziemne

(3)

Galeria

Idę pod „Pewex", kupować bony. W objęcia cinkciarzy pcha mnie — jak zwykle zresztą — jakiś bliżej nieokreślony urząd państwowy, może nawet sam minister. Jakby w spółce byli, albo co... A porobiło się tak: zachodzę do kumpla, który handelek artykułami kolonialnymi trzyma w takiej niedużej pakamerze w sąsiednim przejściu podziemnym — jakieś herbatki, pieprze, wiejski chlebuś, enerdowskie salami, gumy do żucia, tuńczyk w oleju, ananas w całości, kapary, tatar i czekolada. Oprócz tego tytoń do fajki miał — z prywatnego importu oczywiście, bo przecież krajowy nadal podobny jest do podsuszonego końskiego gówna.

Więc zachodzę, a tu koleś melduje, że będę musiał zrezygnować z kapitalistycznego luksusu za złotówki — jakiś geniusz od reglamentacji, łachmyta kartkowy wymyślił, że papierosy i tytoń to wyroby przemysłowe jak najbardziej i żadną miarą w sklepiku kolonialnym obracać nimi nie wolno, skoro taki kolonialista prywatny ma koncesję tylko na rzeczy jadalne.

Racja w tym jest głęboka, słuszność urzędnicza przeogromna — ale przecież puszka konserw to też wyrób poniekąd przemysłowy, nawet bardzo fabryczny (chociaż u nas i tak pewnie próbują klepać ręcznie) — a puszki mu trzymać wolno, nawet teksaskie krewetki i zupę żółwiową z Helgolandu.

Tak więc skończył się dla mnie tytoń za złotówki. Idę pod „Pewex" i błogosławię urzędników biorących wysokie premie za inicjatywę i nieustępliwość w walce z kapitalizmem. Szkoda, że nikt nie premiuje ich za wyobraźnię...

Ale czy widział kto kiedy urzędnika administracji państwowej, zwłaszcza handlowej czy fiskalnej, z wyobraźnią? Niemożliwe — nawet jak się taki przypadkowo zaplącze, natychmiast odsyłają do zakaźnego, żeby zdrowego trzonu kadry nie mógł indoktrynować miazmatami samodzielnego myślenia.

Na dawnym miejscu stoimy z Mareczkiem nad naszymi walizami z towarem — tombaki błyszczą, literatura bezgłośnie acz sugestywnie krzyczy tytułami w podziemną przestrzeń, a za szybami naszej byłej galerii rząd nepmańskich dziwek wyszczerza się do zgłupiałej do cna publiczności. Złachmaniony Grunt siedzi u Mrówki i czeka trzynastej z drżącymi rączkami — nawet ołówka utrzymać nie może.

Duże zmiany u nas, w podziemnym przejściu, od ubiegłego tygodnia...

Z urządzaniem hajteku w odkrytej galerii dorobku i osiągnięć uporaliśmy się w jeden dzień. Pojemniki po piwie i pepsi pożyczył Mrówka pod zastaw, kawał rusztowania zwinęliśmy na sąsiedniej rewaloryzacji, o której dawno zapomnieli, rulon cynfolii Beatka przykombinowała w mleczarni, latarenki wypożyczyliśmy z pissoiru Metowej, a pan Konradek przydźwigał ze sto worków po mące „California standard", które mu zostały z czasów piastowania godności męża zaufania podziemia i głównego rozdawcy (obalony w wyniku pałacowej rewolucji, dostał po gębie od swych komandosów, a teraz upłynnia nadwyżki „Polenhilfe"...). Workami wytapetowaliśmy ściany.

Towar wstawiliśmy wieczorem, a od rana kombinowaliśmy, jak bezkolizyjnie usunąć marmurową ścianę maskującą. Ale się okazało — gdy podeszliśmy do sprawy praktycznie — że błyszcząca na zewnątrz Biała Marianna od środka jest płytą styropianową, a cały marmurkowy pic to maskująca fototapeta. No i niech kto powie, że za czasów drugiej Polski nie umieli porządniej niż kiedykolwiek robić dobrego wrażenia.. Jakby tak dziś opukać nasze przejście to na pewno co trzecia płyta okaże się styropianowym wtórnikiem — oryginały tkwią w ścianach innych budowli w trzeciej Polsce...

W każdym razie ściankę rozwaliliśmy paroma ciosami siekiery tuż nad ranem, zanim pierwsi przechodnie zdążyli się pojawić. Napisy na szybach Grunt porobił wcześniej.

Pierwsza za szybą przystanęła zdumiona gęba Banana — plutonowy pokręcił się, jakby chciał złapać za własny ogon i prysnął na górę po instrukcje. Zaraz za nim przylazł delegat władz finansowo-handlowych naszego miasta. Obejrzał towar i wystrój, papiery kazał sobie pokazać — Grunt miał wszystko legalnie ostemplowane, występował jako prezes kooperatywy malarsko-szmukiersko-serowarsko-kolonialno-literacko-zoologicznej. Kwity zapłacone, behape i pepoż zafiksowane. Nawet Beatka miała papierek na nasicielstwo i wasermana; pan Konradek zaś dał się zbadać na mączniaka i wołka zbożowego, choć u reżimowego lekarza. Handel szedł.

Ale gdy rano, prosto z inauguracyjnego bankietu u Mrówki, chcieliśmy wejść do galerii, drzwi zastaliśmy zaszlajfowane papierkiem z pieczęciami. Obok stał delegat władz finansowo-handlowych w towarzystwie innego gościa. uśmiechniętego gumożujca w panamie na łbie, garniturku w pomidorową kratę, z walizeczką, ozdobioną monogramem „IF", w łapie.

Gość wyjął z walizeczki flaszkę Białego Konia i fikuśne kieliszeczki, polał — i wszystko jasne! Firma zagraniczno-polonijna... Przełknęliśmy ten lakier na pluskwach, a delegat powiada, że w zezwoleniu nie było kwiatków tej cholernej Malowanki. No i dupa blada — w galerii będzie saloon wystawowy kapitału zagranicznego. Towar oddali, za wystrój zapłacili, wstawili panienki — odrzuty z Miss Polonia i handlują fragransami, topmartami i savitorami, dziańdzia ich glań nepmańska...

I. ROTACYJNY

2 Felieton pesymistyczny

Prima aprilis...

Zapobiegliwi załatwili sprawę wcześniej, ale generalnie naród ruszył do boju od połowy marca — zaczęła się batalia o paliwo. Wiadomo — jeszcze jedne kartki, jak po wołowinę z kością. Inaczej mówiąc — koniec balu, panno Lalu...

Zaraz też okazało się jacy to my jesteśmy oszczędni. Wszyscy, jak jeden mąż, mieli jeszcze pełno wolnych numerków na dotychczas obowiązujących, zielonych „załącznikach". — Zapewne nie jeździli biedni, zimą, odkładali na ciężkie czasy... — załamują, często publicznie, ręce specjaliści z GIGE.

— Jeździli normalnie, przynajmniej większość i nie mieli przeważnie kłopotów na żadnej stacji w kraju z nabyciem paliwa — odpowiada tzw. życie.

Rzeczywiście — „żółta" była. Droższa, bo droższa, nieraz i po 20 złotych na jednym litrze, ale była. Zgromadziwszy uprzednio zapas gotówki można było spokojnie jechać na wczasy, nie martwiąc się zbytnio, że trzeba będzie pchać wóz z braku paliwa. Mnożyły się co prawda naloty, specjalne kontrole, bezpardonowo wyrzucano ajentów z pracy. No i trudno. Ryzyko zawsze jest. Ale kto nie ryzykuje — wiadomo... I w sumie bez większych przeszkód odbywało się ogólnokrajowe „Tankowanie nocą, krótko przed północą...". Właściwie wszyscy byli zadowoleni. No, poza GIGE, ale tym naprawdę trudno dogodzić!

Zaraz po pierwszych zapowiedziach o wprowadzeniu kartek na etylinę — powiało grozą. Ale z czasem...

— Ja tam nie ukrywam — pozycje w kolejce zajmujemy w granicach 58—60 miejsca, toteż pan z bródką nastawia się na dłuższy monolog — skombinowałem beczuszkę, taką ponad 200 litrów, zakopałem na działce i już mi niewiele do pełności brakuje...

— No i na cholerę tyle roboty — przerwał młody człowiek w czapce „Adidasa", który przed chwilą opuścił zaciszne wnętrze malucha — co pan przez to zyskasz? Na długo to wystarczy? Ja sporo jeżdżę i mnie może na dwa, trzy miesiące. A później?...

— Później to już panowie na stacjach coś wymyślą... — niespodziewanie wypaliła jedyna w naszym gronie przedstawicielka piękniejszej połowy ludzkości, powożąca beżową syreną.

— Ja w nich wierze. Zarobki mieli teraz duże, ale im nie zazdroszczę, bo w końcu i mnie jakaś grzeczność robili. Teraz się ucieło. Ja tam mam swój babski rozum: muszą coś wymyślić, bo za tych kilkanaście tysięcy w ciągłym smrodzie smarów i benzyny to chyba żaden by nie wytrzymał długo...

Jakoś się lżej na duszy zrobiło. Jeśli już zmotoryzowane kobitki nie załamały się, to może nie będzie tak źle? Z przyjemnością przepchnęliśmy jej pojazd o kilkanaście metrów do przodu oraz po kolei solidarnie, nasze. Na podstawie dotychczasowego tempa zapowiadało się jeszcze minimum na godzinę. Wrócił właśnie starszy pan w ortalionowej kurtce, właściciel dużego fiata, przekazując zapewnienia stacyjników, że niedawno była dostawa i dla nas na pewno wystarczy. Odsapnęliśmy. Zrobiło się prawie rodzinnie. Pani z syreny częstowała herbatą z termosu, „bródka" wyciągnął paczkę „Carmenów". Zakurzyliśmy.

— A swoją drogą to granda — „Adidas" był bojowo nastawiony. — Czterdzieści lat po wojnie i żebym jak kretyn wystawał godzinami w kolejce po benzynę. A te zapowiadane przydziały — beznadzieja! Po litrze, po dwa — a ucinają; przecież to już żal z garażu wyjeżdżać. Cały rok będzie człowiek ciułał, by na wakacje za miasto wyskoczyć. Kiepski bilans? Mało ropy? To nie produkować samochodów, pozamykać fabryki!...

— Zamykać jak zamykać — włączył się facet z bródką, ale i tak nasi potentaci, FSM i FSO — mają przed sobą „świetlaną" przyszłość. Włosi nie pozwolili tej większej hulajnogi firmować swoim znakiem i słusznie, bo to przecież model sprzed dwudziestu lat, a i — za przeproszeniem — pański maluch to też historia dwunastu czy trzynastu lat. I ja się pytam: Gdzie były te nasze światłe umysły jak cały świat przestawiał się na ropniaki, na diesle. Wszystkie renomowane firmy oferują po kilka modeli silników wysokoprężnych, a u nas wypuszcza się na rynek taką kolubrynę jak polonez. Ciężkie, niezgrabne auto, spalające grubo ponad 10 litrów na „setkę".

— Najszybciej przestawili się chyba Japończycy — pani z syreny znów zaskoczyła wszystkich fachową wiedzą. — Mąż mojej koleżanki z pracy przyprowadził w ubiegłym roku z Niemiec takiego „japończyka", nazywa się datsunnissan „Cherry". Kochani — to jest duży, wygodny wóz, pomijam już komfort jazdy czy wykończenie, ale on ma silnik diesla bodaj o pojemności 1500 ccm i spala, no zgadnijcie — 5 litrów przy jeździe z szybkością 90 kilometrów na godzinę, a w mieście raptem półtora litra więcej. A ci w FSO medytują, jakby tu „urwać" z litr z zużycia paliwa poloneza, czyli zejść na dwanaście...

No, widać już było z daleka wiatę nad dystrybutorami. Obok, klekocząc, przetoczył się volkswagen golf.

Mała literka „D" obok symbolu „GL" świadczyła, że właściciel auta śpi spokojnie, nie zdziera nerwów w kolejkach pod dystrybutorem, nie martwi się o kanistry, beczki, zapasów nie robi. Po prostu normalnie żyje, paliwo ma tańsze i zawsze może wziąć full...

— Ropniaki zawsze będą u nas górą — dla odmiany pan z dużego fiata gościnnym gestem wyciągnął „Extra Mocne".

— Większość transportu chodzi na ropę, te wszystkie kopary i spychacze, to i paliwo taniej zawsze dostanie. A ceny za mocno podnieść nie mogą, bo rolnictwo legnie, albo swoje ceny zacznie windować. No właśnie, a te żuki, nysy i inne co to jeszcze na benzynę latają — to już się z nimi nie załatwi. Zawodowy kierowca zawsze tam jakąś „górkę" wygospodaruje, wiem, bo sam wiele lat za państwowym kółkiem siedziałem, ale każdy ma rodzinę, przyjaciół, co o każdy litr błagają. Dla innych już nie wystarczy...

— Ja już nie wytrzymuję nerwowo — młodzieniec z malucha faktycznie dziwnie był roztrzęsiony. — Te kłopoty z paliwem, jakichś najprostszych części zamiennych nie mogę dostać, miesiąc temu ukradli mi koło zapasowe i akumulator. Czy ja matkę, ojca zabiłem?! Sprzedam to gówno, już nie mogę, w niedzielę jadę na giełdę! W cholerę, przesiadam się na autobus...

— Rozwiązanie takie sobie — zaczęła znów jedynaczka i wszyscy nadstawiliśmy ucha. — Bodaj w „Veto" wyczytałam, że właściwe czynniki zastanawiają się poważnie, czy nie wprowadzić reglamentacji biletów komunikacji miejskiej. Nie pamiętam dokładnie, ale proponują chyba 58 przejazdów w miesiącu jako limit, a kara za jazdę bez biletu — 5 tysięcy złotych. Ma to nam poprawić ten, no, bilans paliwowy...

— To już koniec... — zawyrokował „Adidas" i nie odezwał się już do końca. To znaczy do chwili, gdy facet w niebieskich „ogrodniczkach", o niesamowicie zmęczonej twarzy poprosił o załącznik PZU. Miał tam jeszcze jakieś wolne miejsce, bo palnął stempelkiem i przepisowe dziesięć litrów życiodajnego płynu spłynęło do zbiornika. Gdy kierowca — dyskretnie, jak mu się wydawało — wyciągnął zza siedzenia kanister, ajent tylko pokiwał głową z politowaniem. I bez słowa przeszedł do następnego samochodu.

Rozchodziliśmy się powoli do swoich pojazdów. Niektórzy mocowali się z korkami wlewu, szykowali dokumenty, odliczali pieniądze. Pan w ortalionie rzekł na zakończenie:

— Jutro prima aprilis, ale pewny jestem, że cena paliwa w górę skoczy całkiem realnie. Te pięćdziesiąt złotych za „żółtą" to myślę, minimum. A najważniejsze — przetrzymać te pierwsze tygodnie, potem chyba nie będzie źle. Podobno pokazały się już te nowe karty paliwowe w wolnej sprzedaży...

Pani z beżowej syreny spojrzała na nas przeciągle. I po raz ostatni kompletnie nas zaskoczyła:

— Wczoraj byłam w Poznaniu i u znajomego, od jego kolegi z pracy, kupiłam drugi bon paliwowy, oryginalny, nowy, żadna podróbka. Miał dziesięć sztuk, po „dychu" za jeden. Zła jestem na siebie, bo okazuje się, że przepłaciłam: sąsiad z bloku kupił w Warszawie, na bazarze, za pięć tysięcy...

— Ej, to nie zginiemy! — „bródka" siedząc już za kierownicą łady zatarł ręce z ukontentowaniem. — Mięsko na kartki? Dostaniesz pan na lewo cielęciny i schabu ile chcesz. Masełko na kartki? Nie wiem skąd i jakim cudem, ale moja żona bez kartek te dwie, trzy kostki kupuje. To i z paliwem nie może być tak beznadziejnie...

Zakończyliśmy pogaduchy, bo zniecierpliwiony ajent kiwał już na nas. Za parę godzin północ i zacznie się kolejna odsłona paliwowego kontredansu. Nowy system ma być szczelny. Może będzie nieco szczelniejszy — tak bym to ujął. Całkowicie nie będzie nigdy. Dopóki w grę wchodzą pieniądze. Dopóki jeden chce kupić, a drugi ewentualnie może sprzedać. Na razie trwają rozmowy. Na różnych szczeblach. Ze źródeł dobrze poinformowanych dotarły już wiadomości, że wstępnie obie strony wynegocjowały cenę w granicach 120—150 złotych za litr „żółtej". Ano zobaczymy.

STEFAN ŻYCIOWY

3 Sport

Festiwal dobrych chęci

W minioną sobotę, późnym wieczorem, dałam się nabrać — po raz nie wiem już który — Polskiej Telewizji. Miał być horror. Zasiadłam wygodnie w fotelu z mocnym postanowieniem, że się tym razem dam przestraszyć. Ale dałam się tylko nabrać. Naiwną bajką o duchu chłopca nie kochanego i wyjącym duchu jego psa oraz o tatusiu, który kochał króliki i uprawiał jakąś dziwną roślinę, która miała zbawić świat. Ale, co ja będę wam opowiadała tę bzdurną bajkę, przecież jak znam życie, to wszyscy daliśmy się nabrać w tak samo naiwny sposób.

I dlatego, gdy przeczytałam w jednym ze sprawozdań z meczu drużyn olimpijskich Polska — NRD, że był to dreszczowiec, pomyślałam sobie, iż ów sprawozdawca jest widać tak samo naiwny jak ja i też daje się nabierać PTV. Nie umie odróżnić prawdziwego horroru od naiwnej bajki udającej dreszczowiec. Cóż to za dreszczowiec miał być na boisku w Szczecinie? Że Hans Richter za poszturchiwanie sędziego dostał czerwoną kartkę? Dostał słusznie.

Nie dam się nabrać naszym miłym sprawozdawcom telewizyjnym, mam oczy i sama widzę, co się dzieje na boisku. Gdy Dariusz Szpakowski próbuje usprawiedliwiać nieudolność naszych piłkarzy wmawiając mi, że boisko w Szczecinie jest mokre i przez to trudne, to mam ochotę go zapytać, czy tylko dla polskich zawodników? Niby chłopcy z NRD grają na innym boisku? Nasi telewizyjni sprawozdawcy ciągle nie mogą wyzwolić się z reguł propagandy sukcesu, która polegała na tym, że co innego mówiło się, a co innego było widać w codziennej rzeczywistości. W sprawozdaniach z meczów piłki nożnej reguły te nadal w telewizji obowiązują.

Przecież nie jest prawdą, że nasi wspaniali kandydaci do tegorocznego olimpijskich w Los Angeles siedli — jak to się mówi — po samobójczej bramce Adama Kensego. Prawdą jest natomiast, że wszystkie trzy nasze reprezentacje siadają w drugiej połowie. Nie staje kondycji, sił, szybkości. A przede wszystkim nie staje umiejętności. Może piłkarscy specjaliści zastanowili się, co jest przyczyną, że w trzech ważnych eliminacyjnych meczach polskich drużyn piłki nożnej padają samobójcze bramki? Czy przypadkiem nie daje tu znać o sobie niedostatek wyszkolenia? Zresztą ten niedostatek widać na każdym boisku. Ligowym również. Tylko sprawozdawcy telewizyjni nie potrafią tego dostrzec.

Mogłoby się wydawać, że mamy idealny układ: kadrę narodową, olimpijską i młodzieżową. Przygotowywanie jednoczesne trzech zespołów powinno w przyszłości owocować znakomitym poziomem kadry narodowej — tej która nie pozwoli się już więcej wyeliminować z mistrzostw Europy i w finałach mistrzostw świata wyjdzie poza zaklęty krąg trzeciego miejsca. Bo takie przecież mamy ambicje. I co? I nic! Wszystkie trzy zespoły reprezentują jednakowo zły poziom. Nie jest to dobrą prognozą na przyszłość.

Nie jest to dobrą prognozą dlatego, że młodzi piłkarze, którzy powinni być nadzieją drużyn olimpijskiej i narodowej, wykazują taki sam brak umiejętności i kondycji, jak ich starsi koledzy. Stąd można wysnuć prosty wniosek, że poziom szkolenia w klubach ligowych jest pod zdechłym Azorkiem. Najlepsza nasza drużyna — nazywana niekiedy eksportową — jedenastka RTS Widzew też nie błyszczy poziomem wyszkolenia, też chłopcom brakuje kondycji, szybkości, zbyt łatwo się męczą i tracą serce i ochotę do gry.

Ale największe nieszczęście polega na tym, że w trzech reprezentacjach: narodowej, olimpijskiej i młodzieżowej — brakuje drugiej linii, brakuje zawodników, którzy potrafiliby „rządzić na boisku", kierować grą. Kiedy na boisko wkrada się chaos, kiedy drużyna przestaje się rozumieć, kiedy zmęczenie daje o sobie znać, wtedy potrzebny jest ktoś, kto by tę grę uporządkował, zespół uspokoił, porozdawał tak piłki, aby coś z tego wyszło. Ale właśnie wtedy brakuje takich zawodników. I nie tylko w trzech reprezentacjach, brakuje ich również w ligowych zespołach. I stąd się bierze całe nieszczęście.

A teraz chciałabym wylać kubeł zimnej wody na rozpalone głowy entuzjastów. Wygraliśmy w Szczecinie. Że w brzydkim stylu — niech będzie, że było trochę boksowania — i to się zdarza. Ale mnie niepokoi najbardziej, że wygraliśmy zupełnie przypadkowo. Strzelano gole — wszystkie trzy zresztą strzeliła tylko nasza drużyna — raczej z przypadku niż z przemyślanych, „stuprocentowych akcji", dobrze przeprowadzonych. Było kilka takich w pierwszej połowie. Kończyły się pudłem. I to jest poważne niebezpieczeństwo. Pewnie, że wynik się liczy, ale cieszyłoby bardziej, gdyby ten wynik był nie tyle przypadkowy, ile wynikał z dobrze i mądrze przeprowadzonych akcji. Ale celnie strzelać to nasi piłkarze nie potrafią również w meczach ligowych.

Przeciwnik w Szczecinie też nie był najlepszy. Ale teraz trzeba będzie jeszcze wygrać z Duńczykami. I wcale nie jestem przekonana, czy po wygranej w Szczecinie paszporty do Los Angeles są już u naszych chłopców w kieszeni. A w Los Angeles też będą przeciwnicy. Niestety.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji) Jerzy Kwiecinski, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", ul. Miś i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarza redakcji zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. — instytucji i zakładów pracy: — instytucie i za i pozostałych miastach, w których znajdują się oddz zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucjach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. meratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddzi ratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo- prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu działu RSW „Prasa — Książka — Ruch", 2. Prenu RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportu Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr wyłki za granice poczta zwykle jest droższa od pre dywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji raty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada rok następny, — do dnia 1 każdego miesiąca po dawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa we. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu: 36763.

kiewicza 11, kod. 90-439 Łódź. Telefony: sekretariat 36-30-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych kłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich dziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" tucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowo- Książka — Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenuw miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby ałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeoddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania tu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddmeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje su Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wynumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców in- i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumena I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały przedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wy- — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasodruk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Zam. 971. E-2.

ZBIGNIEW NIENACKI

O tym, że dużo zła bierze się z braku lub nadmiaru wyobraźni

Co można powiedzieć o dziewczynie, która położywszy się do łóżka z jakimś mężczyzną, ze zdumieniem i przerażeniem stwierdza, że zaszła w ciążę? Wszak rozum i doświadczenie mówi każdej dziewczynie, jakie są skutki zbliżenia z mężczyzną. Tej dziewczynie po prostu zabrakło wyobraźni, aby przedstawić sobie, że i ją czeka coś takiego. Albo wyobraźnia okazała się zbyt słaba w stosunku do pożądania.

W poczekalni u załatwiającego alimenty prokuratora widywał Lubiński dziesiątki kobiet. Rozmawiał z nimi, wypytywał je. Historia każdej z nich była zarazem historią kobiety bez wyobraźni. Ta lub owa poszła do łóżka z żonatym mężczyzną, na moment jakby zapominając, że plemnik powoduje zapłodnienie jajeczka, a mężczyzna nie może być żonaty z dwiema kobietami naraz. Ta lub owa wyszła za mąż za młodego pijaczka i lekkoducha mimo że nie istniały żadne przesłanki wskazujące na to, aby ów osobnik po ślubie przestał pić i stał się poważny. Niejedna z nich łączyła swe życie z mężczyzną, o którym wiedziała, że już uprzednio związany był z jedną, drugą, a nawet trzecią kobietą, każdej pozostawił kilkoro dzieci, od każdej odszedł pełen tej samej beztroski. Nie było żadnych powodów, aby sądzić, że tym razem zachowa się inaczej — wszystko wskazywało, że i z tą uczyni to samo co z poprzednimi. Cóż więc, jeśli nie brak wyobraźni, prowadziło teraz tę kobietę do poczekalni prokuratora?

Gdyby wszyscy ludzie mieli wyobraźnię — głosił pisarz Lubiński — i potrafili przedstawić sobie wizję skutków własnych i cudzych czynów, życie stałoby się harmonijne, a świat pełen ładu i porządku. Wychowanie kształtujące w człowieku rozum i uczucia uważał tedy Lubiński za słuszne i pożyteczne. Nade wszystko jednak radził kształcić i rozwijać w człowieku wyobraźnię.

Lecz czy istnieje wyobraźnia poza człowiekiem i jego osobowością? Jej kształt zależy od charakteru konkretnego człowieka. Istota ludzka może mieć wyobraźnię na przykład optymistyczną lub pesymistyczną; bywają też ludzie z nadmiarem wyobraźni. Ów nadmiar wyobraźni potrafi stać się równie niebezpiecznym, jak jej zupełny brak.

Czy każde zbliżenie kobiety z mężczyzną prowadzi do ciąży? Dziewczyna z pesymistyczną wyobraźnią przewiduje jednak zawsze to najgorsze — kłopoty, osobistą tragedię. Unika więc zbliżenia, co powoduje u niej frustrację, nieustanną obawę przed mężczyzną, niekiedy sprowadza staropanieństwo, poczucie krzywdy i samotność. Nadmiar wyobraźni może spowodować u człowieka paraliż wszelkich działań. Osobnik taki będzie się bał wejść do samolotu, zasiąść za kierownicą samochodu, ożenić się z piękną panną o skłonnościach do tycia, choć zdarza się, że — na przykład po dziecku — jedna kobieta tyje, a inna chudnie. Nadmiar wyobraźni grozi atrofią chęci ryzyka, nowości i inności, a przecież wszelki postęp jest związany z ryzykiem. Bez ryzyka człowiek nie potrafi w swym życiu zmienić niczego na lepsze. Zdarza się jednak, uczy tego doświadczenie — że brak wyobraźni i skłonność do ryzyka przynosi lepsze owoce niż nadmiar wyobraźni, ogromna ostrożność i chytra kalkulacja. Nie każdy zbrodniarz zasiada przecież na ławie oskarżonych. Istnieje bowiem i takie zjawisko, jak brak wyobraźni u policjanta, i równie niebezpieczne zjawisko u policjanta — nadmiar wyobraźni.

Są też ludzie, którym wyobraźnia dyktuje wizje skutków ich poczynań wyłącznie radosne, piękne lub pożyteczne. Większość ludzi posiada wyobraźnię obróconą nie ku sobie, a ku innym. Potrafią doskonale przewidzieć nieudane małżeństwo przyjaciela, wyobraźnia podsuwa im plastyczną wizję skutków niewłaściwych kroków ludzi im przyjaznych lub obcych: ta sama wyobraźnia umiera w nich natychmiast, gdy myślą o sobie, o swoim małżeństwie, o swoich poczynaniach. Wyobraźnia pomaga ludziom mądrym, głupców zaś niszczy i jeszcze bardziej ogłupia.

Kłobuk był ptakiem zrodzonym z wyobraźni ludzkiej, jednak Justynę ogarnął ogromny niepokój, gdy odkryła pustą beczkę z pierzem oraz leżący na polepie sznurek bez złocistej kury z różowym grzebieniem. Kłobuk uwolnił swoje ptasie łapy z pętli sznurka, wzgardził jajecznicą na boczku, wygodnym gniazdem w beczce, za nic miał pieszczoty i głaskania — odszedł nagle w las lub na mokradła. Może zresztą był zwykłą kurą i przyłączył się do stada grzebiącego pazurami piasek na podwórzu. Podobnie złocistych kur z różowym grzebieniem wiele miała u siebie Justyna, nawet sama nie wiedziała, ile ich nocuje w kurniku. Ale wolała przedstawić sobie, że oto Kłobuk, poruszając się niezgrabnie, wędruje ścieżkami przez las, od czasu do czasu skraca sobie drogę przełażąc przez powalone pnie, niekiedy usiłuje podfrunąć, ma jednak zbyt małe skrzydła i zaraz opada na ściółkę leśną. Spełnić powinien ludzkie życzenie, ponieważ mokry i zziębnięty został przygarnięty przez człowieka, uścielono mu gniazdo i nakarmiono jajecznicą. Lecz pragnął swobody, chciał być wolny od ludzkich życzeń, wzgardził służbą dla człowieka.

W południe sierpniowego dnia, w słońcu i na wietrze, stała Justyna przed swoim domem i patrząc na białe grzywy spienionych fal na jeziorze płakała cicho. Jezioro wydawało się nieskończoną falą, na nim rosły i potężniały, jakby za chwilę miały zalać całą ziemię. Kępa zielonych drzew na Czaplej Wyspie raz po raz zmieniała swoje położenie, wydawało się Justynie, że wyspa tańczy ponad falami, to znów rozpływa się i niknie w ich głębiach. Było jednak południe, na porośniętym trawą półwyspie za atarą bindugą czekała na nią krowa z wymieniem bogatym w mleko. Justyna otarła łzy wierzchem dłoni, zdjęła z płotu suszącą się tam blaszaną kanę, wsiadła do zielonej łódki i wiosłując przeciw falom pośpieszyła w codzienną drogę. W wyobraźni widziała oddalającego się przez las Kłobuka, ale jednocześnie w pamięci pojawił się doktor i ożyło wspomnienie dotyku jego chłodnych palców. Kłobuk odszedł spełniwszy życzenie Justyny. Odszedł, gdyż nie czuł się już potrzebny. Odszedł, lecz przecież nie mógł chyba odwołać jej życzenia. Gdy tak wiosłowała przeciw falom, w plusku wody, która rozbijała się o dziób łodzi i drobnymi kropelkami opryskiwała przygarbione od wysiłku plecy, w wyobraźni jej, jak ścieżka Kłobuka otwierała się dróżka nadziei, że tej nocy znowu w drzwiach jej domu pojawi się czarny cień mężczyzny przynoszącego rozkoszną śmierć. Wyobrażenie w tej chwili było jak wielki bochenek chleba. Justyna przez całe popołudnie wyrywała z niego malutkie kawałeczki, kładła je do ust i żywiła się nimi, rozkoszując się przedziwnym smakiem. Doktor nie przyszedł tej nocy, ale ona wciąż rwała ten bochenek i połykała malutkie kęsy — także następnej i jeszcze jednej nocy. Bo wyobraźnią można się także żywić, jak prawdziwym jadłem — tak długo, jak długo ma się przy sobie ów bochenek.

Morderca mijał samochodem dom doktora, a potem skrawek lasu, gdzie zabił dwie dziewczyny. Specjalnie skręcił w tę boczną drogę, aby ożywić w pamięci tamte chwile i odczuć w sobie rozpływającą się po całym ciele strugę gorącej rozkoszy, pomieszanej ze strachem. Tak, bał się tędy przejeżdżać, często lękał się wspominać swoje czyny, niekiedy unikał w ogóle myśli o nich, a nawet zdawało mu się, że ktoś inny popełnił tamte zbrodnie. Ale to zapewne właśnie ów strach przyganiał go tutaj, kazał wspominać i ożywiać wyobraźnię. Bał się też, gdy zabijał, lecz właśnie poprzez ów strach doznawał większego upojenia. I to przez ów strach jego czyny nabierały jakiegoś przeogromnego sensu. Drżał na całym ciele, gdy myślał, że go ścigają po lesie, chwytają i wycinają jądra, podobnie, jak to chcieli uczynić Kruczkowi. Niemal widział ciemny otwór lufy strzelby doktora, który mierzył mu prosto w czoło i pociągał za spust. Odczuwał własne męczarnie, swój ból, zarazem jednak pragnął męczarni i bólu tych dziewczyn, które zabił. To był piękny strach i piękny ból. Czy ktoś jeszcze na świecie odczuwał coś podobnego? Czy nie był lepszym od innych, kimś wybranym, tym, który doznawał bólu i rozkoszy przez ból innych i własny lęk?

Teraz, o dziwo, nie czuł strachu. Mijał wolno dom doktora, las z polanką i dołem po sadzonkach, lecz czoło nie rosiło mu się potem. Nie bał się, bo nie mógł sobie przypomnieć tamtych chwil. Wysilał wyobraźnię, ale ona stała się czarna i pusta, jak wielka tablica, z której ktoś mokrą gąbką zmazał rysunek. Odeszła od niego pamięć o cichnącym rzężeniu ciepłych krtani, palcom brakowało poczucia prężących się pod nimi dziewczęcych kształtów. Wszystko, co się niegdyś stało, nagle oddaliło się od niego, przepadło w ciemnościach, nie żywiło rozkoszą i strachem. Pamięć i wyobraźnia niespodziewanie umarły w nim i zapragnął, aby choćby dlatego ktoś znowu umarł pod jego kolanami w bólu i męce. Teraz zrozumiał, że pragnie zabić, znowu bowiem jest głodny. Chciał dać palcom poczucie nagości dziewczęcych kształtów, drgawek konającego ciała, zapragnął uciekać przez las przed ścigającymi go ludźmi, marzył o lufie strzelby doktora mierzącej mu prosto w czoło. Pożądał cudzej i własnej męczarni, rozkoszy i strachu, który z ofiary przenika do jego ciała i przynosi ulgę w dręczącej nienawiści. Mógł żyć wśród ludzi i patrzeć im prosto w oczy, dopóki trwała w nim wyobraźnia o zadawanych męczarniach. Ale ona uschła w nim jak stare drzewo w sadzie.

O strasznej i zadziwiającej przygodzie, jaka spotkała pewną schludną niewiastę

Wczesnym rankiem Renata Turoń pojechała autobusem do Bart, a stamtąd pociągiem pośpiesznym do stolicy, gdzie w wyłożonej ciemną boazerią salce poważnego instytutu naukowego miała się odbyć konferencja na podniesiony przez nią temat: pozostałości obrzędów pogańskich w niektórych wioskach na północy kraju. Podczas jazdy pociągiem wyobrażała sobie Renata Turoń siwowłosych, wykształconych i eleganckich panów, którym — z wyrazem wstrętu na twarzy, ale odczuwając w sobie podniecający dygot — opowie o nocy mieszania krwi odbywającej się w wiosce o nazwie Skiroławki. Po długiej dyskusji być może któryś z tych panów zainteresuje się bliżej poruszoną przez nią sprawą. Wtedy pójdą razem do kawiarni, gdzie i jemu udzieli się ów podniecający dygot, a wówczas (w tym momencie wyobraźnia Renaty Turoń zaczynała żywiej pracować) zaprosi go do swego mieszkania, opuszczonego przez Romana i ich dziecko. Tam będą nadal dyskutować o sprawie, aż siwowłosy mężczyzna (zapewne w okularach) nagle obejmie ją ramieniem i potem, mimo lekkiego oporu, posiądzie ją pełen zachwytu dla jej urody, wykształcenia i inteligencji.

W skrzynce na listy znalazła zawiadomienie, że z powodu sierpniowych upałów, dyskusję o pozostałościach obrzędów pogańskich w wioskach na północy kraju przełożono na listopad. Tedy Renata wykąpała się w swej łazience i następnym pośpiesznym pociągiem ruszyła w powrotną drogę, raptem bowiem przyszło jej na myśl, że być może właśnie tej nocy w Skiroławkach zapłonie ognisko na Czaplej Wyspie. W ten sposób nieszczęśliwym trafem minie ją to, na co tak długo oczekiwała.

Pociąg pośpieszny nie zatrzymywał się w Bartach, Renata Turoń musiała wysiąść o jedną stację wcześniej. Kończył się właśnie ciepły, sierpniowy dzień, ale do wieczora i zmroku pozostawało jeszcze sporo czasu. Turoniowa nie należała do kobiet zamożnych, zresztą ze swej pensji utrzymywała nie tylko cały dom, ale i męża. Minęła więc postój taksówek i za miasteczkiem zatrzymała się na poboczu szosy do Skiroławek, tej samej, którą w porze zimy doktor wiózł do siebie pannę Józię. Wyobrażała sobie Renata Turoń, że wkrótce zatrzyma na szosie lśniące lakierem auto z jakimś mężczyzną (w średnim wieku lub starszym, a może z dwoma mężczyznami?) i po półgodzinnej jeździe przez lasy jeszcze przed zmrokiem znajdzie się w domu Widłągów, u boku męża i syna. Wyobraźnia (a jak z tego wynika, miała ją rozwiniętą w stopniu dostatecznym) podsuwała jej też i inną wersję podróży: mężczyzna lub dwóch mężczyzn proponują krótki odpoczynek w lesie, gdzie zaczynają zachowywać się niestosownie, dotykają jej kolan, a także ud (chciała, żeby jakiś obcy mężczyzna przekonał się, jak gładką ma skórę na udach). Dopuszczała do siebie myśl, że może stanie się najgorsze, ona będzie się bronić, drapać, gryźć, ale niezbyt mocno, aby nie pozostawić śladów swych paznokci na ich twarzach i dłoniach.

Szosa była jednak jak wymarła. Dopiero po długim czasie pani Renata ujrzała pustą pragę, powracającą z tartaku. W szoferce tłoczyło się trzech usmolonych mężczyzn w brudnych ubraniach roboczych. Przyjęli ją między siebie i ruszyli drogą przez lasy. Obserwując spod oka ich nie ogolone i brudne twarze, a także niemal czarne dłonie, poczuła strach, że raptem skręcą w bok i tam, na jakiejś małej polanie leśnej, dokonają na niej brutalnego gwałtu. Wszelka obrona nie miałaby sensu i nawet chyba nie próbowałaby tego, aby nie porwali na niej bluzki i majtek. Wtłoczona między brudnych mężczyzn w ciasnej kabinie kierowcy rozważała, które części garderoby musiałaby zdjąć, a w jakich mogłaby pozostać podczas gwałtu. Ze wstrętem wdychała zapach brudu i smarów, alkoholu i dymu z kiepskich papierosów. Czuła strach, ale i znowu ocknął się w niej ów przedziwny dygot wewnętrzny, jaki towarzyszył jej w godzinach, gdy siadywała w oknie domu gajowego. Dygot narastał z każdym kilometrem przebytej drogi, aż wreszcie, gdy praga raptownie zatrzymała się tuż obok skręcającej w las piaszczystej drogi, Renata Turoń wydała z siebie coś w rodzaju rozkosznego pisku. „My skręcamy w bok, a pani ma do Skiroławek tylko cztery kilometry" — powiedział do niej kierowca.

Renata Turoń uiściła niewielką opłatę za podwiezienie i łudząc się nadzieją, że być może w końcu jednak resztę drogi odbędzie jakimś eleganckim autem, śmiało poszła szosą przez las.

Tymczasem nastawał wieczór — cichy i pogodny. Noc dopiero czaiła się w lesie, na szosie jednak pozostawała wciąż jasność mijającego dnia. Gęsty i mroczny las rozciągał się po obu stronach drogi, od czasu do czasu zalatywał stamtąd chłodny zapach liści i żywicy, ale przeważnie pachniało rozgrzanym asfaltem. Szło się więc przyjemnie, tym bardziej, że do Skiroławek nie było daleko. Tylko, że trochę szybciej niż sądziła, gasnąć zaczęła jasność na drodze.

Gdyby Renata Turoń cierpiała na nadmiar wyobraźni — być może poczułaby lęk przed zbliżającą się ciemnością. Zapewne przyśpieszyłaby wtedy kroku albo nawet zaczęła biec. Ale przecież należała do kobiet rozsądnych i rozumnych. Skoro szosa i las były bezludne, to nie należało oczekiwać na niej złoczyńców. Od czasu do czasu zresztą na drodze zjawiał się samochód osobowy lub ciężarowy — zawsze jednak od strony Skiroławek. Tak więc zbój leśny musiał liczyć się z faktem, że w każdej chwili zza jakiegoś zakrętu może wychylić się samochód i bandycki zamysł zostanie udaremniony. Tedy Renata Turoń czuła się stosunkowo bezpieczną i w pieszej wędrówce odnajdywała korzyść — odrobinę schudną jej nieco zbyt grube uda.

Już tylko jeden kilometr dzielił ją od Skiroławek. Potem pół kilometra. Jeszcze bliżej znajdował się dom doktora na półwyspie, a nieco dalej na krzyżówce — leśniczówka Blesy. Niestety, mrok raptem zgęstniał i po obu stronach szosy pojawiły się zielonkawe oczka świetlików. Renata Turoń przypomniała sobie, że właśnie przechodzi obok miejsca, gdzie na niewielkiej polance zabito małą Haneczkę, a trochę dalej, w dole po sadzonkach, znaleziono zamordowaną dziewczynę z obcych stron. Strach przeniknął Renatę, zatrzepotało jej serce i jak gdyby sparaliżowało jej ruchy — nie szła tak dziarsko i sprężyście, a starała się stąpać ostrożnie i cicho. Pozostało już tak niewiele drogi do krzyżówki.

Ku radości Renaty Turoń zza zakrętu od strony Skiroławek wyjechał samochód ciężarowy. W smugach reflektorów poczuła się pewniej, przyśpieszyła kroku. Ciężarowy wóz minął ją wolno i Turoniową ogarnęły ciemności jeszcze większe niż uprzednio. Lecz teraz już czuła się bezpiecznie, gdyż poprzez pnie dostrzegała oświetlone okna leśniczówki. Na moment zatrzymała się, aby uspokoić bijące mocno serce. Leśna cisza podziałała na nią kojąco, słyszała oddalający się szum motoru ciężarówki, który nagle ucichł zupełnie, zapewne kierowca minął kolejny zakręt.

Wrażenie spokoju uświadomiło jej konieczność załatwienia pewnej brzydkiej fizjologicznej potrzeby. Wszak unikała jej od wyruszenia ze stolicy, gdyż bardzo nie lubiła kolejowych ubikacji, zawsze brudnych i cuchnących. Zeszła więc z szosy do rowu, położyła w trawie torbę podróżną i wyjęła z niej kawałek ligniny. Podciągnęła sukienkę, zsunęła majteczki, przykucnęła. Skończyła brzydką czynność, żałując, że nie może natychmiast umyć rąk, kiedy nagle usłyszała za sobą szelest suchych liści i czyjś przyśpieszony oddech. Potem za kark schwyciły ją silne dłonie. Krzyknęła głośno. Napastnik (jak to zostało później stwierdzone) poślizgnął się na ekskrementach, jakie z siebie przed chwilą wydaliła i upadł na ziemię. Natychmiast jednak z niej się poderwał i znowu rzucił na Renatę. Lecz Turoniowa była kobietą silną, odwróciła się przodem do napastnika i także zaatakowała go swymi rękami. Podstawił jej nogę i znowu przewrócił na ziemię rozrywając na niej bluzkę i biustonosz. Ogromna żądza zdawała się dodawać mu sił, choć walcząc z nim odniosła wrażenie, że ma do czynienia z osobą młodą i słabą. „Puść mnie" — charczała, on jednak nie słuchał jej, tylko mocniej przygniótł kolanami. Nie widziała rysów jego twarzy, ani nosa, ani ust. Przez krótką chwilę odczuła na swych obnażonych piersiach szorstki ciężar ciała ubranego mężczyzny, co ją napełniło rozkoszą i obezwładniło. To było młode, prężne ciało; oddech napastnika wydawał jej się świeży i gorący. Jedną ręką przytrzymywał przeguby obu jej dłoni. Czuła, jak jego ręka zadarła jej spódnicę i wśliznęła się między uda. Przyjemnie odebrała to jego gwałtowne i żarłoczne grzebanie w okolicy przyrodzenia, uścisk dłoni na wzgórku łonowym, bolesne ugniatanie ud, które chciał brutalnie rozchylić. Nadeszła chwila o jakiej marzyła i pragnęła, ale on nagle przestał myszkować w okolicy krocza, dwoma rękami chwycił Renatę za gardło i zaczął dusić. Zrozumiała, że czeka ją śmierć. Wtedy ugryzła go w rękę, chwyciła za włosy i wytężając wszystkie siły — zepchnęła z siebie. Wydało się jej, że słyszy wymawiane przez niego jej nazwisko „Turoniowa". Napastnik nagle odskoczył w bok, i zanim uświadomiła sobie, że jest wolna, przepadł w ciemnościach leśnych.

Płacząc poszła do leśniczówki Blesy — w podartej bluzce, trzymając w ręce biustonosz. Płakała i jęczała przejęta strachem, lecz także i odrobiną żalu, że nic się nie stało, że uciekł, pozbawił ją ciężaru swojego młodego i prężnego ciała, gorącego oddechu, żarłocznej i nienasyconej chciwości rąk. Dlaczego chciał ją zabić? Czemu musiał zabijać, a nie brał tego, czego pragnął — choćby z największą brutalnością i mimo obrony?

c.d.n.

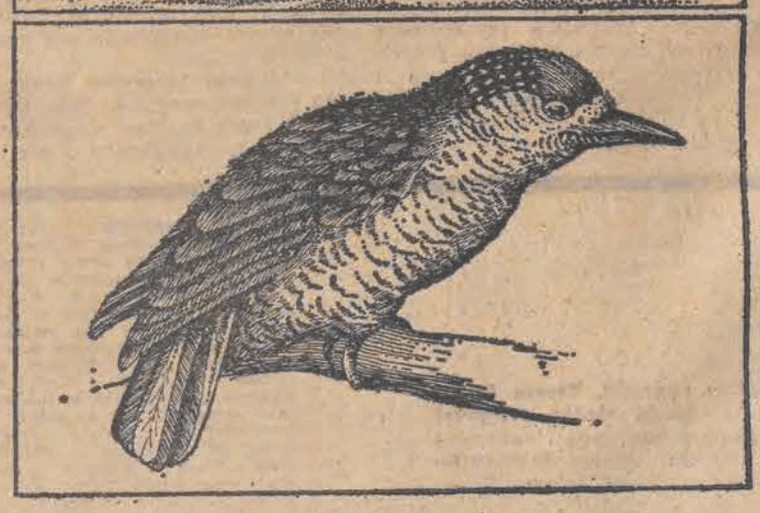

Rys. Janusz Szymański-Glanc